

KSIĘGA SNÓW

NINA GEORGE

NOWA POWIEŚĆ
AUTORKI
BESTSELLERA

Lawendowy pokój



N I N A G E O R G E

KSIĘGA
SNÓW

TŁUMACZENIE MATEUSZ BOROWSKI



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Książkę tę dedykuję mojej matce Jutcie Marianne George, od czterdziestu ośmiu lat zwanej Juschiką. Szeroki Joe też Cię kocha. Jesteś wspaniałą kobietą, genialną malarką i moją przyjaciółką. Otworzyłaś przede mną drzwi wyobraźni.

Mamo, dzielimy wspólne życie. Wznieśmy toast za naszych ojców, za Paryż i za świat istniejący na obrzeżach rzeczywistości.

Nina George, grudzień 2015

Może wszyscy jesteśmy tylko historiami, które właśnie ktoś czyta.

DZIEŃ 1

HENRI

Skaczę.

Spadam zaledwie kilka sekund, słyszę jeszcze w górze silniki samochodów na moście Hammersmith, godzina szczytu, w powietrzu zapachy miasta, wypłowiła wiosna, rosa na liściach. Uderzam głową o taflę zimnej wody. Płynę coraz szybciej z prądem odpływu. Oddalone o pięćdziesiąt kilometrów morze wysysa rzekę. Moje ciało jeszcze pamięta ogromną siłę fal, jakbym całe życie spędził nad oceanem, choć tak naprawdę ostatni raz pływałem w Atlantyku dwadzieścia pięć lat temu.

Zbliżam się do dziewczynki.

Rzeka ją unosi, próbuje ją zagarnąć, chce rozczłonkować jej ciało, zabrać nadzieję i zostawić tylko strach, wyrwać śmiech z jej ust i unieważnić przyszłość. Dziecko tonie w mulistej wodzie.

Nurkuję, wyciągam ją za włosy na powierzchnię. Udaje mi się złapać szczupłe, śliskie ramię. Ściskam je mocniej, ze zmęczenia ciężko dyszę, łykam słonawą, lodowatą wodę.

Tamiza mnie obejmuje.

Ukazuje mi się twarz. Patrzą na mnie oczy jasne jak morze zimą. Jedną dłonią uciska nos, tak jakby przed chwilą wskoczyła do basenu z letnią chlorowaną wodą. Wypadła do Tamizy ze statku wycieczkowego, który kursuje między Greenwich a London Eye, ogromnym diabelskim młynem stojącym niedaleko Big Bena. Dziewczynka stała na poręczy, wspięła się na drugi szczebel i wystawiła twarz do majowego słońca. Fala gwałtownie zakołysała statkiem. Mała nawet nie krzyknęła. Jej twarz wyrażała jedynie bezgraniczne zdumienie.

Widzieliśmy, jak wpada do wody. Ja, para całująca się na moście Hammersmith i żebrak w sfatygowanym smokingu, który wstał ze swojego „stanowiska pracy”, czyli kartonowego pudła w płamie słońca pod zieloną balustradą wiszącego mostu.

– O Boże – wyszeptał.

Para spojrzała na mnie. Cała trójka zamarła, spoglądając w moim kierunku.

Przeszedłem przez zieloną balustradę z kutego żelaza i przez chwilę czekałem, aż w dole wyłoni się z wody dziewczynka. Z tej wysokości wyglądała jak małe zawiniątko.

Skoczyłem.

Dziecko patrzy teraz na mnie z ufnością i nadzieją, na którą nie zasłużył ktoś taki jak ja. Dlaczego trafiło akurat na mnie?

Z trudem utrzymuję śliskie, szczupłe ciało. Dziecko kopie mnie w głowę, w usta.

Piję wodę, oddycham wodą.

Ale mimo to robię się lekki, unoszę się na powierzchni, a świat znowu rozbrzmiewa tysiącem odgłosów, majowy wiatr delikatnie muska moją mokłą twarz, spienione fale zalewają mi oczy. Odwracam się na plecy i unosząc się na niespokojnych wodach Tamizy, kładę sobie dziewczynkę na klatce piersiowej, żeby mogła oddychać i widziała niebieskie niebo. Porywa nas prąd rzeki, mijamy ceglane fasady i drewniane łodzie przy mulistym nadbrzeżu.

Dziewczynka z trudem łapie powietrze, krztusi się. Ma cztery lata, może pięć, nie umiem postępować z dziećmi, nawet z moim synem. Samuelem. Samem.

Ma trzynaście lat i czeka na mnie.

Czeka na mnie od zawsze. A mnie nie ma.

Zaczynam nucić *La Mer*, wielką, podniosłą pieśń wychwalającą piękno morza, przypominają mi się urywki francuskiego tekstu, choć nie posługuję się swoim ojczystym językiem od osiemnastego roku życia. Teraz do mnie wraca.

Śpiewając, wyczuwam, jak serce dziewczynki bije coraz spokojniej, jak miarowo pracują jej małe płuca, przez warstwę wody i strachu czuję jej zaufanie. Trzymam ją jedną ręką, a drugą zagarniam wodę, zbliżając się do niewielkiej przystani. Moje ubranie zrobiło się ciężkie. Poruszam nogami jak żaba i wiosłuję jednym ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – szepczę.

W głowie słyszę oczywiście cichy głos Eddie:

– Henri, nie potrafisz kłamać. To jedna z twoich najmocniejszych stron.

Eddie to najwspanialsza osoba, z którą się rozminąłem.

Uderzam ramieniem o boję unoszącą się przy przystani. Tuż obok widzę drabinkę.

Chwytam dziewczynkę w talii i unoszę ją.

Popycham w górę jej stópki, jeszcze wyżej, dziecko wreszcie chwyta szczebel i mogę je puścić.

Potem idę za nią, wychodzę z rzeki i biorę na ręce wyczerpane dziecko, które z całych sił powstrzymuje się od łez, i idę z nim wzdłuż domków z fasadami z żółtej, czerwonej i szarej cegły w stronę mostu Hammersmith. Dziewczynka obejmuje mnie za szyję i wtula twarz w moje ramię. Jest bardzo lekka, ale kiedy biegnę, coraz trudniej mi ją utrzymać. Myślę tylko o tym, że powinienem czym prędzej wracać do Sama. Muszę do niego jechać. Muszę. Syn czeka na mnie w szkole.

Para wciąż stoi na moście i się obejmuje. Kobieta przygląda mi się ogromnymi oczami, lśniącymi tak, jakby trochę już dziś wypła. Z grubymi kreskami wokół oczu i wysoko upiętymi, natapirowanymi włosami przypomina nieco Amy Winehouse. Mężczyzna powtarza tylko:

– Coś takiego, stary, coś takiego, naprawdę ją uratowałeś, coś takiego.

Podnosi do góry telefon.

– Zająłeś się filmowaniem? Nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić po pomoc? – warczę na niego.

Stawiam dziewczynkę na ziemi. Nie chce mnie puścić, trzyma mnie za szyję, jej rączki ściskają moje mokre, śliskie włosy.

Nagle robi mi się słabo i tracę równowagę. Nie mogę ustać w miejscu i wytaczam się na ulicę.

Dziewczynka krzyczy.

Coś wielkiego i ciepłego wciska się w moje ramię. Za szybą widzę wykrzywioną twarz. W słońcu połyskuje czarna maska samochodu, który z impetem uderzył w dolną część mojego ciała.

A potem widzę tylko swój własny cień, kiedy moje ciało osuwa się na asfalt. Rozlega się trzask przypominający odgłos rozbijania skorupki jajka o brzeg porcelanowej filiżanki.

Ból głowy narasta, zamienia się w dotkliwie, ostre rwanie, jakbym za szybko zjadł ogromną porcję lodów.

I nagle cisza. Zaczynam się zapadać, wtapiać w podłoże. Tonę coraz głębiej i szybciej, jakby pod asfaltem znajdowało się czarne jezioro.

Z mrocznej głębinie coś mnie obserwuje, jakby już na mnie czekało. Nade mną niebo. Oddala się ode mnie, jest coraz wyżej i wyżej.

Widzę nad sobą twarz dziewczynki i jej dziwnie znajome oczy w kolorze zimowego morza, które patrzą na mnie tak smutno, kiedy tonę w asfalcie. W jej dziecięcych oczach morze łączy się z jeziorem. Potem ja łączę się z jeziorem, wypełnia mnie woda.

Na brzegu zgromadził się tłum, zasłania mi widok na niebo.

W głowie słyszę ich myśli.

Kobieta z mini coopera chciała mnie wyminąć.

Światło. Światło ją oślepiło, dlatego mnie nie zauważyła.

Myślałam, że to pijak, który wytoczył się na ulicę.

Żyje?

Rozpoznaję żebraka w wyświeconym smokingu, który odpycha pozostałych i znowu przez ułamek sekundy widzę nieskończenie piękne niebo.

Zamykam oczy. Odpocznę chwilkę, a potem wstanę i pójdę, może zdążę. Zjawię się akurat wtedy, kiedy zaczną wyczytywać nazwiska, nasza kolej będzie dopiero przy V, Sam i ja, razem spędzimy Dzień Ojca i Syna. V jak Valentinier, nazwisko jego matki...

Kochany Tato,

nie znamy się, ale moim zdaniem to się powinno zmienić. Jeśli też tak uważasz, przyjdź 18 maja, w Dzień Ojca i Syna, do Colet Court. To szkoła należąca do Saint Paul's w Barnes, tuż nad brzegiem Tamizy. Będę na Ciebie czekał przy

wejściu.

Samuel Noam Valentiner

Sam, zaraz do ciebie przyjdę. Muszę tylko chwilę odpocząć.

Ktoś otwiera mi oczy. Brzeg jeziora jest daleko, bardzo daleko. Jakiś człowiek krzyczy do mnie z wysoka, jakby stał na krawędzi głębokiego leja. Ma na sobie kombinezon sanitariusza i okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawce.

Pachnie dymem papierosowym.

Widzę swoje odbicie w szklach jego okularów i swoje puste, szkliste oczy.

Słyszę myśli sanitariusza stojącego tam, w górze.

Nie, człowieku. Nie umieraj. Błagam. Nie umieraj.

Długi, jasny ton jak kreska znacząca koniec mojego życia.

Jeszcze nie!

Jeszcze nie! Za wcześnie!

Jeszcze jest...

Jeszcze.

Długi ton zamienia się w ostatni gong.

Skaczę.

DZIEŃ 15

SAM

14.35. Samuel Noam Valentiner.

Odwiedzany pacjent: Henri M. Skinner.

Po raz czternasty wpisuję się do rejestru. Robię to codziennie i każdego dnia pani Walker na czarnej podkładce podsuwa mi formularz, do którego drukowanymi literami wpisuję godzinę oraz nazwisko moje i odwiedzanego pacjenta.

Linijkę wyżej widnieje wpis: Ed Tomlin. Ktoś odwiedził mojego ojca kilka godzin wcześniej, kiedy byłem w szkole. Kto to jest?

– Byłem tu wczoraj – przypominam pani Walker, recepcjonistce w szpitalu imienia Wellingtona.

– Och, wiem, kochanie.

Kłamie. Znowu mnie nie rozpoznała. Kiedy ludzie mówią nieprawdę, zmienia im się głos, robi się jaśniejszy niż za-zwyczaj. Na plakietce nad jej lewą pierśią widnieje nazwisko zapisane drukowanymi literami: SHEILA WALKER. Mówi do mnie „kochanie”, bo mnie nie poznaje. Tacy są Anglicy, boją się mówić prawdę bez ogródek, uważają to za nieeleganckie.

Nad życiem Sheili Walker od wielu lat wiszą czarne chmury. Dostrzegam to u większości ludzi. Nad niektórymi kłębi się mniej ciemnych obłoków, nad innymi więcej, a nad dziećmi prawie w ogóle, chyba że pochodzą z takich krajów jak Syria albo Afganistan. Wtedy chmury już ich nie opuszczają.

Pani Walker jest smutna przez całe życie. Przegapia teraźniejszość, bo rozpamiętuje przeszłość. Dlatego jestem dla niej tylko jakimś chłopcem w szkolnym mundurku, z okropną mutacją. Przygląda mi się i widzi pewnie plażę albo swoje własne, puste ręce, których nikt już nie trzyma.

Byłem tu wczoraj i przedwczoraj. I trzy dni temu. Przychodzę tu od dwóch tygodni. Uciekam z lekcji, czasem przed południem, czasem po południu, dziś z francuskiego z madame Lupion. Scott twierdzi, że najlepiej opuszczać po godzinie z każdego przedmiotu, żeby nauczyciele się nie zorientowali.

Scott McMillan to specjalista w każdej dziedzinie. W wagarowaniu, w surfowaniu po internecie, w robieniu tego, czego nikt inny nie robi. A poza tym nie ma nikogo, kto dorównałby mu w szachach, rysowaniu i zbieraniu nagan. Ma trzynaście lat, iloraz inteligencji 152, potrafi sfałszować każde pismo, a jego obrzydliwie bogaty ojciec go nienawidzi. Ja mam iloraz inteligencji 148, czyli różnimy się od siebie tak jak „geniusz” od „prawie geniusza”. Scott ujmuje to trochę inaczej, kiedy mawia: „*Moi* – mózgowiec, i *toi* – szeregowy mądrała, *mon ami*”. Mózgowiec Scott przechodzi właśnie fazę fascynacji językiem francuskim, od kiedy przestał się interesować językiem mandaryńskim i afrykańskim dialektem o gardłowym brzmieniu.

Ja też mam trzynaście lat, jestem synestetykiem, przez wielu chłopców z naszej szkoły nazywanym synidiotą, i mam ojca, który od dwóch tygodni jest w śpiączce farmakologicznej. To rodzaj długiej narkozy, podczas której w mózgu umieszcza się dren zmniejszający ciśnienie. Podłączono go do maszyn, które za niego oddychają, schładzają jego krew, podają mu pokarm i załatwiają za niego potrzeby fizjologiczne. Dziś powinien się obudzić.

W szkole nikt poza Scottem nie wie, że mój tata zapadł w śpiączkę. I tylko mojemu przyjacielowi przyznałem się, że Steve, mąż mojej mamy, nie jest moim prawdziwym ojcem.

– Stary, od razu stałbyś się najbardziej interesującym gościem w naszej szkole, przynajmniej na jeden cudowny tydzień – powiedział mi kiedyś Scott. – Zastanów się, czy naprawdę chcesz z tego zrezygnować. To wspaniałe uczucie, kiedy cała szkoła się tobą interesuje. Dziewczyny będą za tobą szaleć.

Tylko że do naszej szkoły nie chodzą dziewczyny.

Z wszystkich trzynastolatków w Colet Court tylko ja i Scott zostaliśmy przyjęci do Mensy. Scott nazywa to stowarzyszenie osób o wysokim ilorazie inteligencji „Klubem Półgłówek”. Mama twierdzi, że mogę być z siebie dumny, bo jestem jednym z dwóch nieletnich wśród dziewięciuset „juniorów Mensy” w Anglii, ale być dumnym na zawołanie to jak żuć folię aluminiową.

Gdyby wiedziała, że tu przyszedłem...

Oddałyby mnie do adopcji.

Może przestanie się do mnie odzywać. Albo wyśle mnie do szkoły z internatem. Nie wiem.

– Dziękuję, kochanie.

Sheila Walker mówi już normalnym głosem, kiedy przysuwa do siebie po blacie podkładkę z rejestrem odwiedzających i wpisuje moje nazwisko do komputera. Kiedy jej długie paznokcie uderzają o klawiaturę, rozlega się radosny, zielony stukot.

– Drugie piętro, Samuelu Noamie Valentinerze – mówi, choć przecież to akurat wiem.

Tam mieści się oddział intensywnej terapii, gdzie pacjenci leżą w absolutnej ciszy i samotności. Po to tu przybywają. Do szpitala Wellingtona. Na oddział neurologii. London Brain Centre. Odpowiednik NASA w dziedzinie neurochirurgii.

Tak jak wczoraj i przedwczoraj Sheila Walker podaje mi mapkę szpitala w formacie A4. Czerwonym długopisem zaznacza, gdzie jesteśmy teraz i dokąd muszę dojść oraz jak najszybciej tam dotrzeć.

– Najlepiej wsiądź do windy i wyjedź na drugie piętro, Samuelu.

Pani Walker mogłaby równie dobrze pracować w okienku informacji w metrze. „Do Kensington w prawo, perforacja jelit naprzeciwko, kostnica na lewo za automatem do napojów. Życzę miłego dnia, panie Samuelu Noamie

Valentinerze”.

– Nawzajem, proszę pani – odpowiadam, ale ona już o mnie zapomniała.

Pierwszego dnia przysłała ze mną mama. Kiedy czekaliśmy na windę, powiedziała:

– Nie jesteśmy nic winni twojemu ojcu, rozumiesz? Nic. Przyjechaliśmy tu tylko dlatego, że...

– Rozumiem – przerwałem jej. – Nie chcesz go oglądać. Obiecałaś to sobie.

– Naprawdę? – zapytała po chwili z irytacją. – Jak to możliwe, że wszystko zawsze rozumiesz, Sam? Jesteś jeszcze za mały! – Podała mi mapkę. – Przepraszam. Twój ojciec doprowadzi mnie kiedyś do obłędu. Ach, Sam...

Nie podobało jej się już to, że w tajemnicy zaprosiłem go na Dzień Ojca i Syna do Colet Court.

– I tak nie przyjdzie – zawyrokowała.

Jej głos mnie otulił, każda głoska pachniała wilgotnym smutkiem, jak rozmaryn na deszczu. Czuję, jak bardzo mnie w tej chwili kocha, rozpoznałem to po tym, że nagle mój oddech stał się zupełnie swobodny, jakbym stanął na szczycie świata. Zniknęła gdzieś gula, którą zawsze czułem w gardle.

Czasem tak bardzo kocham moją mamę, że chciałbym umrzeć, żeby ona mogła nareszcie być szczęśliwa. Wtedy miałyby tylko Steve’a i mojego małego brata Malcolma. Stworzyliby normalną rodzinę. Ojciec, matka i dziecko, a nie ojciec, matka, dziecko i ja, chłopak, który unika wzroku innych, czyta za dużo powieści fantastycznonaukowych, a jego ojcem jest mężczyzna, którego moja mama nie znosi.

– Poczekaj na mnie w kawiarni, pójdę do niego sam i zostanę z nim tak długo, jak będę chciał – proponuję.

Przytuliła mnie. Czuję, że najchętniej przystałaby na moją propozycję i bardzo się tego wstydzi.

Mama nie zawsze taka była. Kiedyś pracowała jako korespondentka wojenna. Wtedy nie bała się nikogo i niczego. Ale potem przydarzył jej się wypadek: urodziła mnie i wszystko się zmieniło. Teraz próbuje przejść przez życie niezauważona. Jakby chciała odwrócić od siebie uwagę złych mocy.

– Proszę. Mam prawie czternaście lat. Już nie jestem dzieckiem, *maman*.

Mama idzie do kawiarni, a ja jadę sam na drugie piętro w odwiedziny do mężczyzny, który jest moim ojcem, bo mama przespała się z nim raz, w „chwili słabości”. Tak przynajmniej o tym mówi. Nigdy mi nie opowiedziała, gdzie i jak do tego doszło.

Sheila Walker nie patrzy już na mnie, kiedy idę do windy i jadę na drugie piętro. Najpierw muszę włożyć kitel na szkolną marynarkę, zdezynfekować dłonie i przedramiona i zakryć usta i nos owalną maseczką.

Sala intensywnej terapii na oddziale neurologicznym wygląda jak duży,

jasno oświetlony magazyn. Wzdłuż trzech długich ścian oznaczonych literami A, B i C stoją łóżka, a do sufitu przymocowane są listwy na niebieskie zasłony, które otaczają każde stanowisko, oddzielając je od pozostałych. Pośrodku pomieszczenia na podeście stoją biurka z monitorami komputerowymi i stoliki z regulacją wysokości, przy których siedzą lekarze i lekarki, wpatrując się w ekrany albo telefonując. Każdym pacjentem zajmuje się jeden pielęgniarz albo pielęgniarka. Wszyscy pacjenci zamiast nazwisk są oznaczeni literami i numerami, jak w obozie koncentracyjnym. „A3 spadek poziomu glukozy”, „B9 reaguje”. Tu nikt nie żyje naprawdę.

Mój ojciec to C7. On też żyje na niby.

Pierwszego dnia miał głowę ogoloną po prawej stronie i pomarańczowo-czerwoną od jodyny. Za pomocą szerokich białych plastrów miał przymocowaną rurkę od respiratora, a jego skóra była biała, zielona i fioletowa. Barwy nocy, siły i snu. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do tej sali, czułem się tak, jakbym połknął kulę z mokrego cementu, który z każdym oddechem twardniał w moim żołądku. Od tej pory noszę w sobie tę betonową kulę.

Wspominałem, że jestem synidiotą? Odbieram rzeczywistość nietypowo. Dostrzegam barwy dźwięków, głosów i muzyki. Londyńskie metro brzmi szaro, jak torba przy siodle pełna noży. Głos mojej mamy jest fioletowy i miękki jak lekka mgiełka nad zamrzniętym jeziorem. Mój głos na razie w ogóle nie brzmi. Kiedy się boję, nabiera ostrej jasnożółtej barwy. Przechodzę mutację, dlatego na razie próbuję jak najrzadziej się odzywać.

Ludzie, którzy znają swoją wartość, mówią głębokim, ciemnozielonym głosem, spokojnym jak stary, mądry las.

Liczby też mają kolory. Ósemka jest zielona, czwórka żółta, a piątka niebieska. Litery to typy osobowości. R jest agresywne, S złośliwe, a K to utajony rasista. Z zawsze służy pomocą, a F to diwa. G jest silne i ucziwe.

Kiedy wchodzę do jakiegoś pomieszczenia, natychmiast wyczuwam w powietrzu emocje. Cienie tak gęste jak te wiszące nad panią Walker świadczą o tym, że człowiekowi wiele ciąży na sercu. Nie potrafię patrzeć ludziom prosto w oczy. Rzadko ich rozumiem, choć dostrzegam tak wiele. Czasem obawiam się, że zgadnę, kiedy umrą. Zdarzyło mi się już przepowiedzieć śmierć woźnego z Colet Court i naszej sąsiadki, pani Logan.

Dawniej uważano synestezję za schorzenie. Chorobliwie nieśmiałe i nadwrażliwe dziecko stanowiło dla rodziny nie lada kłopot. Cały czas krzyczy, jest płaczliwe i przysparza rodzicom samych problemów. Kiedy dorasta, często ma zaburzenia osobowości, choruje na schizofrenię, wpada w depresję, a czasem popełnia samobójstwo, bo rzeczywistość za bardzo je przytłacza. Synestetycy to nadwrażliwi mazgaje.

Gdyby istniała pigułka lecząca tę przypadłość, połknąłbym ją natychmiast

jak najlepszy cukierek.

Gdy pierwszego dnia kroczyłem przez salę żywych umarłych, wydawało mi się, że niektórzy z nich powoli tracą kolory, bo ich dusze krwawią. Wolę nie oglądać takich widoków.

A potem spojrzałem na mężczyznę leżącego na łóżku C7 i nie czułem nic.

To było dziwne.

Zawsze coś czuję.

Ale nie tym razem: nieznajomy leżał nieruchomo na plecach na aluminiowym łóżku. Wokół niego zebrały się gęste cienie. Barwy księżyca. Miał zamknięte oczy, więc nie mogłem zajrzeć do jego wnętrza.

To podziałało na mnie kojąco. Mój niepokój zniknął. Ostrożnie przysiadłem na krawędzi łóżka.

Wciąż nic.

Ulżyło mi. Jeśli nic nie czułem, to mogłem przestać tęsknić za ojcem, stale o nim myśleć i wszędzie go szukać. Gdybym już tu nie wrócił, mama odnalazłaby spokój.

Ale wtedy coś zobaczyłem. Jego bransoletkę filofun.

I wszystko się zmieniło.

Ojciec miał na nadgarstku prawej ręki plecionkę z granatowej, niebieskiej i pomarańczowej żyłki.

To ja ją zrobiłem dwa lata wcześniej i wysłałem mu pocztą w prezencie. Mama twierdziła, że tata tego nie założy, tylko wyrzuci do śmieci. Jak zawsze jej uwierzyłem, choć miałem nadzieję, że stanie się inaczej. Ostatecznie uznałem, że ojciec jest taki, jakim opisywała go mama. Oschły, zapatrzony w siebie, nieodpowiedzialny.

Ale założył bransoletkę. Nosił głupią, dziecinną ozdobę w moich ulubionych barwach nocy, morza i słońca o poranku.

Nie rozstawał się z nią.

Nie wiem, jak długo siedziałem, gapiąc się na plastikową plecionkę za trzy pensy. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili podszedł do mnie kierujący oddziałem doktor Foss – „Możesz mówić do mnie Fossy, mój chłopcze!” – delikatnie położył dłoń na moim ramieniu i nosowym głosem poinformował, że mój ojciec miał duże szczęście. Pomimo pęknięcia czaszki obrzęk nie wpłynął negatywnie na pracę mózgu, a kora mózgowa nie została uszkodzona.

Przypadkiem przechodził tamtędy Bóg.

– Valentiner – ostrzegł mnie. – Nie wierz doktorowi Fossowi. Musimy jeszcze kilka razy zoperować twojego ojca i dopiero wtedy się okaże, ile spartoliliśmy.

Bóg to doktor John Saul. Wygląda jak wiking. Ma blond włosy, ramiona szerokie jak wioślarz i brodę. To szef NASA, czyli London Brain Centre. Kiedy

wchodzi na salę intensywnej terapii żywych umarłych, wszyscy pielęgniarze i pielęgniarki wstrzymują oddech. Srebrzysty chłód otacza go jak niewidzialny płaszcz. W jego obecności wszyscy czekają na cud. Potajemnie nazywają go Bogiem, bo wie wszystko. Nawet to, że nazywają go Bogiem. A jego Duch Święty to doktor Foss, uczesany jak John Cleese, w zielonych sztruksach na szelkach, skarpetkach w kolorze curry i fioletowej koszuli w drobną kratkę. Po południu zawsze przez pół godziny pije herbatę, grając w Quizwanie na telefonie komórkowym oprawionym w etui w szkocką kratę.

Wieczorem po pierwszej wizycie w szpitalu czatowałem ze Scottem na Skypie, kiedy mama i Steve cicho uprawiali seks. Malcolm bał się koszmarów, dlatego chciał koniecznie spać u mnie. Kiedy zasnął, wyglądał tak, jakby jego dusza wspinała się w ciemności po bardzo wysokich kamiennych schodach. Słyszałem jej kroki. Ale inaczej niż w przypadku taty, dusza Malcolma pozostawała blisko, wyczuwałem ją tuż pod powierzchnią jego ciała. Opowiedziałem Scottowi o tym, że tata jest daleko. Scott siedział na sedesie. W willi McMillanów znajduje się więcej ubikacji niż pokoi w naszym domu. Mieszkamy w Putney, a Scott w Westminsterze. Putney to Swatch. Westminster to Rolex.

Wpisaliśmy do wyszukiwarki hasła „urazowe uszkodzenie mózgu”, „śpiączka farmakologiczna” i „kora mózgowa”. A raczej to Scott wpisał, a ja wpatrywałem się w ciemność i słuchałem odgłosów jego klawiatury i głębokich oddechów Malcolma. Przypomniałem sobie plastikową bransoletkę i to dziwne uczucie, kiedy nie mogłem wyczuć mojego ojca pod grubą warstwą piany ze środków nasennych.

– Coś takiego. Michael Schumacher też miał urazowe uszkodzenie mózgu i wprowadzono go w śpiączkę farmakologiczną – poinformował mnie Scott. – Jeśli się nie umiera od razu, to...

– Zamknij się.

Wydawało mi się, że jeśli on nie powie tego na głos, to najgorsze się nie wydarzy. Nie chciałem, żeby do tego doszło. Jeszcze nie. Nie w taki sposób.

– To oczywiste, że nie chcesz tego słuchać. Ale powinienes. A może wolisz, żeby cię okłamywano? Zawsze nas okłamują, najpierw dlatego, że jesteśmy dziećmi, a potem dlatego, że już nimi nie jesteśmy. – Scott westchnął ciężko. – A więc posłuchaj, co ma do powiedzenia prawdziwy geniusz. Kora mózgowa przechowuje osobowość. Gdyby ci ją wycięto, zamieniłbyś się w warzywo. Albo nie potrafiłbyś kontrolować agresji. Możliwe, że twój ojciec po wybudzeniu wpadnie w szał. Albo popełni samobójstwo. Albo ciebie zabije. Albo będzie mu się wydawało, że jest kimś zupełnie innym. Niektórzy po przebudzeniu nabywają nagle pewnych umiejętności.

– Umiejętności?

– No tak, widzą aurę, mówią po tybetańsku albo słyszą myśli.

Nie powiedziałem mu, że posiadam dwie z tych umiejętności. On wpisał kolejne hasło do wyszukiwarki.

– Aha. Musisz wziąć go za rękę – powiedział cicho. – Jeśli ją uściśnię, to znaczy, że jeszcze nie zniknął.

Malcolm westchnął przez sen i przewrócił się na drugi bok. Czułem go bardzo wyraźnie, choć spał i coś mu się śniło. Ale mój ojciec... on przebywał w miejscu odległym od snów.

– A niby czemu miałyby zniknąć? – zapytałem Scotta.

– Ale odjazd – wymamrotał w odpowiedzi. – Właśnie czytam wpisy na forum grupy wsparcia. Niektórzy twierdzą, że w śpiączce spotkali Boga i nie tylko.

– I nie tylko? A kogo jeszcze? Elvisa?

Zaśmialiśmy się. W ubikacji Scotta zgasło światło.

– O, cholera. Mój stary! – wyszeptał i się rozłączył.

Siedziałem w ciemności przy biurku.

Jak uściśnię dłoń, to znaczy, że nie zniknął.

Tak bardzo chciałem sprawdzić, czy ojciec jeszcze żyje.

Kiedy mama skończyła uprawiać seks ze swoim mężem, jak co wieczór poszła do pokoju Malcolma, żeby mu życzyć dobrej nocy. Nie zastała go tam, zapukała do moich drzwi, zaniósła mojego śpiącego brata do jego łóżka i wróciła do mojego pokoju.

– Sam, nie podpiszę bezterminowego pozwolenia na twoje wizyty u ojca. Nie chcę, żebyś przesiadywał w szpitalu. Masz się skoncentrować na egzaminach, słyszysz? To teraz najważniejsze. Jeśli za kilka tygodni będziesz go chciał odwiedzić, wtedy o tym pogadamy.

Mama płaci rocznie prawie dziewiętnaście tysięcy funtów chesnego w szkole Colet Court. To przeze mnie brakuje jej pieniędzy i jest nieszczęśliwa. Ale ja myślałem tylko o plecionej bransoletce.

– Okej – odparłem.

– Ojciec nigdy się o ciebie nie troszczył. Nie masz obowiązku się nim teraz opiekować. Może postępuję bezwzględnie, Sam, ale robię to, by cię chronić, rozumiesz? W przeciwnym razie spotka cię pasmo rozczarowań.

– Okej – powtarzam.

Niby co miałem odpowiedzieć? Nareszcie się dowiedziałem, gdzie jest mój ojciec. Na łóżku C7. Zobaczyłem, że nosi bransoletkę, którą dostał ode mnie. Mama się co do niego pomyliła.

A może to ja się co do niego pomyliłem?

W każdym razie wiedziałem, że muszę tam jeszcze raz pójść. Wziąć go za rękę, żeby mógł uściśnąć moją dłoń.

Nie powiedziałem jej o tym. Po raz pierwszy w życiu zataiłem przed mamą

coś ważnego.

Musiałem jeszcze raz go odwiedzić.

Dwa dni później Scott przyniósł mi do szkoły teczkę pełną wydrukowanych z internetu artykułów na temat uszkodzeń mózgu.

– Po wybudzeniu ze śpiączki prawie każdy majaczy – wyjaśnił mi w czasie dużej przerwy.

Nie spędzaliśmy jej na stołówce, tylko za aulą, na dobrze utrzymanym boisku do hokeja na trawie należącym do liceum Saint Paul's. Dostalibyśmy się do niego, gdyby udało nam się dobrze zdać egzaminy. Wszyscy wychowankowie tej szkoły robili karierę, przynajmniej tak twierdziły ich matki. Uczniowie już w wieku szesnastu lat wiedzieli, co chcą studiować i czym będą się zajmować przez całe życie.

Wtedy jednak kompletnie mnie to nie obchodziło.

– Majaczenie wiąże się z ogromnym strachem. Halucynacje i koszmary sprawiają, że nie wiesz, kim jesteś i kim są otaczający cię ludzie. Tata może cię uznać za demona. Albo za synidiotę.

– Pocałuj mnie w dupę.

– Tutaj? Żeby ludzie zaczęli gadać, *mon ami*?

Milczałem. Po raz pierwszy dowcipy Scotta mnie nie śmieszyły. Przyglądał mi się uważnie zza kanciastych okularów ze szklami jak denka od butelek, które niedawno zaczął nosić. Z własnej woli. Żeby wyglądać jak kujon. „Bo to się podoba dziewczynom”, powtarza, jakby zapomniał, że Colet Court to męska szkoła.

– Kiedy go znowu odwiedzisz, Sam?

Wzruszyłem ramionami.

– Mama nie chce, żebym tam chodził.

Scott skubał trzy włoski na policzku. Daremnie próbował ostatnio wyhodować brodę.

– Nie może znieść tego, że go lubisz. Zazdrość. Mój tata ma to samo. Nie może ścierpieć, że mama mnie lubi. Pospolity problem wszystkich ojców po narodzinach pierwородnego syna – oznajmił pompatycznie.

Scott już wie, że chce studiować psychologię, od kiedy w wieku dziewięciu lat zaczął chodzić na wizyty do gabinetu psychoterapii w pobliżu kościoła Świętego Jana, tego z jednoróżcami w godle. Wybrał specjalność: psychoza i somatyzacje. Teraz obserwował grupkę starszych uczniów Saint Paul's, od których nie wymagano już noszenia mundurka, choć musieli chodzić do szkoły w marynarce, wyprasowanej koszuli z krawatem i długich spodniach. Każdy uprzejmie przytrzymał drzwi tym, którzy szli za nim.

– Gdzie się wydarzył ten wypadek, Valentiner?

– Na moście Hammersmith – odparłem. – Wczoraj rano.

Nagle mnie oświeciło. Geniusze zazwyczaj potrzebują więcej czasu, żeby zrozumieć proste rzeczy. Jesteśmy kompletnie oderwani od rzeczywistości i dlatego czasem zachowujemy się idiotycznie.

– *Merde*, Valentin. To tuż za rogiem. Do cholery, to tuż za rogiem! Twój tata wpadł pod samochód, kiedy... – Scott urwał.

Tak. To by oznaczało, że...

Szedł do mnie.

Przyszedłby.

Przyszedłby!

Szczęście płonęło we mnie jasno i mocno tylko przez chwilę, bo nagle poczucie winy poraziło mnie jak grom z jasnego nieba, który uderzył prosto w moją głowę.

Gdybym nie napisał do niego e-maila, nie przechodziłby przez most. Gdybym go nie zaprosił, nie leżałby teraz w szpitalu, bliski śmierci. Gdybym...

– Valentin? – odezwał się Scott, ale ja nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. – Valentin! Niezależnie od tego, co sobie teraz myślisz, zastanów się nad tym wszystkim jeszcze raz!

Pokazał mi swój smartfon, jakieś trzydzieści pięć razy droższy od mojego. Na ekranie zobaczyłem film nagrany z ręki telefonem komórkowym, umieszczony na YouTube. Oprócz Scotta obejrzało go dwa i pół miliona innych ludzi. Nosił tytuł *Prawdziwy bohater*.

Pokazywał mężczyznę pływającego w Tamizie. Na zbliżeniu widać było niewyraźnie, że nurkuje i po chwili wynurza się z mokrym zawiniątkiem. Dopiero kiedy wyciągnął je na brzeg, okazało się, że to dziewczynka. Zaniósł ją na most Hammersmith. Obraz się zachybotał, kiedy mężczyzna podszedł do obiektywu i zapytał: „Zająłeś się filmowaniem? Nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić po pomoc?”.

Cztery sekundy później potracił go samochód.

Film się urwał.

Ten mężczyzna to był mój ojciec.

– Twój tata jest zajebisty – skomentował lakonicznie Scott. – Pewnego dnia powinienes mu to powiedzieć.

Słowa Scotta zmałyły szczęście, które tak nagle nappełniło moje serce, kiedy zobaczyłem na ekranie swojego tatę. Tęsknota za tym, żeby opowiedzieć mojemu ojcu o sobie i porozmawiać z nim o tym, o czym skrycie myślę, zamieniła się w rozpacz, kiedy przypomniałem sobie człowieka nieruchomo leżącego na łóżku, z dala od rzeczywistości.

Powoli wyciągnąłem pozwolenie, którego mama nie chciała podpisać, i pokazałem Scottowi na mojej komórce zdjęcie jej karty kredytowej, na której odwrocie widnieje jej podpis. Rano udało mi się ją dyskretnie sfotografować.

Na wszelki wypadek. Nie chciałem jej używać.

Do teraz. Póki nie zobaczyłem tego filmu.

– Dasz radę?

– Pff – prychnął Scott, wyciągnął mi z ręki komórkę i dokument, a potem wyjął długopis.

W południe wtarłem piach w oczy i powiedziałem madame Lupion, nauczycielce francuskiego, że dostałem alergii. Z czerwonymi, piekącymi i załzawionymi oczami pojechałem do szpitala. W drodze nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

W londyńskim metrze nikt nie rozmawia i nie przygląda się współpasażerom. Każdy zachowuje się tak, jakby był sam na świecie, nawet wtedy, kiedy wciska twarz w pachę osoby stojącej obok. Poza tym na stacjach i w pociągach powietrze jest siedemdziesiąt trzy razy gorsze niż na powierzchni ziemi.

Nawet Sheila Walker nie zwróciła najmniejszej uwagi na moje oczy, które coraz bardziej mnie piekły.

W poczekalni przed salą intensywnej terapii doktor Saul przytwierdzał do tablicy kartkę z informacją: „To klinika neurologiczna, a nie klub nocny, dlatego proszę w ciszy pić herbatę i nie rozmawiać”.

Próbuję przemknąć obok Boga niezauważony.

– Valentiner, stój. Co ci się stało w oczy? – warczy, nawet się nie odwracając.

Pieczołowicie i sprawnie przypina do tablicy ostatni rożek kartki. Ma silne ramiona, a jego palce nie drżą.

– Mam... alergię, sir.

– Ach tak? Ja też. Na kłamców, Valentiner.

– No może zatarłem sobie oczy... piaskiem – odpowiadam ostrożnie i na wszelki wypadek dodaję pokornie: – Sir.

Bóg odwraca się do mnie. Ma jedno oko niebieskie, a drugie zielone. Prawe, niebieskie, jest chłodne, a lewe, zielone jest ciepłe. Wiking z rudawą brodą ma dwa oblicza.

– Piaskiem. Aha. Wyglądasz, jakbyś spał w piaskownicy. Chcesz oślepnąć? Nie? Słyszałeś o neuronawigacji?

– Nie, sir – mówię niepewnie.

– No to chodź – mruczy Bóg.

Idę za nim piętro wyżej, do kabiny projekcyjnej aparatu do badania metodą rezonansu magnetycznego.

– Pozwól, że ci przedstawię nasze monstrum – mówi doktor Saul. – To skaner mierzący aktywność mózgu. Kosztował dwa miliony funtów i uważa się go za jedyną w Anglii maszynę do czytania myśli. Jest taki mądry, że właściwie go nie

rozumiemy.

Pokazuje na krzesło.

– Siadaj. Odchyl głowę i zamknij oczy!

Zakrapia mi oczy preparatem łagodzącym podrażnienie śluzówki. Nagle nabieram pewności, że Bóg często czuje się bardzo samotny.

Doktor Saul wyłącza światło i uruchamia projektory. Nagle na wiszących na ścianie przezroczystych ekranach pojawiają się zdjęcia mózgu. Ciemność koi moje oczy.

Doktor Saul delikatnie przesuwa palcami po skanach wyświetlanych na ścianie, jakby je głaskał.

– Oto fantastyczny tętniak, który zamierzamy usunąć. Dotrzemy do niego przez udo i przejdziemy przez tętnice. Spójrz tutaj, wspaniały okaz naczyniaka krwionośnego zarodkowego, siedzi jak groszek w strąku. – Jego głos się zmienia, kiedy obwodzi palcem kontur zdjęcia. Czerń przechodzi w jasną zieleń i róż. Bóg uwielbia mózgi. – Zaglądałeś kiedyś w duszę, Valentiner? – Pokazuje mi na ekranie mikroskopowy obraz mózgu. – To obie półkule widziane od strony rdzenia kręgowego i karku. Wygląda to tak, jakbyś od szyi wchodził do góry przez tunel i kroczył długim korytarzem do końca pnia mózgu, a potem z mózdzku przeszedł do samego centrum. Do tajemnej komnaty, ośrodka osobowości.

Powiększa obraz do rozmiarów całej ściany. Mózg przypomina katedrę, żyły są jak łukowate wsporniki, a komórki jak wysokie sklepienia. Jest piękny i bardzo osobliwy.

– Kościół z myśli – szepczę.

Bóg przygląda mi się swoimi dwukolorowymi oczami w taki sposób, jakbym do tej pory był dla niego tylko kolejnym żywym umarłym, nieodrodnym potomkiem pacjenta C7. A teraz stałem się rzeczywisty. Jego chłodne spojrzenie się ociepla.

Potem powoli kiwa głową.

– Dokładnie, Samuelu. Mózg to kościół z myśli – powtarza cicho.

Gwałtownie zapala światło i znowu przeobraża się w blond wikinga z ramionami byka.

– Dobrze. Zastanawiasz się, czy twój ojciec umrze, praw-da? – Bóg nie boi się niczego, nawet najtrudniejszych pytań. Bierze flamaster i na zmywalnej tablicy rysuje duży, czarny punkt. – To „przytomność”, rozumiesz?

Pisze „przytomny” nad czarnym punktem i otacza go pięcioma koncentrycznymi okręgami. Zewnętrzny oznacza u góry, na dole i po bokach jako „śmierć”. Na obszarach oddalających się od punktu centralnego pisze kolejno: „zamroczenie”, „sen”, „utrata świadomości”, „śpiączka” i „śmierć mózgu”.

Flamaster piszczy, kiedy przesuwa się po tablicy.

– Na progu śmierci istnieją rozmaite formy życia – wyjaśnia Bóg. Wymazuje

obszar śpiączki i czerwonym flamastrem dzieli go na trzy mniejsze rejony. – Głęboka, średnia i lekka śpiączka. Ale tutaj, Sam, bliżej centrum... – doktor Saul zakreślowuje okręgi oznaczone jako „sen” i „brak świadomości” – ... znacznie bliżej przytomności znajdują się obszary, na których teraz żyje twój ojciec. Widzisz? Bliżej życia niż śmierci. Rozumiesz?

Kiwam głową. Czy Bóg celowo określił brak świadomości i śpiączkę jako miejsca, a nie stany?

Doktor Saul nonszalancko rzuca flamaster na stół.

– Coś ci poradzę – mówi głośno, kiedy wychodzimy. – Następnym razem użyj pasty do zębów zamiast piasku.

Wracając do windy i zjeżdżając na drugie piętro, zastanawiam się, co dziś opowiem mojemu ojcu. Może opiszę mu model doktora Saula. Świat złożony z kręgów. Ciekawe, czy poza strefą snu wciąż coś się śni. I czy śpiączka farmakologiczna to jakiś szczególny rodzaj komy. I czy człowiek wie, że jest w śpiączce. We śnie nie wie się, że się śni. Czy ten, kto zapada w śpiączkę, nie wie, że żyje? Jak w filmie *Matrix*?

W ostatnich dniach często wydaje mi się, że wyczuwam ojca. Jest w nim jakiś niepokój. Jakby szukał drogi do rzeczywistości, uwięziony w labiryncie, w którym panuje przerażająca ciemność. Tymi przemyśleniami nigdy nie podzielę się ze Scottem. Teraz wiem, że przecucia mnie nie myliły. Jeśli przytomność, sen i śpiączka to nie stany, tylko miejsca, to mój ojciec może wędrować.

A może to światy? Strefy, które są coraz ciemniejsze, im bliżej położone są granicy ze śmiercią.

Czekając na windę, wyobrażam sobie te światy jako olbrzymią podziemną przestrzeń.

Są usytuowane jeden pod drugim. Najrozleglejsze są te, które leżą najdalej od naszego. Nikt nie wie, jak wyglądają najdalsze krańce ostatniej strefy. Może śpiączka nie jest krainą mroku? Może żyje się tam tak samo jak na jawie, w miejscu, w którym teraz siedzę, czekając, aż ojciec uściśnie moją dłoń, przejdzie przez wszystkie światy, wyłoni się z ciemności i odzyska przytomność. Wyjdzie po schodach i przemierzy korytarze, które staną przed nim otworem, kiedy rozproszy się mgła wywołana przez leki. Przestanie śnić i błyskawicznie przejdzie przez wszystkie strefy między naszym światem a krainą śmierci.

Póki ściska moją dłoń, ma szansę na powrót.

– Jestem tu, Sam, jestem tu... nawet jeśli jestem gdzie indziej. Wróć.

Ale do tej pory, po dziesięciu dniach, nie uściśnął mi dłoni. Ani po pierwszej, ani po drugiej operacji, kiedy załatali mu pękniętą śledzionę i poskładali złamaną rękę.

Może dziś?

EDDIE

- Pani Tomlin, chyba jest dziś pani trochę podenerwowana.
- Nie jestem podenerwowana, doktorze Foss.
- Oczywiście, proszę wybaczyć.
- Jestem wściekła. To chyba różnica, nie sądzi pan?
- Naturalnie, pani Tomlin.

Doktor Foss zachowuje się uprzejmie niczym lokaj podający herbatę. Ze strachu mimowolnie podnoszę głos.

– Zamierza pan coś zrobić? Czy pozwoli mu pan zdechnąć, żeby nie narazić budżetu szpitala?

Widzę w lustrze odbicie twarzy stojącego za mną doktora Fossa. Rozmawiamy w wykafelkowanym, jasno oświetlonym pomieszczeniu, w którym od dwóch tygodni codziennie naciągam i zdejmuję kitel, myję dłonie i przedramiona i zakładam owalną białą maskę na usta i nos. Doktor Foss prawie niezauważalnie zaciska wargi i spuszcza wzrok. Uraziłam go.

Dzięki Bogu. Tak właściwie to nawet się cieszę, że w angielskich szpitalach pracują jeszcze ludzie, których da się urazić. Ten, kogo można dotknąć, ma uczucia, a ten kto ma uczucia, potrafi współczuć.

– Przepraszam. Zazwyczaj się tak nie zachowuję. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Doktor Foss uśmiecha się uprzejmie.

– Naturalnie – mówi i pomaga mi zawiązać zielony kitel.

Porusza się i zachowuje w taki sposób, że mógłby być na przykład wysoce wykwalifikowanym sługą Jej Królewskiej Mości albo szpiegiem arystokratą. Należy do rzadkiego gatunku gentlemanów, którzy w czasie katastrofy na morzu opuszczają pokład tonącego statku jako ostatni, gdy już mają pewność, że kobiety i dzieci są bezpieczne.

Ostrożnie poprawia mi gumkę od maski z tyłu głowy, przesuwając ją nieco wyżej. Robi to tak delikatnie, jakby się bał, że za chwilę wybuchnę.

Łokciem naciskam wiszący na ścianie dystrybutor środka dezynfekującego i rozprawdzam go na dłoniach. Drżą. Opalone ręce, rozedrgane jak gałęzie targane wiatrem.

– Proszę o trochę cierpliwości – mówi cicho doktor Foss.

Tak. Jasne. No właśnie. Zawsze okazuję mu zniecierpliwienie. Czasem sama siebie wkurzam. Jeszcze raz energicznie naciskam dystrybutor, byle tylko nie patrzeć Fossowi w oczy.

– Każdy pacjent potrzebuje kogoś, kto w niego wierzy. Niech pani myśli o panu Skinnerze, pani Tomlin! Jeśli będzie miał dobry powód, żeby się obudzić,

wtedy...

Mam ochotę zapytać Fossa, w którym poradniku wyczytał takie mądrości. Mam ochotę mu odszczeknąć, że nie jestem dobrym powodem dla Henriego Skinnera, przynajmniej nie dość dobrym. Po trzech latach bardzo dziwnego związku, polegającego na ciągłych rozstaniach i powrotach, zdarzało się, że nie widywałam go całymi miesiącami. Dwa lata temu dał mi wyraźnie do zrozumienia, że to nie ze mną chce spędzić resztę życia. Wtedy po raz pierwszy powiedziałam mu:

– Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

– A ja ciebie nie – odparł.

Dopiero wtedy przestałam się wstydzić.

Dopiero wtedy przestałam za nim tęsknić.

Dopiero wtedy poskromiłam w sobie pragnienie, którego nie sposób racjonalnie wyjaśnić i wyrazić słowami.

Dopiero wtedy zaczęłam brać pod uwagę możliwość życia z innym mężczyzną!

I właśnie wtedy zaczęłam nocą i dniem szaleńczo tęsknić za Henrim.

Kiedy urzędnik zapytał mnie, czy znam Henriego Malo Skinnera, w jednej chwili powróciły do mnie trzy wspomnienia.

Ciepło jego gładkiego ciała.

Noc na plaży i spadające gwiazdy, kiedy opowiadaliśmy sobie o naszym dzieciństwie.

Wyraz jego twarzy, kiedy odchodził.

To, że Henri zapisał moje nazwisko w swoim telefonie komórkowym i na zafoliowanej karteczce wciśniętej między strony paszportu, wskazując mnie jako „osobę, którą należy powiadomić w razie wypadku”, a nawet wypisał mi upoważnienie do uzyskania informacji o stanie jego zdrowia, było dla mnie takim zaskoczeniem jak telefon z policji piętnaście dni temu. Urzędnicy, zakłopotany grubas i nerwowy rudzielec, byli dość zirytowani, kiedy im wyjaśniałam, że nie jestem towarzyszką życia, narzeczoną ani kuzynką Henriego. I że ostatni raz widziałam go dwa lata temu, 2 stycznia 2014 roku około godziny 8.45.

– Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

– A ja ciebie nie.

Spoliczkowałam go i wyrzuciłam z domu.

– Spieprzaj! – krzyczałam, choć miałam ochotę błagać go, by został. – Spieprzaj! – darłam się, a w środku jakiś głos mówił: „Kochaj mnie!”. – Spadaj, do cholery! – Czyli: „Odejdź, zanim się jeszcze bardziej ośmieszę!”.

Odszedł.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, kiedy odwrócił się z dłonią na kłamce. Wyglądał tak, jakby nie mieściło mu się w głowie, że musi odejść, i nagle dostrzegł drugą stronę naszego związku, i zastanawiał się, kiedy przekroczył granicę.

Rozpacz w jego spojrzeniu.

Nieomal powiedziałam: „Zostań! To, że mnie nie kochasz, nie ma dla mnie znaczenia”.

Ale tak właśnie myślałam. Moja miłość była silniejsza niż potrzeba bycia kochaną. Jednak ją odrzucił, a to było gorsze niż jego obojętność.

Może jestem nienormalna.

Przez dwa lata tęskniłam za Henrim, a potem spotkałam Wildera Glassa, który mnie pragnie i pożąda. Już nie jestem tą kobietą, która tak bardzo kochała Henriego M. Skinnera, że chciała z nim spędzić to życie i wszystkie kolejne. Nie. Tamta Eddie była już tylko pustą skorupą. Kiedy o niej myślę, ze wstydu przechodzą mnie ciarki.

I nagle znalazłam się tutaj. Nie chciał mnie, ale wypisał mi to upoważnienie.

Jestem za niego odpowiedzialna w razie wypadku. Ze mną można umierać. Ale nie żyć.

Co to ma znaczyć?

Wilder nie wie, że od dwóch tygodni codziennie jeżdżę do szpitala Wellingtona. Czasem mówię mu, że idę na wykład albo na spotkanie do agencji, albo na kawę z obiecującym powieściopisarzem. Na świecie nie brakuje fantastów i utopistów, więc jako wydawca mam pełne ręce roboty. Wilder o nic nie wypytuje i nie okazuje zazdrości. Wilder David Stephen Ptolemy Glass ma za dużą klasę, został zbyt dobrze wychowany i jest zbyt wyrozumiały, żeby traktować kogokolwiek jako konkurencję. Ma przecież solidną renomę w branży literackiej...

Nienawidzę kłamać, ale robię to bezwiednie, jakbym sama nie znała prawdy.

Zresztą, czym jest prawda?

To kwestia wyobraźni.

Jak miałabym wyjaśnić partnerowi, dlaczego nagle postanowiłam zaopiekować się moim byłym, o którym nigdy mu nie wspominałam?

Już samo to, że o nim nie mówiłam, wzbudziłoby w każdym mężczyźnie podejrzenia. Ale może Wilder zareagowałby inaczej...

Nie wiem, czemu tu przychodzę. Nie potrafię jednak tego tak zostawić. Zbyt wiele energii kosztowałoby mnie odcięcie się od Henriego, więc dla świętego spokoju wolę zacisnąć zęby i go odwiedzać.

Tutaj wszędzie wiszą jakieś tabliczki i kartki.

W przebieralni umieszczono listę cholernych zasad, bez których większość odwiedzających rzekomo od razu rzuciłaby się z krzykiem na swoich leżących nieruchomo krewnych, żeby wywołać u nich jakąś reakcję.

W obecności pacjentów zachowujemy się spokojnie, przyjaźnie i z szacunkiem.

Unikamy zbyt gwałtownych ruchów i zbyt głośnych kroków.

Nie mówimy o pacjencie w trzeciej osobie, tylko z nim rozmawiamy.

Zbliżamy się do pacjenta powoli, w taki sposób, by mógł on nas zauważyć i nie przestraszył się, kiedy go dotkniemy lub coś do niego powiemy.

W ten sposób nie zachowują się wobec siebie nawet małżonkowie.

Henri od dwóch tygodni ani razu się nie poruszył. Nie mrugnął, nie westchnął. Nie dał ani jednego znaku życia. Jakby zamarł pod wpływem środków usypiających i przeciwbólowych i leżał zatopiony w bloku lodu, podtrzymywany przy życiu przez maszyny regulujące temperaturę jego ciała. Co osiem godzin lekarze mierzą głębokość jego uśpienia. Minus pięć na skali Richmond oznacza: nieosiągalny. Minus dwa oznaczałoby, że zbliżył się trochę do świata żywych. Przy minus jeden byłby przytomny. Wyobrażam sobie, że w drodze do minus jeden musi przedzierać się przez mrok.

– Gotowa, pani Tomlin?

W cichym głosie Fossa słychać ogromny szacunek. Najwyraźniej dla niego wszyscy ludzie to pacjenci, cierpiący na takie lub inne schorzenie.

– Tak – odpowiadam.

To nieprawda. Boję się. Strach niczym pnącze oplata moje serce, żołądek, głowę. Mam ochotę gdzieś się schować.

Doktor Foss patrzy na mnie melancholijnie. Wygląda jak wielki niedźwiedź Baloo z *Księgi dżungli*. Jego szef, doktor Saul, to skończony dupek.

Nie jest zachwycony, że chcę asystować przy wybudzaniu.

– Boi się pani, Tomlin – doktor Saul mówi do mnie po nazwisku, jakbym była szeregowcem, a on oficerem prowadzącym musztrę. – Pani strach przeszkadza mi w pracy i przenosi się na pana Skinnera.

– Doktor Saul nie mówi poważnie, pani Tomlin – wtrąca się natychmiast doktor Foss.

Doktor Saul gwałtownie się odwraca.

– Nigdy więcej niech pan się nie waży twierdzić, że nie mówię poważnie. Nigdy więcej! To obraża moją inteligencję, której, w przeciwieństwie do pana, nie próbuję ukrywać za uprzejmym zachowaniem. Wszystkim, którzy tu leżą, lęk krewnych szkodzi jak najgorsza trucizna.

Stoję obok nich jak szeregowiec, który zaraża innych lękiem.

Każdym oddechem próbuję odpędzić strach daleko za horyzont, na sam koniec świata. Nauczył mnie tego jeden z autorów publikujących w moim wydawnictwie. Napisał książkę o woli walki i wypieraniu wspomnień.

Próbuję zdmuchnąć strach jak świeczkę. Może doktor Saul ma rację, może moja panika działa jak trucizna? A może nie. Nie chcę ryzykować, więc opanowuję

strach, odpędzam go tak daleko, jak tylko potrafię.

– Naprawdę jest pani gotowa, pani Tomlin? – pyta doktor Foss.

Przytakuję. Znowu kłamię. Wydech, Eddie.

Właściwie od piętnastu dni nie wiem, co robię.

Mijamy stanowiska A i B, w każdym łóżku ważą się ludzkie losy. Palce drżą, powieki się poruszają. Walka o własne życie toczy się w ciszy, głęboko pod powierzchnią.

Gdzieś czytałam, że śpiączka farmakologiczna to stan między życiem i śmiercią.

Może Henri myśli już w języku umarłych?

Leży na stanowisku C7. Podchodzę do łóżka i chwytam go za rękę.

Doktor Foss poprawia krawat i ostrożnie rozluźnia Henriemu opaski chłodzące.

– Mózg nie lubi tak długiej bezczynności. Samochód też się psuje, kiedy się nim nie jeździ. Maszyny lepiej pracują, kiedy często się z nich korzysta.

Doktor Saul jak rozłożyste drzewo stoi u wezłowania łóżka w tym obozie przetrwania, trzyma skan mózgu, patrzy na lekarza kierującego stanowiskiem kontrolnym i nerwowo przewraca oczami.

– Fossy, niech pan przestanie w mojej obecności mnożyć puste metafory. Mózg to nie maszyna, gdyby tak było, potrafilibyśmy przynajmniej choć trochę zrozumieć zasady jego funkcjonowania. Przypomina raczej ciasto drożdżowe, któremu przyglądamy się tak długo, że nie dostrzegamy już żadnego porządku. Nie sposób przewidzieć, co się stanie za chwilę. Jasne?

Wiem, że doktor Saul ma rację, ale wołałabym, żeby się mylił.

Doktor Foss posyła mi uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „Już dobrze, on nie przebiera w słowach, ale to najlepszy ze specjalistów”.

Pnącze strachu krępuje jednocześnie wszystkie moje mięśnie. Brzuch, ramiona, kark. Wstrzymuję oddech, jakbym chciała siłą zatrzymać czas, żeby zapobiec katastrofie.

Brak mi tchu. Rzuca mnie dziesięć lat wstecz.

– Nie pozwól, żebym umarł w szpitalu – wyszeptał mój ojciec, kiedy transportowano go na noszach do karetki.

Dostał zawału w czasie samotnej kolacji przy stole kuchennym. Jadł krwisty stek z musztardą, a do tego sałatkę ze świeżą rzeżuchą. Na blacie kuchennym leżał jeszcze kawałek gorgonzoli z marmoladą wiśniową, który ojciec zostawił sobie na później.

Tata coraz częściej jadał samotnie w kuchni, bo mama od dawna go nie kochała, ale była zbyt zmęczona życiem, by zostawić go po siedemdziesiątce. Ojciec nadal ją kochał, przez cały czas, przez całe piętnaście lat, wielbił drzwi i ściany z tekstylnymi tapetami, które ich od siebie oddzielały, bo wiedział, że ona

jest za nimi. Matka odizolowała się od niego i pogрузzyła w milczeniu. Ale jemu wystarczała jej daleka obecność. Kiedy tak czule patrzył na ściany, za którymi się skrywała, pękało mi serce.

Przyjechali po niego sanitariusze, a ja, po jego panicznym telefonie – „Eddie, kochanie, chyba dzieje się ze mną coś złego” – zdążyłam dotrzeć do domu z wydawnictwa, żeby potrzywać tatę za jego silną, szorstką, coraz bardziej wysuszoną dłoń. W drodze od kuchennego stołu do otwartych drzwi karetki błagał mnie, żebym mu nie pozwoliła umrzeć w szpitalu.

Obiecałam mu to.

Jechałam na motorze za karetką na sygnale aż do samego szpitala i pobiegłam za sanitariuszami na izbę przyjęć. Jakiś lekarz za pomocą defibrylatora usiłował przywrócić serce taty do życia. Bezskutecznie próbował mnie powstrzymać przed wtargnięciem do wąskiego, wykafelkowanego na zielono pomieszczenia, które widziało tyle ludzkiego cierpienia i łez. Zignorowałam go, kiedy starał się mi wyjaśnić, że u kresu życia obowiązują inne reguły i że ojciec nie potrzebuje teraz mojej miłości, tylko adrenaliny i tlenu, dlatego nie powinnam przeszkadzać w reanimacji.

Zostałam.

Choć miałam ochotę wybiec stamtąd z krzykiem.

Czuwałam przy ojcu, kiedy rozcinali mu spodnie i koszulę, wbijali mu igłę i zakładali wenflon, kiedy z nim rozmawiali i coraz rzadziej na niego patrzyli. Automatycznie wykonywali kolejne czynności. W piątkowy wieczór izba przyjęć wygląda jak obóz przejściowy. Pijacy z ranami od odłamków szkła, pobite żony, samotne staruszki, rechoczący, cyniczni policjanci, jeden czy dwóch świadków, którzy w nerwach miotają się z kąta w kąt jak zabłąkana kulka we flipperze. Pośrodku mój ojciec na twardych noszach okrytych cienkim zielonym prześcieradłem przeprasza każdego, kto się nim zajmuje.

– A bo to taki kłopot, pewnie ma pan coś ważniejszego na głowie.

Jakby nie dostał zawału, tylko skręcił sobie kostkę.

Wreszcie zostaliśmy na chwilę sami.

A gdyby teraz miał umrzeć? Czy zdołałabym temu za-pobiec?

Z trudem się uśmiechnął. Jego twarz wyglądała tak obco. W drodze z domu do szpitala tacie przybyło lat. Wziął mnie za rękę. Miał nieregularny puls, a jego bijące nerwowo serce rysowało na monitorze elektrokardiografu górskie łańcuchy.

Nie wiedziałam, że to nasze pożegnanie.

Teraz rozlega się takie samo pikanie, serce rysuje góry na ledowym ekranie, aparatura monitoruje funkcje życiowe Henriego, kiedy jego organizm rozpaczliwie walczy o przetrwanie. Elektrokardiograf, ciśnieniomierz, pulsometr, przyrząd mierzący poziom saturacji krwi tlenem, elektroencefalograf i respirator, który powarkuje jak silnik statku. Na białej ścianie wiszą skany obrazujące pęknięcie

czaszki.

– Zanim wyjmemy rurkę tracheotomijną z jego gardła, może pani sobie przynieść kawę, Tomlin. Potem zacznijcie samodzielnie oddychać.

– Powinien pan nauczyć się dobrych manier – odpowiadam.

Doktor Saul unosi brew.

– Zaczynamy – komenderuje.

SAM

Wsiadam do windy, w której stoją już dwaj lekarze.

Jeden z nich naciska trójkę, drugi piątkę. Nie ośmielam się przecisnąć między nimi, żeby wybrać dwójkę. Wstydzę się, że jestem taki niepozbierany. Scott powtarza, że należę do ludzi, którzy świadomie idą w złym kierunku, byle tylko nie zrobić przykrości temu, kogo zapytali o drogę.

Ma rację.

– Na oddział dla warzyw? – pyta ten, który jedzie na trzecie piętro, tego drugiego.

– Tja. Przydzielono mi pacjenta w stanie wegetatywnym. Aktywność mózgu jak w puszcze z groszkiem.

– Idziemy wieczorem na squasha?

– Jasne. O ósmej.

Jeden wysiada na trzecim piętrze, drugi jedzie na oddział warzyw, gwiżdżąc przez zęby.

Lekarz puszcza mnie przodem, winda zatrzymuje się na piątym piętrze, na oddziale dla warzyw.

– Dziękuję, sir – odpowiadam cicho.

Naprawdę świetnie ci idzie, Valentiner. Niech cię szlag.

Drzwi windy rozsuwają się, szemrając cicho. Postanawiam, że wsiadę z powrotem, kiedy tylko lekarz się oddali i pojedę na drugie piętro, ale w drzwiach staje pielęgniarka.

– Możesz od razu wejść.

– Bardzo dziękuję, proszę pani.

Cholera, cholera, CHOLERA!

Zaszedłem za daleko, żeby teraz przyznać, że pomyliłem piętra.

Dlatego pewnym krokiem idę przez długi korytarz, a pielęgniarka rusza za mną! Ten oddział wygląda inaczej niż sala intensywnej terapii. W korytarzu na podłodze leży wykładzina, a przyjemny chłód sprawia, że jest tu bardzo, bardzo spokojnie. Nie ma tej napiętej atmosfery, jaka panuje na oddziale intensywnej terapii, gdzie na ekranach wciąż migają światelka i co chwilę rozlegają się ostrzegawcze sygnały. Wszyscy czekają w gotowości, żeby zdecydowanie wkroczyć do akcji i przepędzić śmierć, jeśli tylko ośmieli się zbliżyć do któregoś z pacjentów. Ten oddział zaś wygląda jak poddasze, na które nikt od dawna nie zaglądał.

A co się stanie, jeśli pielęgniarka pójdzie za mną na sam koniec korytarza? Co mam powiedzieć? „Ojej, pomyliłem budynki, chciałem iść do pacjentów ze ślepą kiszka”?

Na drzwiach wiszą zdjęcia uśmiechniętych, przyjaznych twarzy. Każdy portret jest podpisany.

Na pierwszych drzwiach: Leonard. Fotografia przedstawia kierowcę koparki w roboczym kombinezonie i z szalikiem w barwach Manchesteru United. Zza drzwi dobiega cichy płacz.

Drugie drzwi: Elizabeth. Na zdjęciu trzyma tort. W jej sali jakiś mężczyzna mówi:

– A teraz oddychamy, przekręcam nadgarstek w lewo, o tak, rozluźnij się, jakbyś ubijała krem waniliowy, tak... właśnie, do szarlotki...

Mijam kolejne sale, w których leżą Amanda, William i Yamashiro.

Orientuję się, że zdjęcia przedstawiają ludzi mieszkających za drzwiami.

Na oddziale dla warzyw. Ale na pewno teraz nie wyglądają już tak jak na tych fotografiach. „Głęboko zamrożone warzywa też nie wyglądają już tak jak na zdjęciach na opakowaniu, *mon ami*”. To nie moje przemyślenia. To głos Scotta w mojej głowie.

Pielęgniarka wciąż za mną idzie. Przygotowuję się na to, że będę musiał wejść w ścianę, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Docieram do ostatnich drzwi. Są lekko uchylone.

Na tabliczce widnieje imię Madelyn.

Z pokoju dochodzi cicha muzyka fortepianowa. Delikatne dźwięki brzmią tutaj tak dziwnie, że czuję się, jakbym spał i śnił długi koszmar, w którym czekałem pod szkołą na tatę, ale on nie przyszedł, bo umarł.

Przystaję i zamykam oczy, bo podobno w ten sposób można się obudzić.

Nic się nie zmienia, więc patrzę na rękę. To ponoć druga metoda, by wrócić do rzeczywistości.

Wciąż nic. A więc to nie sen.

Kiedy opuszczam rękę, na korytarzu nikogo już nie ma. Zostałem tylko ja, muzyka i uchylone drzwi.

Dzieje się coś dziwnego.

Zauważam, że od dwóch tygodni byłem bez przerwy zmarznięty, a teraz robi mi się ciepło. Muzyka ogrzewa mnie jak letni wiatr.

Światła migoczą.

Czas się rozrzedza. Wydaje mi się, że wystarczy jeden drobny, ledwie zauważalny ruch, by moje życie się odmieniło. Idę na koniec korytarza, żeby rozpocząć nowy etap.

Teraz się odwrócę, wsiałę do windy i zjadę na drugie piętro. Właśnie. Właśnie tak zrobię.

Nie. Wcale tego nie robię. Stoję i uświadamiam sobie, że właśnie znalazłem coś, czego w ogóle nie szukałem.

Zamiast wrócić do windy, bezwiednie unoszę rękę, dotykam klamki

i otwieram szerzej ostatnie drzwi na korytarzu.

Niski biały regał z książkami, na nim niebieski dzbanek z bukietem czerwonych tulipanów. W oknie firanki. Na ścianach obrazy, zdjęcia, pejzaże, portrety, góra oglądana z lotu ptaka, fotografie podwodne.

Na samej krawędzi łóżka siedzi jasnowłosa dziewczyna w koszuli nocnej do kostek.

Patrzy prosto na mnie.

Nie mruga oczami. Po prostu na mnie patrzy.

Całkiem zapominam, że nie powinienem patrzeć jej prosto w oczy.

Przed nią, tyłem do mnie, stoi niewysoka kobieta z kręconymi rudymi włosami w pielęgniarskim kitlu. Czesze dziewczynę.

– A wieczorem, kiedy na koniuszkach liści zawisają krop-le rosy, oba moje grubaski wychodzą ze swojej jaskini w kanapie, zlizują rosę z trawy i swoimi kocimi oczami obserwują, jak oddychają gwiazdy.

Wydaje mi się, że na koszuli nocnej widzę jednorożce. A może to kaczkę? Niebieskooka dziewczyna przygląda mi się, a jej spojrzenie przenika mnie na wskroś. Może dociera do miejsca, które widzą tylko ci, którzy potrafią zajrzeć do wnętrza.

Muzyka skrapla się na ścianach, wędruje w górę, gromadzi się na suficie i spada na mnie jak deszcz.

– Maddie, wiedziałaś, że gwiazdy oddychają?

Przez chwilę mam wrażenie, że na mój widok w szklanych oczach Madelyn coś drgnęło. Jakby na dnie głębokiego jeziora ryba przemknęła z jednej kryjówki do drugiej. Nie, to nie jezioro. W jej spojrzeniu jest wiatr i muzyka, a to, co się poruszyło, to kruk, który rozłożył skrzydła i wzbił się w powietrze.

Madelyn ma w oczach kruka.

Szybuje po niebie pełnym kruków.

– Świat wygląda przepięknie – kontynuuje siostra – kiedy jest się gwiazdą i ogląda wszystko z wysoka. Kotki w trawie, dziewczynkę, która śpi z otwartymi oczami, i chłopca stojącego przy drzwiach z otwartą buzią.

Pielęgniarka się odwraca. Ma twarz jak skrzat i zmarszczki mimiczne od śmiechu, sięgające od oczu do kącików ust. Na ciemnofioletowej górze od stroju pielęgniarskiego widnieje plakietka z imieniem Marion.

– Dzień dobry, przyszedłeś w odwiedziny do Maddie? – pyta siostra Marion.

Nie wiem, co odpowiedzieć. W końcu jestem tylko szeregowym mądrałą.

Zamykam drzwi i uciekam, choć jakaś część mnie zostaje w sali, w której leży dziewczyna o przenikliwym spojrzeniu. Dostrzega we mnie inne światy, jakbym był z kryształu. Jej rzeczywistość przypomina szklany baniak, w którym ona swobodnie się unosi.

W korytarzu rozbrzmiewają moje kroki.

Madelyn. Ona ma na imię Madelyn.

Nigdy w życiu nie byłem jednocześnie tak szczęśliwy i tak smutny.

EDDIE

Pracują sprawnie jak mechanicy na torze Formuły 1. Doktor Foss podwyższa wezglowie łóżka i przeciera powieki Henriego wacikiem, doktor Saul stuka w jego kolano, pielęgniarka zaciąga wokół łóżka niebieskie zasłony, anestezjolożka odłącza kroplówkę od wenflonu umieszczonego przy obojczyku.

Wiem, że przebudzenie nie wygląda jak na filmie. Henri nie otworzy oczu i nie zapyta: „Hej, Ed. Może w sklepiku szpitalnym sprzedają whisky?”.

Najpierw powracają jego odruchy bezwarunkowe. Spontaniczny oddech. Mruganie. Przełykanie.

Potem pojawia się ból. Wypełnia całe jego ciało. Aż wreszcie ogarnia go strach.

Jeszcze przez wiele dni będzie majaczył. Halucynacje otoczą go jak gęsty dym, choć doktor Foss twierdzi, że w szpitalu Wellingtona używają łagodnych środków usypiających i uspokajających, które nie wywołują przywidzeń. Też mi pociecha. To tylko o jeden koszmar mniej.

Wierzę doktorowi Saulowi, kiedy mówi:

– O wiele lepiej wiemy, co się dzieje na Księżycu niż w naszej głowie. Naprawdę. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w mózgu, kiedy w wyniku stanu zapalnego wydziela interleukinę 2. Trudno przewidzieć, jakie bodźce wywołają u pana Skinnera panikę albo koszmary. A może zamiast doktora Fossa zobaczy śpiewający placek dyniowy.

– Zakładamy jednak, że pan Skinner nie śni – dodaje oburzony doktor Foss.
– Narkoza całkowicie wyklucza taką możliwość.

– My zakładamy? Ja nie. Wciąż nie rozstał się pan ze swoim niewidzialnym przyjacielem, Fossy? – drwi doktor Saul.

Pnące strachu się rozrasta. Każdy nosi w sobie archiwum, a z szuflad, szafek i skrytek w mojej pamięci wypełzają demony.

Dziesięć lat wcześniej w izbie przyjęć bałam się tak jak nigdy wcześniej. To tam narodził się mój strach. Rozrastał się we mnie jak obca roślina, szybko i drapieżnie, oplatał moje organy i coraz mocniej je ścisnął.

Tak bardzo się bałam, że tata umrze, tak po prostu, w kwiecie wieku.

Jego oczy były co noc tak jasne jak fiordy w jasne letnie przesilenie. Zostałam z nim, póki nie zabrali go na intensywną terapię, żeby założyć mu jeden z trzech stentów.

Potem nie podszedł do mnie żaden lekarz, żeby powiedzieć mi: „Pani Tomlin, proszę się nie martwić, zajmiemy się pani ojcem i za cztery tygodnie będzie znowu mógł kosić trawnik”. Takie sceny można oglądać w serialach o lekarzach.

Nikt nie czuł się w obowiązku ze mną porozmawiać. Zniecierpliwione siostry i pielęgniarki się spieszyli. Lekarz też nie znalazł dla mnie czasu.

Zostałam z ojcem. W pewnym momencie zapytał:

– Mama przyjdzie?

– Tak, jutro – skłamałam.

Nie odwiedziła go ani razu w ciągu jego ostatnich trzech dni.

Trzy dni później ojciec wracał z ubikacji na salę. Przewrócił się i zmarł. Jak twierdził pacjent z sąsiedniego łóżka, jego ostatnie słowa brzmiały: „Nareszcie porządnie się wyspałem”.

Potem się przewrócił i „dostał drgawek”, jak później określiła to moja matka.

– Edwinno, dostał drgawek, nie było sensu ratować go po raz drugi, przecież wiesz. Do jego mózgu nie docierał tlen, nie byłby już sobą, zachowywałby się jak dziecko albo gorzej.

Nienawidziłam jej za to, że mówi to z taką ulgą i lekkim zdziwieniem. Kiedy się rozplakałam, okazała mi tylko zniecierpliwienie.

Tuż przed śmiercią taty pojechałam do wydawnictwa po manuskrypt, który właśnie redagowałam. Ta niezwykła powieść miała szansę stać się bestsellerem, dlatego chciałam o niej opowiedzieć ojcu. Wydaję głównie fantastykę naukową. Nie fantasy o elfach, orkach i wampirach, tylko książki o utopiach i dystopiach. Opowieści o historii alternatywnej, o planetach niezamieszkanym przez ludzi albo o światach bez dorosłych. O wszystkim, co czai się pod podszewką naszej rzeczywistości i stanowi naukowo usankcjonowany cud.

Tego wieczoru zostawiłam go na krótko w szpitalu, który pachniał środkami dezynfekującymi i strachem. Okno wychodziło na złote dachy Londynu. Na kanał, nad którym ludzie bawili się z psami.

Jeden z pielęgniarzy uspokajał mnie, twierdząc, że ten zawał to tylko sygnał ostrzegawczy. Nigdy natomiast nie rozmawiali z nami lekarze. Byli młodzi, może bali się spojrzeć nam prosto w oczy. Nerwowo biegali po korytarzu i śmiali się jak dzieci, kiedy unosiły się poły ich białych kitli.

Najwyraźniej tata był bardziej kruchy, niż się wszystkim wydawało.

Dwie godziny później już nie żył.

Z manuskrytem w jednej ręce i kaskiem motocyklowym w drugiej stałam przy jego pustym łóżku i wtedy nagle znalazł się jeden odpowiedzialny lekarz.

Zaprowadził mnie do ojca, którego oczy nie przypominały już fiordów tylko niebieskie, gładkie szyby. Jego ciało było jeszcze ciepłe. Usiadłam obok niego w pustej sali pożegnań, wzięłam go za stygnącą rękę, poczytałam mu.

Nie wiedziałam, co robić.

Przyszła siostra, żeby mnie poinformować, że idzie do domu. Czytałam dalej. Przyszła druga pielęgniarka, oznajmiając, że właśnie zaczyna zmianę. Potem wróciła z informacją, że kończy zmianę.

Przez całą noc i dzień czuwałam przy martwym ojcu, szepcząc:

– Dobranoc, księżycu. Dobranoc, kosmosie. Dobranoc, tato.

Wydawało mi się, że nad ranem on stanął za mną, położył mi dłonie na ramionach i powiedział:

– Teraz wiesz, gdzie mnie szukać.

Najgorsze już się stało.

Umarł mój najlepszy przyjaciel.

Skończyło się moje dzieciństwo.

Już nikt mnie nie kochał.

– Proszę nie robić sobie złudnych nadziei – mówi doktor Saul. – Po takim wypadku prawdopodobieństwo, że po wybudzeniu człowiek będzie zdolny do ustrukturyzowanego myślenia, jest niewielkie. Statystycznie zdarza się to w dziewięciu procentach przypadków. Rozumie to pani, pani Tomlin?

– Nie, przecież jestem tylko biedną, głupią kobietą.

Doktor Saul mierzy mnie wzrokiem. Patrzę mu prosto w oczy.

Chcę, by wrócił ten Henri, którego kiedyś znałam, mężczyzna, który bez zapowiedzi zjawia się rano, w nocy albo w środku dnia w kuchni mojego loftu nad wydawnictwem, patrzy na mnie błagalnie i cicho prosi:

– Hej, Eddie. Padam z nóg. Mogę się u ciebie zdrzemnąć?

Czasem sypiał u mnie przez trzy dni z rzędu. Nawet wtedy stanowił centrum mojego świata, wokół którego kręciły się moje tygodnie, dni i uczucia, napędzane jego obecnością.

To szaleństwo, że nadal go Kocham, nawet jeśli moja miłość tylko się tli. Może to i lepiej. Najwyżej się oparzę, ale z pewnością nie spłonę.

Pulsometr pika rytmicznie, a ekran elektrokardiografu pokazuje, że serce przyspiesza.

– Co się dzieje? – pytam doktora Fossa, który nerwowo pociera czoło. – To normalne?

Nikt nie odpowiada.

Jego zdradzieckie serce pędzi, galopuje, ono... nie, nie galopuje, porusza się chwiejnym krokiem, zatacza się...

Niebieską zasłonkę rozchyła zdyszany, piegowaty dryblas z szeroko otwartymi oczami. Pod zielonym kitlem ma granatowy mundurek z emblematem szkoły i niebieską koszulkę polo.

Podchodzi do łóżka.

Pęka mi serce, kiedy patrzę na jego twarz zasłoniętą maseczką, kiedy między dwoma uderzeniami serca przybywa mu lat. Z jego gardła wydobywa się rozpaczliwa skarga:

– Tato?

Zaraz, zaraz. Tata?

Henri M. Skinner ma syna?

SAM

Wokół mojego ojca zgromadził się tłum.

Tata wygląda jak pogrążony w głębokim śnie, a jego serce bije tylko raz na godzinę.

Odsunięto na bok cienkie niebieskie prześcieradło, pod którym leżał. Skóra taty ma kolor proszku do pieczenia, tylko na ramionach widać ciemną opaleniznę. Do piersi ma przytwierdzone elektrody, które przypominają wielkie oczy, za pomocą długich rzesz połączone z maszyną.

Wraca do mnie to, co Scott mówił o Michaelu Schumacherze i o ludziach, którzy nagle zamieniają się w żywych umarłych.

– Tato?

Mój głos brzmi jak żółta czwórka, jest słaby i cichy, nie podoba mi się.

– Sam. Przyszedłeś. Twój tata się ucieszy – mówi doktor Foss.

Bezwiednie biorę ojca za rękę, jak przez ostatnie dwa tygodnie. Zanim jednak udaje mi się go dotknąć, jego dłoń unosi się szybko w górę, a ja odskakuję w tył i wpadam na Fossy'ego.

Tata wzdycha, jego ręka opada na bok. Jego ciało wije się i pręży niczym ogrodowy szlauch.

Doktor Foss odsuwa mnie od łóżka.

Od ojca odgradza mnie teraz mur pleców.

Czuję, że tata przechodzi przez strefy, pokonuje kolejne piętra światów, pędzi od jednego kręgu życia do następnego. Śpiączka, sen, oszołomienie, prosto do centrum, ku przytomności. Jednocześnie ściga go nieprzenikniony mrok, depcze mu po piętach, dopada go i wciąga z powrotem w otchłań.

Nigdy wcześniej nie czułem tak wyraźnie obecności ojca.

– Tato!

– EKG pokazuje częstoskurcz komorowy, brak tętna – mówi jeden z lekarzy.

Ręce sięgają po strzykawki, kaniule, sondy i rurki.

– Defibrylator trzysta sześćdziesiąt.

Obok elektrod na klatce piersiowej taty pojawia się jeszcze jedno, czerwone oko.

– Doktorze Saul, migotanie komór!

– Spokojnie, tylko spokojnie. Poziom glukozy we krwi?

– Trzy, dwa, jeden.

Nucenie, odgłos uderzających o siebie zderzaków.

Ciemność rozprasza się jak czarny dym.

Oto mój tata. Jest! To ON!

Latarnie morskie. Bomby. Garnek na mleko – przed oczami stają mi kolejne

obrazy. Nie wiem, skąd się biorą. Nie. Nieprawda. Wiem. Ale tego nie rozumiem. Widzę cienie otaczające ojca, czuję odwagę i rozpacz. Te obrazy są w nim.

– Masaż serca trzydzieści na dwa.

Dwie dłonie naciskają na klatkę piersiową. Rozlega się odgłos łamanego spaghetti.

– Zatrzymanie akcji serca.

O tu, luka między dwoma kitlami.

Ojciec ma otwarte oczy! Widzi mnie. Patrzy na mnie!

– Tato! – szepczę.

Samo patrzenie sprawia mu ogromną trudność.

Spojrzenie taty jest coraz bardziej stabilne, tak, chyba się budzi. Wraca, wraca! W jego oczach widzę mnóstwo pytań.

– Spokojnie, spokojnie. Łagodna hipotermia. Jaki czas?

– Pięć sekund, doktorze Saul.

Ogłuszający hałas. Wysokie, ostre dźwięki.

– Adrenalina.

– Siedem.

– Wyprowadzić chłopca!

– Osiem, dziewięć...

Zapada głucha cisza. I nagle rozlega się krzyk...

On mnie widzi, ale jego obecność słabnie, rozprasza się, jest smutny, nieskończenie smutny i...

– Przygotować antyarytmiczny amiodaron, tylko szybko. Mamy jednaście, ale za chwilę sytuacja stanie się krytyczna, nie zamierzam dopuścić do śmierci z powodu wychłodzenia, rozumiano!?! Proszę wyprowadzić stąd chłopca, nie przestaje krzyczeć!

– *Outcome!*

Ktoś chwyta mnie za rękę. Głos, spokojny, ciemny i pewny jak ciemnozielona ósemka mówi:

– Sam, on nie umrze, nie może, słyszysz? Nie może, wiele lat temu zapomniał, jak to się robi. Sam? Chodź! Chodź ze mną!

Ten ostry dźwięk to mój krzyk, który dzieli się na pojedyncze słowa:

– Nie! Nie! Nie!

A potem wzbiera we mnie gniew na mojego ojca i nienawiść do lekarzy, którzy wszystko spartaczyli!

Wydaje mi się, że spadam, spadam, spadam.

Nieznajoma kobieta o jasnych, wilczych oczach obejmuje mnie, próbując powstrzymać kolejny wybuch.

HENRI

Spadam.

Potem widzę swój cień na asfalcie, który błyskawicznie się zbliża.

Odgłos pękającej skorupki jajka, rozbijanego o krawędź porcelanowej filiżanki.

Spadam po raz tysięczny, a coś patrzy, jakby mi się uważnie przyglądało, i nagle otwiera ogromne usta.

Szczelina w dnie jeziora wciąga mnie do środka.

Nagle jakaś siła wypycha mnie w górę.

Wznoszę się błyskawicznie jak złapany przez rybaka na wędkę. Serce boli, jakby wbił się w nie haczyk.

Wynurzam się prędko, szybuję nad wodą, oślepiające światło...

– Adrenalina.

– Siedem.

– Proszę wyprowadzić chłopca!

... tracę równowagę. Unoszę ręce, brak mi tchu. Chcę się zatrzymać i nagle widzę chłopca, który mi się przygląda, a jego spojrzenie trzyma mnie przy życiu.

– Tato – mówi.

– Osiem, dziewięć, dziesięć.

I krzyk.

Nad pulsującymi światełkami dostrzegam świetlówki, kitle i rurki. Słyszę maszyny i wyczuwam pod sobą twarde łóżko.

Jestem... jestem tutaj!

Mam ochotę powiedzieć: „Proszę, jestem tu!”.

Nikt mnie nie widzi.

Poza moim synem.

Ktoś chwyta mnie za rękę i rozpoznaję kształt palca, fakturę skóry, a pod nią napinające się mięśnie. Znam tę dłoń, należy do...

Eddie!

Trzymaj mnie, Eddie! Nie chcę umrzeć, błagam cię, trzymaj mnie!

Potem widzę siebie.

Widzę swoje odbicie w metalowym stojaku, na którym wiszą dwa woreczki podłączone do kroplówki. Moją twarz wykrzywia grymas, a głowa wygląda jak zmiażdżona. Oczy robią się szkliste, gładkie i twarde, a ja znikam, zapadam się w sobie i znikam w otchłani.

Eddie! Trzymaj mnie! Trzymaj!

Trzyma mnie, próbuję podciągnąć się na jej ręce, żeby wrócić do sali, do życia, ale brak mi sił.

Potem dzieje się coś niepojętego.

Ona mnie puszcza!

Spadam w przepaść bez dna.

Wysoko, wysoko nade mną zasuwa się wielka szyba, tafla barwionego szkła, jakiego używa się w witrynach sklepowych. Spadam i znikam w swoim wnętrzu. Jezioro pokrywa się ciemną, grubą, nieprzeniknioną warstwą lodu albo szkła, która odcina mnie od świata.

Szyba zdaje się unosić na powierzchni wody, kiedy ja spadam coraz głębiej.

Barwy, dźwięki i zapachy słabną. Świat jest pusty, wyciekło z niego... życie.

Eddie już mnie nie kocha.

Już mnie nie kocha, płacze moje serce, które przestało bić.

EDDIE

Doktor Saul nas wyrzucił.

– Zaprowadźcie ich do kaplicy – zakomenderował, dlatego teraz siedzimy w najspokojniejszym pomieszczeniu w szpitalu. Jest tu tak cicho jak na dnie morza.

Chłopiec skulił się w moich ramionach, zamknął oczy i palcami wskazującymi mechanicznie pociera kciuki. Cały czas coś szepcze. Trzymam go, a jego głowa zdaje się idealnie dopasowana do zagięcia w moim łokciu.

Chcę mu powiedzieć, że zanim go chwyciłam, jego ojciec uścisnął moją dłoń.

Zaraz mu to powiem. Zaraz.

Ma na imię Sam. To syn Henriego.

Henri ma syna.

Przybył do mnie ze świata, którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Jestem tak zdumiona, jakbym po raz pierwszy wzięła na ręce nowo narodzone dziecko moich przyjaciół albo pracowników mojego wydawnictwa. Dziwię się, że tak mała istota ma tyle siły. Wydaje się taki drobny, ale już w pełni ukształtowany.

Sam wciąż coś szepcze i w końcu słyszę jego modlitwę:

– Wróć!

Przyłączam się do niego. Modlę się najpierw bezgłośnie, a potem szepcem:

– Wróć!

Powtarzamy to jedno słowo. Razem modlimy się do naszych ojców:

– Wróć! Wróć!

EDDIE

Zamykam oczy i przyciskam do siebie mocniej chłopca.

Tato, myślę, pomóż mi!

Znowu czuję jego dłonie na moich ramionach. Teraz jednak nie tłumię tego wrażenia, jak tamtej nocy, kiedy ojciec przeszedł na drugą stronę.

Kiedy umarł. Nie owijaj w bawełnę, Edwinno. Znasz przecież słowo „umierać”! On nigdzie nie przeszedł. Jak ktoś przechodzi na drugą stronę, to zawsze może wrócić. A on odszedł na zawsze i nigdy go już nie zobaczysz. Przestań się wreszcie łudzić! On odszedł. Na zawsze.

Nagle przeszywa mnie ból, bo uświadamiam sobie, że mogę usłyszeć głos ojca wyłącznie w wyobraźni. Wspomnienia głosu ojca, jego zapachu, rytmu jego kroków na asfalcie są jak gwiazdy, które powoli się wypalają.

Sam ściska mnie mocniej.

Czuję dłonie ojca na ramionach. Słyszę jego głos dobiegający z ciemności:

– Edwinno, słoneczko, ciii, ciii, no już! No już, posłuchaj mnie! Słuchasz mnie?

Zawsze tak robił, kiedy budziłam się w nocy, płacząc ze strachu. Wtedy śpiewał. To, co akurat przyszło mu do głowy, czasem na oczekaniu układał melodię do słów wiersza, który właśnie przeczytał z zapomnianej książki, kiedy kontrolował latarnię morską. Innym razem obywat się bez słów i nucił niepowtarzalne melodie, pochodzące prosto z jego mocno bijącego serca.

Trzymał mnie w swoich ciepłych ramionach jak śmiertelnie przerażonego ptaka, a ja, wtulona w jego pierś, słuchałam tego uspokajającego śpiewu.

– Trzeba przestać myśleć – odpowiedział, kiedy zapytałam go, skąd przychodzą mu do głowy te melodie bez słów, których nikt nie spisał i nigdy nie spisze. – Nie myśl, idź za obrazem, który w sobie widzisz i powoli odtwórz go swoim głosem. Nie szukaj słów, żeby oddać swój ból i smutek... znajdź miejsce i wyśpiewaj je.

HENRI

– Już niedaleko – uspokaja mnie ojciec.

Siedzi za mną. Zawsze tak siadaliśmy, tata wiosłował, a między moimi stopami leżały wycierze na homary.

Iroise, wściekle morze, gładkie, o jasnoniebieskiej metalicznej barwie, prawie przezroczyste. Atlantyckie nabiera takiego koloru tuż przed zachodem słońca. Wyczuwam na plecach promienie słońca, tak ciepłe i jasne jak wtedy w sali...

Wtedy? Kiedy? W jakiej sali?

Most. Zapach smoły. Uczucie spadania coraz głębiej, pokrywa ze szkła, która się nade mną zamyka. Puszczą mnie czyjaś ręka, a ja tonę. Przerazające wspomnienia uwalniają się i rozwiewają jak dym. Pewnie przysnąłem i coś mi się przyśniło. Czasem mi się to zdarza, kiedy wypływamy małą niebieską łódką, która poza sezonem – odpowiednio zabezpieczona i osłonięta przed wiatrem – stoi pionowo oparta o mur ogrodu zimowego w domu mojego dziadka Malo, w Ty Kerk niedaleko Melon. Przez resztę roku jest na wodzie.

Czuję ciepłe promienie na moich rękach, nogach, całej skórze, robię się senny i jest mi tak błogo. Mój cień chyba odłączył się ode mnie, wpadł do wody i cicho się oddalił.

Wszystko jest lekkie i spokojne. Jak w pierwsze dni wakacji, kiedy dwa miesiące bez szkoły rozciągają się w nieskończoność niczym bezkresne błękitne niebo.

Odwracam się, tata się do mnie uśmiecha i znowu patrzę przed siebie.

Jak tu cicho.

Gdzie skrył się wiatr? Gdzie się podziały fale uderzające o piach i skały? Czemu niebo znieruchomiało?

Coś się tu nie zgadza.

Już wiem, czego brakuje. Typowego zarysu wybrzeża. Wysp. Zniknęły też gdzieś latarnie morskie.

To niemożliwe. Nad żadnym innym morzem na świecie nie stoi tyle latarni morskich zbudowanych na wysepkach i olbrzymich granitowych skałach wśród spienionych bałwanów niż nad dzikim Iroise, na krańcach Bretanii, gdzie wody kanału La Manche i Morza Celtyckiego zderzają się z falami Atlantyku.

Gdzie się podziały latarnie morskie? La Jument, Pierres Noires, La Four?

Gdzie są wyspy La Molène i Ouessant, za którymi, jak głosiły legendy, rozciąga się nieskończoność?

– Już niedaleko – wyjaśnia ojciec.

Odwracam się do niego, pali papierosa bez filtra, tak jak zawsze, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym, ale zapach dymu jest dziwnie słaby. Jego

twarz to oblicze morza. Maluje się na niej ogromny spokój, jego spojrzenie nawykło do patrzenia w dal i pogodnie znosi widok nieskończoności, która nocą ciemnieje, a w dzień staje się wielką, poruszającą się i oddychającą istotą.

Mój ojciec Yvan ma na sobie rybacki sweter w biało-niebieskie pasy, zapinany na lewym ramieniu na trzy guziki, i wyblakłe jeansy. Nie nosi skarpet. Yvan Le Goff od kwietnia do października zakłada buty na bose stopy.

Tak był ubrany w dniu, w którym umarł.

Prawie trzydzieści lat temu.

Podrywam się tak gwałtownie, że łódź się kołysze. Odskakuję od mojego ojca, chowam się za ławkę.

Tata utopił się w wieku czterdziestu dwóch lat.

Ja miałem wtedy trzynaście.

On nie żyje!

– Umarłeś – szepczę. – Byłem przy tym.

Ojciec nie odpowiada, wiosłuje dalej. Niebieska łódź bezgłośnie sunie po nieruchomym, pofałdowanym morzu.

Przecież przy tym byłem.

Wyłynęliśmy, żeby sprawdzić węćierze rozmieszczone przy bojach. To był sam środek sezonu na homary.

Tata odwrócił się plecami do otwartego morza, choć nigdy tego nie robił.

To pierwsza zasada bretońskich rybaków. Nie odwracaj się do niej plecami! Do niej, bo morze po francusku to *la mer*, rzeczownik rodzaju żeńskiego. Jest tak nieobliczalne jak wszystkie kobiety.

Ale ojciec spojrzał w kierunku lądu. Próbowałem utrzymać łódź w równowadze i wymyśliłem kłamstwo, które chciałem później powiedzieć jemu i mojemu dziadkowi. Mimochodem, żeby zabrzmiało przekonująco. Nigdy ich nie okłamałem.

– To tutaj, Henri. Zatrzymaj łódkę! – zawołał tata, chwytając śliską linę, na której końcu przymocowany był węćierz leżący na dnie.

Zamierzałem powiedzieć, że pojedę na rowerze na bretońskie święto nocy do Porspoder, ale tak naprawdę chciałem się spotkać ze Sionie. Obiecała, że mnie pocałuje.

– A co to takiego? – zapytał ojciec, szarpiąc za linę.

Łódź się znowu zakołysała. Tata wciąż stał tyłem do morza.

Nad nami przeleciała mewa, gniewnie pokrzykując. Nagle ucichła.

Kiedy ptaki morskie milkną, zapowiada się jakieś nieszczęście. Spojrzałem na nią.

A potem zobaczyłem falę. Była wielka. Zbyt wielka.

– Tato! – krzyknąłem.

Ale ona już się zbliżyła, groźnie górowała nad nami, jej wnętrze było czarne.

Potem wściekle uderzyła w łódź jak ogromny młot i wtedy...

Przez moment poczułem w skroniach tępy biały ból. Opadłem na ławkę, trzymając się za głowę. Usłyszałem warkot podobny do odgłosu piły i nagle ból ustąpił.

A z nim odeszło wspomnienie tego, co się kiedyś wydarzyło.

Zanurzam dłonie w wodzie, żeby je ochłodzić, chcę je położyć na skroniach, żeby złagodzić ból. Kiedy wychylam się za burtę i palcami dotykam lustrzanej powierzchni, widzę coś niezwykłego. Nie wierzę własnym oczom.

Szybko podnoszę rękę.

To niemożliwe!

– Zostaw je! – mówi mój ojciec.

Je?

Czy to naprawdę one? Pod powierzchnią wody kołyszą się bezgłośnie z otwartymi oczami, trzymane przez niewidzialne nici, zakotwiczone w nieprzeniknionych głębinach.

Nigdy nie poznałem tej ogromnej głębi Iroise. Powiadają, że zawsze w końcu spada się na dno. Ale to, co przed chwilą zobaczyłem, wisiało w nieskończenie głębokiej toni, w której przepływały chmury.

– Dotarliśmy na miejsce – oznajmia ojciec.

Łódź delikatnie przybija do brzegu pagórkowatej wysepki, która ma około stu metrów szerokości i dwustu metrów długości. Spod trawy wyzierają granitowe skały połyskujące w słońcu, a piękna piaszczysta plaża biegnie wzdłuż całego wybrzeża.

Nieopodal widzę niebieskie drewniane drzwi zawieszane na framudze. Są półotwarte.

Wyglądają dokładnie tak jak drzwi frontowe domu w Ty Kerk.

Ty Kerk.

Naleśniki smażone przez mojego dziadka Malo na płycie rozgrzanej nad ogniem płonącym na kominku, posmarowane bretońskim masłem z solą morską i posypane cukrem. Błogie zmęczenie, gdy zasiadaliśmy przed ogniem w jesienny wieczór. Kroki na skrzypiącym śniegu, na pokrytej lodem łące. Gwiazdy na fioletowym niebie.

Ty Kerk. Jedyne miejsce, w którym panowała absolutna harmonia.

Śmierć ojca. Moja wina.

Śmiech Eddie. Zawsze kiedy czytamy, trzyma mnie za rękę.

Niszczę moją Eddie, palę jej kochające serce.

Sam zaciska piąstki. Widziałem moje dziecko raz, a potem już nigdy.

Tata wyskakuje z łódki, wciąga do niej wiosła.

– Chodź! – woła. – Zaraz będzie po wszystkim i wrócisz do domu.

Podchodzi do drzwi, odwraca się do mnie i czeka.

Posłusznie idę za nim.

Obejmie mnie? Wreszcie mnie obejmie?

Za drzwiami jest jakieś piękne miejsce, wiem o tym.

Tam nic się nie kończy. Tam można osiąść całe szczęście tego świata. Przejdę przez te drzwi, a one się za mną zamkną. Nareszcie znowu będę z ojcem. I z dziadkiem. Oni podtrzymywali na ramionach mój świat. Byli dwoma biegunami, moim oddechem i pulsem, moim księżycem i morzem, dniem i nocą.

Wróć! – szepczą dwa głosy w mojej głowie.

Ignoruję je.

Przyspieszam kroku. Za drzwiami jest Ty Kerk, dom dziadka Malo między gwiazdami i morzem. Nocami, kiedy wściekłe Iroise rzucało się na przybrzeżne rafy, a fale wznosiły się coraz wyżej i wyżej, dwustuletni dom zbudowany na granitowej skale oddychał i skrzypiał jak statek na rozszalałym morzu.

Ale wytrzymał. Zawsze.

Tata się uśmiecha i przechodzi przez drzwi.

Malo, mój dziadek, siedzi przy drewnianym stoliku przed kominkiem i czyta Prousta albo wiersze. Od czasu do czasu cytuje na głos jakiś fragment. Ojciec pewnie majsterkuje w drugim kącie, może robi ramy do obrazów z tego, co wyrzuciło morze, albo lampę z abażurem z miseczki na stojaku z sękatego korzenia orzechowca. Tata żartobliwie komentuje cytaty przytaczane przez dziadka albo milczy pochłonięty swoją robotą. Zawsze umiał zrobić coś z niczego. Był w tym naprawdę dobry. Mój ojciec znał się na rzeczy.

Ale nie na ludziach.

Przede mną otwierają się drzwi. Nareszcie wszystko się skończy. Wszelki znój. Wszelkie cierpienie. Wszelki lęk. Wszelki ból. Wszelki smutek. Wszelka tęsknota. Wszelkie rozczarowanie. Wszelki strach. Wszelki...

Eddie się uśmiecha.

Przygląda mi się, myśląc, że jeszcze śpię i nie widzę, że mnie obserwuje.

Eddie. Miłość mojego nieprzeżytego życia. Matka moich nienarodzonych dzieci.

– Henri? – pyta przyjaźnie mój ojciec, wysuwając głowę z niebieskich drzwi.
– Idziesz?

Wracaj! – szepcze łagodny wiatr. Dobiega z bezkresnego morza, pod którego szarą, lśniącą powierzchnią unoszą się postacie śpiące z otwartymi oczami, pogrążone we śnie tak głębokim, że nawet nie wiedzą, gdzie się znajdują.

Wracać? Ale dokąd?

Stoję. Nasłuchuję.

Sam. Zaciska piąstki, kiedy śpi.

Podmucha wiatru otwiera szerzej drzwi. Czy w kominku już pali się ogień? Czy słyszę dziadka Malo, który półgłosem czyta bretońską *marvailhoù*, starą,

tajemniczą legendę z międzyświata?

A może to moja opowieść, może wszyscy jesteśmy tylko historiami, które właśnie ktoś czyta i może to ratuje nas przed ostatecznym zapomnieniem?

Przypomina mi się „wiecznie pogrążony w lekturze” mnich mieszkający w górach na granicy Austrii i Włoch. Codziennie czyta, od rana do wieczora, bo chce utrzymać przy życiu bohaterów opowieści.

Ojciec przygląda mi się z niepokojem.

– Henri, chodź, proszę. Za długo zwlekasz z decyzją. Drzwi za chwilę się zamkną.

Coś sprawia, że nie mogę się ruszyć.

– Henri! Proszę cię. Nie powinienes za długo pozostawać pomiędzy światami.

Pomiędzy światami? Co to znaczy? Jakimi światami?

Ojciec wciąż mi się przygląda, jakby chciał mnie zganić: „Nie słuchałeś? Nie słuchałeś Malo, kiedy powierzał ci tajemnice morza?”

La Mer to kobieta, zna wszystkie brzegi i chroni umarłych, którzy z Île-de-Sein wypływają barką na morze, by dotrzeć do wyspy, której nie ma na żadnej mapie. Kochankiem la Mer jest czas. Razem płodzą śmierć. Sny i ludzie to ich potomstwo.

– Między światami można się łatwo zagubić. Chodź, Henri! Błagam cię. Nie chcę cię znowu zgubić.

On zgubił mnie? Jak to? Przecież to ja zgubiłem jego.

Nagle drzwi się gwałtownie zamykają, otwierają i znowu zamykają. Otwierają się i zamykają z głośnym trzaskiem. Grożą mi, krzyczą: „Lepiej się pospiesz!”

Drzwi otwierają się tak, jakby mnie zapraszały i kusiły, bym wtulił się w nagrzaną słońcem kąt Ty Kerk, odnalazł tam spokojną, bezpieczną kryjówkę, gdzie od czasu do czasu rozbrzmiewają pomruki taty, Malo śmieje się pod nosem, czytając książkę, pies posapuje przez sen, kot mruczy, a ogień trzaska w kominku. Wszystko będzie dobrze. Już zawsze.

Nie ruszam się. Nie wiem, skąd biorę siłę, by oprzeć się tej pokusie. Tata patrzy na mnie i mówi czule:

– Ach, Henri, już za późno. Spójrz!

Robi gest w moim kierunku. Nagle uderza we mnie fala doznań tak intensywnych, że przenikają do każdej komórki mojego ciała. Jest tak potężna, że wdiera się do mojego wnętrza. Zalewają mnie obrazy, uczucia i myśli.

I raptem widzę wszystko z oszalamiającą jasnością.

Nagle wiem, czego człowiek żałuje najbardziej w ostatnich sekundach życia, kiedy nie da się już nadrobić zaległości.

Widzę to i wydaje mi się to tak logiczne.

Jak głupi jest człowiek. Ciągłe zapomina o tym, co najistotniejsze. Podąża od śmierci do śmierci, od życia do życia! Ja też o tym zapomniałem. Co więcej, kiedy tylko miałem okazję dotrzeć do centrum mojego świata, rezygnowałem w pół drogi.

– Twój czas minął, Henri. Odejdź!

Tak, zasłużyłem właśnie na to, by odejść i zostać zapomniany. Nie żyłem prawdziwym życiem.

Teraz żałuję, że zawahałem się przed skokiem, że uciekałem, kiedy trzeba było zostać, że milczałem, choć należało mówić!

Tracę równowagę.

Cofam się, krok za krokiem, do małej niebieskiej łódki.

Ojciec stoi nieruchomo na brzegu wyspy z opuszczonymi rękami, w jego wielkiej, spokojnej twarzy widać bezgraniczny smutek.

– Henri! Nie możesz tak po prostu wrócić. Zgubisz się tam, między światami. Rozumiesz?

Nie wiem, co ma na myśli, mówiąc „między światami”. Już nie czuję piasku pod stopami. Nic już nie czuję. Kiedy spycham łódkę na wodę, wydaje mi się, że porusza się sama, jakbym przemieszczał ją siłą woli.

Ojciec osuwa się na piach. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Załamuje ręce.

Niepewnie wsiamam na łódkę i podnoszę wiosła.

Morze próbuje mi je wyrwać z rąk, ściskam je mocniej.

– Uważaj na siebie! Nie schodź na ląd i unikaj sztormu! – woła mój ojciec. – A kiedy wpadniesz do wody po zmroku, wtedy...

Nie słyszę, co mówi. Morze umierających już mnie pochwytiło i czym prędzej unosi z dala od niego.

Próbuję poruszyć wiosłami, drżą, bronią się, ale kiedy zaczynam nimi energicznie uderzać spienione, falujące morze, poddają się mojej woli.

Nie wiem, do kogo powinienem się modlić z prośbą o pozwolenie na powrót. Tak bardzo chciałbym otworzyć oczy i popatrzeć na Eddie. To jej twarz pragnę zobaczyć, zanim na zawsze zasnę. Muszę też powiedzieć Samowi, że szedłem na spotkanie z nim. Tak bardzo zależało mi, żeby się z nim spotkać.

Wyspa z otwartymi drzwiami znika za horyzontem.

Odwracam się i widzę granitowe rafy przypominające pięści, które wynurzają się z fal. Z wody wyłania się wielka bryła, wygląda jak waleń rozpostarty na dwóch oddalonych od siebie skałach. Dostrzegam dziewczynkę z długimi blond włosami, która siedzi i patrzy na morze.

– Hej! – wołam.

Dziewczynka się nie odwraca.

Nie widzę bezpiecznego brzegu. Nigdzie.

Przybyłem z miejsca, gdzie niebo było błękitne i przyjazne, ale teraz za

moimi plecami w ciemności kłębią się burzowe chmury. Grzmi. Wpatruję się w dal i widzę, że gdzieś tam woda rozpryskuje się, uderzając o skały.

Tam! Osłaniam oczy. Tak, tam w tyle!

Fale rozbijają się o przybrzeżne rafy, mleczna kipiela wzbija się w powietrze, rozprasza na krople, które wpadają z powrotem do morza, by po chwili spieniona woda znowu mogła uderzyć w niewidoczną przeszkodę.

Morze wyje wściekle.

Rafa jak szklana ściana. A za nią...

Mgła?

Siadam na ławce łódki.

Muszę zabrać tę dziewczynkę siedzącą na skale w kształcie walenia. Ale gdzie ona zniknęła? Była tu jeszcze przed chwilą.

Pod dziobem niebieskiej łódki wyczuwam wzbierający wir. Przyływ się cofa.

Wycie robi się coraz głośniejsze, jakby morze zamieniło się w gigantyczny wodospad, spływający w huczącą, czarną głębię.

Odwracam się.

Fale wzniosły się w górę jak wielopiętrowe, rozpadające się budynki. Przełamują się i rozpryskują. Teraz widzę, że morze uderza o wielki szklany tunel, wypełniony ciemną mgłą.

Mój strach smakuje jak krew.

Zimą wybrzeże Iroise wyglądało tak, jakby szaroniebieskie, ciężkie, falujące morze chciało z rozbiegu wskoczyć na ląd, na ukształtowane przez wiatr i porośnięte trawą pagórki, żeby wyrwać ludzi z łóżek.

Z takim samym impetem fale rzucają się na ten tunel, w którym kłębią się czarne obłoki. Wydaje mi się, że w środku widzę gwiazdy, wierzchołki drzew, szczyty gór i zarysy miast, ale obrazy przemierzają się tak szybko, że nie jestem pewien, czy to nie złudzenie. Tunel rozciąga się na prawo i lewo i znika za horyzontem, a fale uderzają o niego i rozpryskują się, tworząc białą pianę. Niebo się zachmurzyło, jest chorobliwie żółte i gdzieś tam szare jak dym.

Łódź kołysze się, zanurza i przechyla groźnie na boki. Przez burtę do środka wlewa się spieniona woda.

Wychylam się i widzę tworzący się w pobliżu wir.

Co kryje się za tą granicą, która przebiega przez morze umierających?

Co się za nią znajduje...?

... albo kryje w środku?

Wir otwiera się przede mną.

Zaczyna wciągać moją łódź w głębinę, w kierunku szklanego tunelu. Jedyne, co przychodzi mi na myśl: chcę wiedzieć, co tam jest.

Przez krótki moment łódź balansuje na skrajach wiru i nagle z impetem spada

w dół.

Ogromna siła rozrywa moje ciało. Głowa, ramiona, kręgosłup.

Proszę. Proszę. PROSZĘ!

Nade mną tworzy się chłodna, płaska tafla, cień gwałtownie spada na mnie jak wielka dłoń utworzona tylko z wody. Spadam, płynę, otaczają mnie światła, kolory i głosy, tonę, rozpuszczam się, spadam, coraz szybciej, spadam i...

SAM

Wyraźnie słyszę bicie jej serca. Czuję jej perfumy, kiedy koniuszkami palców delikatnie głaska mnie po głowie, jakbym był zrobiony z delikatnego szkła. Słyszę jej strach i uporczywą nadzieję.

I coś jeszcze.

Jest mi ciepło i błogo. Znowu swobodnie nabieram powietrza do płuc.

Słyszę jej oddech, moja dusza znajduje oparcie w jej sercu, słyszę, jak jej westchnienia zamieniają się w dźwięki, które układają się w ulotną melodię, inną niż fortepianowe pasaże w pokoju Madelyn.

Jej śpiew jest jak wiatr, który długo błąkał się po ziemi i teraz muska chłodną, oszronioną pokrywą lodową na szerokiej, długiej i zamarznętej rzece, jakby czegoś szukał. Potem melodia zamienia się w ciepły promyk słońca, który igra na powierzchni wody, aż w końcu pada na nieruchomą rzeźbę lodową, wewnątrz której bije serce.

Moje serce.

Śpiew Eddie roztapia lód i otula moje serce. Łagodny wiatr niesie mnie nad łańcuchem górskim i czarnym lasem. Wracam tam, gdzie wszystko jest jasne i dobre.

Jej serce uderza jeszcze dwa razy i otwierają się drzwi do kaplicy.

Wchodzi doktor Saul, siada na podłodze, opiera głowę o ścianę i zamyka oczy. Eddie przestaje śpiewać.

– Samuelu – zaczyna doktor Saul, a ja już wiem, że kiedy Bóg mówi do mnie po imieniu, to zły znak.

DZIEŃ 17

EDDIE

Saul przesuwa w naszą stronę skan mózgu, wynik badania elektroencefalografem i jakieś wydruki z wieloma tabelkami i danymi. Skala Innsbruck, skala Edynburg 2. Henri dostał sześć punktów na skali śpiączki Glasgow. Obok widnieje informacja: średnia bądź ciężka śpiączka. Trzy punkty oznaczają śmierć mózgu. Gdyby dostał piętnaście, byłby tym człowiekiem, którego znałam.

Spoglądam na Sama. Ma poważną twarz, jakby w okamgnieniu wydorował. Pod stołem skubie paznokiec. Siedzi nieruchomo, jakby zamienił się w kamień.

– Pan Skinner po zatrzymaniu akcji serca na osiemnaście minut zapadł w śpiączkę. To nie choroba, ale raczej reakcja obronna mózgu. Człowiek zagłębia się w sobie i odcina od świata, który zadaje mu ból i wywołuje lęk.

Oczywiście wyobraźni widzę Henriego, który z rękami uniesionymi w geście kapitulacji odchodzi z tego świata. Zasadniczo śpiączka to tylko logiczna konsekwencja jego drogi życiowej: byle dalej stąd!

Nie chcę o tym myśleć. Ale jestem na niego wściekła. Najchętniej bym teraz coś rozwalila. Nie wiem, czy sama dam sobie radę. Mam ochotę zadzwonić do Wildera i poprosić go, żeby tu przyjechał. Ale on nie wie, że tu jestem, nie wie nawet, że w moim życiu był kiedyś Henri. I że nadal w nim jest jako groteskowe widmo.

Jak zawsze. Do cholery, zawsze tak było: Henri, mężczyzna, którego nie ma, a przez to jest zawsze.

Doktor Saul wyciąga kartkę i zaczyna na niej rysować okręgi.

– Już objaśniłem Samuelowi ten model. – Pokazuje na środek, który oznacza strefę przytomności. – Idąc od tego punktu na zewnątrz, przechodzimy przez następujące obszary: zamroczenie, sen i śnienie, utrata świadomości, śpiączka i śmierć. – Doktor Saul stawia krzyżyk w strefie oznaczonej jako utrata świadomości. – Tu był. – Potem dodaje krzyżyk w obszarze śmierci. – Tu też. – Ostatni krzyżyk kreśli w obszarze śpiączki. Na moje oko jest zbyt blisko rejonu śmierci. Właściwie na samej granicy.

– To miejsca, a nie stany – szepcze Sam.

Mówię to, co udaje mi się wydobyć z plątaniny myśli w mojej głowie:

– Wróci stamtąd?

Doktor Saul waha się przez sekundę.

Przez sekundę. Tyle trwa jedno uderzenie serca u dorosłego człowieka, który się nie boi. Tyle czasu potrzebuje światło, by przebyć 299 792 kilometry. Tyle wystarczy, by uświadomić sobie, że życie bez ukochanej osoby nie ma najmniejszego sensu.

Ale jak ciężka może być jedna sekunda strachu!

Dlaczego doktor Saul nie odpowiedział szybciej? Zastanawiał się, czy nas okłamać? Nie sądzę. Nie lubię go, ale nie jest kłamcą.

– Tego nie wiemy – odpowiada doktor Saul z namysłem.

Jak zawsze. Nie mówi „tak”.

Ale nie mówi też „nie”.

– Teraz jest na granicy śmierci? – pyta Sam głosem nastolatka przechodzącego mutację i pokazuje na samotny mały krzyżyk na obrzeżach najbardziej zewnętrznego okręgu.

Doktor Saul przytakuje.

– Tak, Sam. Ale żyje. Tylko inaczej. Rozumiesz? Śpiączka to też życie, ale trochę inne niż nasze. To sytuacja graniczna. To kryzys, tak, choć takie życie wcale nie jest mniej wartościowe niż twoje albo pani Tomlin. Dlatego mówimy, że ktoś żyje w śpiączce, a nie leży w śpiączce.

– Ale dwa dni to... to początek czegoś, co będzie trwało zawsze?

Doktor Saul znowu milczy, długo, o wiele za długo.

Błagam, powiedz, że Henri może obudzić się jeszcze dziś w nocy. Albo jutro.

Wtedy powraca ból, bo znowu przypominam sobie, że głos ojca mogę usłyszeć tylko we własnej wyobraźni, we wnętrzu mojego ciała. We wspomnieniu, które jak gwiazdy powoli się wypala.

Pęka mi serce na myśl o Samie. Jest za młody, żeby tracić ojca, zanim zdążył go poznać. Tęsknoty nie da się wyleczyć. Chętnie chwyciłabym go teraz za rękę, ale on cały czas otula się ramionami. Przypomina trochę swojego ojca.

Znowu wstrzymuję oddech, a moje mimowolne westchnienie doktor Saul błędnie interpretuje jako oznakę sceptycyzmu.

– Śpiączka to jedno z najsłabiej poznanych przez naukę zjawisk, pani Tomlin. Nie wiemy o niej dostatecznie dużo, a dostępne statystyki mówią nam niewiele o przyczynach i istocie tego stanu. Najprawdopodobniej dwa dni to początek czegoś, co będzie trwało zawsze. Ale nie na pewno.

– Czy on się boi? – pyta Sam.

Ogryzł kciuk do krwi. Teraz zagryza wargi.

– Nie wiemy, co odczuwa pacjent w śpiączce. Skany mózgu wskazują na to, że coś odczuwa. – Doktor Saul pokazuje na leżące przed nim wydruki. – Niektórzy z moich kolegów twierdzą, że w trakcie śpiączki przez mózg przepływają wszystkie słowa, obrazy i doznania, których doświadczamy świadomie w chwili głębokiego relaksu. Inni są przekonani, że układ limbiczny i mózg gadzi przejmują wtedy kontrolę i odpowiadają za minimalną zastępczą świadomość. Jeszcze inni twierdzą, że mózg to mechanizm. Utrzymują, że wszystko, co odczuwamy i myślimy, miłość, nienawiść, troska i muzyka Rolling Stonesów to wyłącznie

elektronicznie produkowana paplanina naszych synaps. A opowieści o duszy uważają za bajeczki dla grzecznych dzieci. Śpiączka to dla nich tylko wynik przerwy w dostawie prądu do systemu.

Sam znowu dotyka krzyżyka. Jego palec wskazujący drży.

– A czy tam widzi umarłych? – szepcze.

Tym razem doktor Saul nie waha się ani przez sekundę.

– Nie – odpowiada. – Twój ojciec był w stanie śmierci klinicznej. Bardzo często po przebudzeniu pacjenci opowiadają, że widzieli to, co czeka na nas po drugiej stronie. To bardzo podobne do siebie historie o tunelach ze światłem, unoszeniu się w powietrzu, głosach, o błogim spokoju, zmarłych krewnych, którzy na nas czekają. Ale... – Doktor Saul przymyka oczy. – Większość tych doznań i przeżyć da się wyjaśnić. Osłabienie wzroku w trakcie niedomagań fizycznych powoduje, że widzi się światło na końcu tunelu. Uczucie latania albo unoszenia się nad swoim ciałem to typowy symptom zaburzeń funkcjonowania obszaru mózgu odpowiedzialnego za równowagę. Odcięcie od własnego ciała wynika właśnie z uszkodzenia...

– Chyba zrozumieliśmy – przerywam mu.

Sam skulił się na krześle, kiedy doktor Saul zasypał nas gradem fachowych informacji. Samuel nie potrzebuje tej wiedzy. Chce czegoś innego. Może nadziei, której nauka nie daje.

– Wierzy pan w statystyki, a reszta nie ma dla pana znaczenia.

– W nic nie wierzę, pani Tomlin. Ani w statystyki, ani w ekspertów, a już na pewno nie wierzę w to, że wszystko wiem. Może to panią uspokoi.

– Tak, niebywale mnie to uspokoiło.

Wzrusza ramionami.

– A co chciałaby pani usłyszeć? Doświadczenie śmierci? Anioł, Bóg, zmartwychwstanie? A może, że ludzie w śpiączce opuszczają ciało, żeby przemieszczać się w czasie i przestrzeni? Co mam pani powiedzieć? Jestem neurologiem! Po prostu nie wiemy, czy Henri M. Skinner coś widzi, gdzie w tej chwili przebywa i co czuje. Mamy tylko skany, które pokazują, czy on nas słyszy, widzi albo czuje nasz zapach.

Sam pochlipuje. Widzę kątem oka, że jego oczy lśnią od łez, które próbuje powstrzymać. Kładę otwartą dłoń na podłokietniku jego krzesła. Chciałabym go uścisnąć.

– Ale ja go czuję – szepcze Sam.

– Pragniesz tego, ale to niemożliwe – mówi doktor Saul tonem pełnym współczucia.

Teraz po policzkach chłopca płyną łzy.

– To prawda! – mówi łamiącym się głosem.

– Sam, nie oszukuj się, to ci w niczym nie pomoże.

Chłopiec zakrywa twarz dłońmi. Teraz jestem naprawdę wściekła na doktora Saula, że nie starcza mu delikatności, by oszczędzić Samowi cierpienia.

– Jest pan nieznośnym obrzydliwcem, doktorze Saul – stwierdzam.

– To bardzo możliwe, pani Tomlin. Moja żona powiedziała to samo, tuż przed przekazaniem mi dokumentów rozwodowych. Przysłała je e-mailem, żeby uniknąć kolejnej rozmowy.

Układa papiery na jasnym stole.

Widzę jednak, że jest poruszony bezgłośnym płaczem Sama. Ramiona chłopca drżą, w pomieszczeniu panuje cisza.

To moment współdzielonej samotności. Kochanką doktora Saula jest jego praca. Samowi brakuje ojca. A ja... nawet nie zauważyłam, jak silna stałam się przez ostatnie dwa i pół roku bez Henriego.

Wstaję, klękam przed płaczącym Samem i biorę go w ramiona. On wtula się we mnie, a ja wiem, że teraz bez względu na okoliczności nie mogę się rozsytać. Sam się uspokaja.

– Okej – szepcze. – Już w porządku.

Siadam na krześle.

Doktor Saul podsuwa mnie i Samowi siedzącemu na krawędzi krzesła upoważnienie podpisane przez Henriego dwa lata wcześniej.

Widzę datę. To było krótko po tym, jak wyznałam mu miłość. A on mnie nie chciał.

Ale i tak wpisał moje nazwisko do formularza. Co ten idiota sobie wyobrażał?

Upoważnienie nie jest jeszcze ważne. Brakuje na nim mojego podpisu.

– Jeśli Henri Skinner wybudzi się ze śpiączki, będzie potrzebował rehabilitacji. Ale przede wszystkim stałego wsparcia emocjonalnego. I nie przez kilka dni, ale przez wiele tygodni albo miesięcy. A może do końca życia, niezależnie od tego, ile będzie trwało. – Doktor Saul się nachyla, a jego dwubarwne oczy jaśnieją. – Sam, masz trzynaście lat. Bardzo cię lubię, jesteś mądrzejszy niż większość ludzi, z którymi mam do czynienia. Dlatego nie zamierzam cię okłamywać ani traktować jak głupią owcę i opowiadać ci o aniołach, Jezusie i światełku w tunelu. – Doktor Saul patrzy na mnie. – Ale nie będę wymagał od Sama tego, czego wymagam od pani. – Pokazuje na upoważnienie. – Umieranie to również sprawa administracyjna. Czeka nas niekończąca się parada poniżających biurokratycznych procedur. Jeśli pani podpisze ten dokument, weźmie pani odpowiedzialność za ojca Samuela. Może pani to zrobić? Może pani wziąć na siebie taki ciężar? Chce pani odpowiadać za ludzkie życie? Lub śmierć?

Doktor Saul odchyła się na oparcie skórzanego fotela. Rozlega się ciche skrzypienie.

Cholera! Mam ochotę naubliżyć Henriemu za to, że teraz muszę tu siedzieć

i odpowiadać na pytania tego dupka. Czy chcę wziąć odpowiedzialność za twoje życie? Jak mogłeś mi to zrobić, Henri?

– Proszę się zastanowić, czy może i chce pani pomóc Henriemu Skinnerowi. Rozmawiać z nim, pomagać mu się poruszać, być przy nim w każdej sytuacji. Innymi słowy, żyć z nim. Bardziej intensywnie, niż żyła pani z kimkolwiek innym. Codziennie. Przez nieokreślony czas.

A więc na zawsze. Na zawsze, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

Chcę coś powiedzieć, ale doktor Saul nie dopuszcza mnie do głosu, podnosi rękę, która wygląda jak twarda dłoń cieśli, i mówi dalej:

– Nie, nie! Nie musi pani teraz odpowiadać, pani Tomlin. Nie dzisiaj. Tego, co pani powie dzisiaj, nie potraktowałbym poważnie. Jest pani w szoku, jak pijana od emocji i adrenaliny, najchętniej chciałaby pani mi to dokładnie okazać i udowodnić. Wie pani co? To dobrze! To dowodzi, że jest pani twarda i niewiele może panią zaszokować. Trudna, nerwowa, ale godna zaufania.

Podsuwa mi umowę, którą mam zawrzeć ze szpitalem jako przedstawicielka Henriego. Pożeram wzrokiem litery.

Łóżko rehabilitacyjne w szpitalu Wellingtona kosztuje pół miliona funtów. Rocznie. Ubezpieczenie Henriego z funduszu prasowego pokrywa dwa lata terapii.

W Anglii właśnie tyle czasu daje państwo, by człowiek doszedł do siebie po doświadczeniu bliskim śmierci. Mam ochotę coś zniszczyć, na przykład ustawioną na regale z tysiącem książek kolekcję nefrytowych raków, żółwi i koników morskich.

Czytam zdanie: „Wyznaczona przez pacjenta osoba jest upoważniona do...”. Czytam je coraz wolniej.

Decydowałabym o wszystkich kwestiach związanych z jego leczeniem. To ja mogłabym wyłączyć maszyny podtrzymujące życie i pozwolić Henriemu umrzeć.

– Proszę dać sobie dwadzieścia cztery godziny, a najlepiej trzy dni. Niech pani pogada z kimś, kto racjonalnie oceni, czy nie bierze pani na siebie zbyt wielu obowiązków. Zna pani kogoś takiego?

– Tak. Znam takie osoby. A pan?

Doktor Saul śmieje się cicho.

– Niewiele. Kocha go pani?

– Słucham?

– Czy pani go kocha – powtarza doktor Saul. – Kocha pani Henriego Skinnera?

– To warunek?

Doktor Saul powoli kręci głową.

– Nie. Ale to wiele utrudnia.

Byłabym wariatką, gdybym go jeszcze kochała. Henri nie chciał mnie w swoim życiu, ale uznał, że przydam mu się do pomocy, gdy będzie umierał.

Miłość? Nie jestem głupia.

Nie.

Napiłabym się whisky.

– Opiekowanie się człowiekiem w sypialni to jak zawarcie małżeństwa z kimś, kto pani nigdy nie powie, że panią kocha – wyjaśnia spokojnie doktor Saul. – A mimo to musi mu pani poświęcić wszystkie siły i otoczyć go ciepłem i miłością, jeśli ją pani do niego czuje. Proszę się nie spodziewać szczęśliwego zakończenia. Spędzi pani większą część swojego życia z kimś, kto jest nieobecny.

Ach tak?

Nic nadzwyczajnego.

Henri mnie do tego przyzwyczył.

Doktor Saul ponownie odchyła się na oparcie fotela. Zwijam upoważnienie i niepodpisaną umowę w cienki rulonik.

Nagle dezaktualizują się wszystkie moje plany. Henri z siłą komety wpadł w moje życie. Nie mam wyjścia. Sam mi się przygląda, a w jego oczach widzę nadzieję, lęk, zaufanie i determinację. Patrzy na mnie tak, jakby spojrzeniem chciał mnie zmusić do decyzji.

Ale... nie zamierzam ulec. Nie chcę znowu się uzależnić. Kochając Henriego, byłam jak narkoman. Moje uczucia zamieniły się w dzikie zwierzę, które głodem zmusiłam do posłuszeństwa. Ale ono się obudziło.

No już, mruczy, skaczmy!

Nie przespałam tyle nocy! A będą ich setki.

Wylałam tyle łez! Będą ich setki tysięcy.

Uciekałam przed mężczyznami, którzy sylwetką przypominali Henriego, poruszali się tak jak on, używali takiej samej wody kolońskiej, mieli na imię Henri albo lubili Zaz, Amy Winehouse i Boba Marleya.

Tyle razy o nim myślałam.

Szerokim łukiem omijałam krainę wspomnień.

Obudzone zwierzę upiera się, że moje cierpienia nie mają żadnego znaczenia.

Chodź, mruczy. Kochajmy się.

Nie.

NIE!

SAM

– Idę do twojego taty. Chcesz pójść ze mną? – pyta Eddie.

W jej głosie czerwona wściekłość miesza się z dojmującą tęsknotą. Zrobiła się przejrzystoniebieska, a z oka płynie jej jedna, srebrzysta łza. Niecierpliwie ociera ją dłonią, na palcu i na policzku zostają ciemne smugi. Z drugiego oka też płynie łza. Z jej jasnych oczu wypływa teraz zimowe morze. W uszach wciąż dźwięczy mi jej śpiew. Wyobrażam sobie, że mogłaby też coś zanucić mojemu ojcu.

Mój ojciec. I ona.

Wygląda, jakby wiedziała jednocześnie wszystko i nic. Mam ochotę zadać jej tysiąc pytań, ale tak naprawdę interesuje mnie tylko jedno: czy on jej o mnie opowiadał?

Kiedy umierał, spojrział na mnie i przez jedną nieskończoną chwilę wiedziałem, kim jest. Widziałem cieniste lata, czułem gasnące ciepło i dobroć i wyczuwałem, że on mnie rozpoznaje.

Już kiedyś się widzieliśmy.

A może to złudzenie. Kiedyś miałem wyobrażonych przyjaciół.

Kiedyś... no cóż, jeszcze kilka miesięcy temu.

„Racjonalność nie leży w twojej naturze, *mon ami*”, powiedziałby Scott.

– Nie, nie mogę pójść, bo... – szukam jakiejś wymówki.

Wszystko mi się płacze. Moje wnętrze jest czułe i gorące, a zarazem głuche i chłodne, jakby w gabinecie doktora Saula bez przerwy padał śnieg i jednocześnie płonął ogień.

Wszystko sprawia mi ból. To, że Eddie może w każdej chwili odejść.

To, że być może kocha mego ojca. A także to, że być może go nie kocha.

Łzy przemyły oczy Eddie.

– W porządku. W porządku. Przecież nie potrzebują nas na intensywnej terapii. Mama cię odbierze?

– Tak, oczywiście – kłamię.

– To dobrze – mówi Eddie. – Wolałabym, żebyś teraz nie był sam. Mówię poważnie, Samuelu.

Patrzy na mnie. Trudno mi jej kłamać prosto w oczy.

– Możesz jechać ze mną do wydawnictwa, a potem odwiozę cię do domu. Czytasz fantastykę?

– Fantasy? – Kręcę głową.

– Nie fantasy. Fantastykę naukową, rozszerzoną rzeczywistość. Fantasy to historie z wątkami nadprzyrodzonymi, na przykład o elfach, wampirach, orkach, Fuchurze, Gandalfie, karłach i czarownicach. Fantastyka naukowa trzyma się

rzeczywistości. – Jej głos robi się bardziej zielony, już nie jest tak czerwony. – Opowiada o tym, co jest teoretycznie możliwe, od pęknięć w kontinuum przestrzenno-czasowym po podróże w czasie. Powrót do przeszłości. Książki o pęknięciach w naszej rzeczywistości. Dlatego moje wydawnictwo nazwałam Realitycrash. A zatem: czytasz fantastykę naukową?

Kiwam głową. Wsłuchuję się w jej słowa. Wydawnictwo. Do domu. Fantastyka. Realitycrash. Książki o zderzeniach światów. My też przypominamy dwie książki, które przypadkiem postawiono obok siebie na regale, a w czasie pożaru ogień stopił ich okładki i teraz nasze litery zlewają się ze sobą. Nie wiem, co Scott by na to powiedział. Może: „Marty McFly spotyka Jane Austen”?

Nadjeżdża szeroka szpitalna winda, drzwi się rozsuwają i Eddie blokuje je stopą. Patrzy. Jeśli z nią nie pojedę, zaczeka tu ze mną, aż mama mnie odbierze. Ale mama nie przyjedzie. Przecież nie wie, że tu przyszedłem. I nie powinna się o tym dowiedzieć. Przynajmniej na razie.

Drzwi zaczynają się zamykać. Eddie przytrzymuje je łokciem i znowu się rozsuwają.

– Sam, dlaczego właściwie mama z tobą dziś nie przyjechała?

– Bo... musiała zawieźć mojego brata Malcolma do dentysty. – Mój głos jest biały, kłamstwo zawsze przybiera jaskrawe barwy. – On się boi być sam, a ja, no...

– A ty nie.

Przytakuję. Błagam, niech otworzy się teraz pode mną przepaść, żebym mógł w niej zniknąć.

– Pójdę... umyć ręce – szepczę.

Eddie przygląda mi się w zamyśleniu. Wreszcie wsiada do windy. Kiedy drzwi się zamykają, Eddie unosi prawą rękę. Odsuwa palec wskazujący i środkowy w jedną stronę, a serdeczny i mały w drugą.

To wolkańskie pozdrowienie Spocka.

Bezwiednie wykonuję ten sam gest, a kiedy winda już zjeżdża, wciąż stoję z uniesioną ręką, jak ostatni zapomniany fan *Star Treka* w mgławicy Andromedy, i wydaje mi się, że mija tysiąc lat, zanim naciskam guzik, żeby przywołać drugą windę.

Siedzi nachylona nad zeszytem, w którym powoli zapisuje coś długopisem. Jeszcze mnie nie zobaczyła, a ja mógłbym już odejść. To byłoby prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie. W takiej sytuacji Scott powiedziałby mi pewnie: „Nie możesz udawać, że nie da się żyć inaczej. Wystarczyłoby zrobić coś, za co wywaliliby cię ze szkoły”.

Podnosi głowę, kiedy delikatnie pukam w szybę pokoju pielęgniarek.

– O, dzień dobry, młody człowieku.

– Dzień dobry, pani... – Czytam nazwisko napisane flamastrem na kieszonce ciemnofioletowego kitla pielęgniarskiego. – Dzień dobry, sestro Marion.

Wkłada zakładkę do książki i ją zamyka. Na okładce widzę nazwisko: Madelyn Zeidler.

– Jak się nazywasz?

– Samuel Valentiner, siostrze Marion.

– Aha, Valentiner? Na naszym oddziale chyba nie leży żaden twój krewny, prawda? – Kręcę przecząco głową. – W takim razie co mogłabym dla ciebie zrobić, Samuelu Valentinerze?

– Chciałem... chciałem zapytać, jak się ma Maddie. – Kiedy wypowiadam jej imię, na moich policzkach pojawia się zupełnie mi nieznane ciepło. – I przeprosić, że podsłuchiwałem. Niedawno. Przepraszam.

Ciepło rozchodzi się po mojej głowie, szyi, dociera do stóp i wnika nawet w cebulki włosów.

Jak Scott określa dojrzewanie? „Najbardziej żenujący okres w życiu mężczyzny. Trwa do siedemdziesiątki”.

Siostra Marion się nie spieszy. Odchyła się na oparcie wygodnego, niebieskiego krzesła na kółkach, zakłada ręce na piersi, przygląda mi się i wreszcie, po chwili ciągnącej się w nieskończoność, pyta:

– A niby czemu chcesz wiedzieć, jak się ma Maddie?

Czemu, czemu? Czemu przez ostatnie dwa dni i dwie noce nieprzerwanie myślałem o ojcu i Madelyn? Nawet w snach. Myślałem o jej imieniu i nim oddychałem.

– Nie umiem tego wyjaśnić – odpowiadam wreszcie.

Siostra Marion znowu mi się przygląda i w jej twarzy widzę dwie kobiety, młodą i starą, i wydaje mi się, że ta starsza radzi młodszej, co należy powiedzieć na głos:

– Życie to trudna wspinaczka pod górę, prawda?

Nie wiem, co odrzec, więc milczę. Siostra Marion nagle wstaje.

– Chodź, zapytamy Maddie, czy sama zechce ci powiedzieć, co u niej.

Siostra jest niewiele wyższa ode mnie, a jej rude loki kołyszają się, kiedy prowadzi mnie przez korytarz do ostatniej sali.

– Jestem tu oddziałową. Kiedy mnie nie ma na miejscu, znaczy, że wypadł mi nocny dyżur albo oglądam przypadki na intensywnej terapii.

Nie mam czasu, żeby się przestraszyć, bo siostra Marion już puka do kolejnych drzwi, uchyla je i mówi cicho:

– Cześć, Maddie. Masz gościa. Ten młody mężczyzna, który był tu dwa dni temu, znowu przyszedł. Ma na imię Samuel. Możemy wejść?

– Oczywiście – odpowiada Maddie. – Właśnie się rozgrzewamy.

Oczywiście nie mówi tego Maddie, tylko kobieta w białych spodniach i niebieskiej bluzce z plaketką z imieniem Liz. Właśnie robi coś dziwnego z Maddie, która leży na boku na materacu rozłożonym na podłodze i na mnie

patrzy.

Kobieta trzyma stopę Maddie, masuje ją i ostrożnie zgina. W tle gra muzyka klasyczna.

– Dziś znowu Czajkowski? – pyta siostra Marion.

– Cześć, jestem fizjoterapeutką Maddie. Mam na imię Liz – przedstawia się kobieta w niebieskiej bluzce i wyciąga do mnie na powitanie mały palec lewej ręki, jednocześnie obracając stopę Maddie. Potem zaczyna lekko zginać jej nogę w kolanie.

Mam ochotę przywitać się z Madelyn, ale nagle w moich ustach pojawia się gigantyczny, niewidzialny kawał suchego ciasta i zupełnie mnie zatyka. Na widok Maddie, jej twarzy, policzków i nadgarstków zapiera mi dech w piersi. Jest tak piękna i delikatna... Mój język, usta i głos przestają współpracować.

Widzę cewnik znikający pod nocną koszulą w sportowych spodenkach Maddie, dwa przewody prowadzą do jej palca wskazującego. Obok na stole stoją krople do oczu, a na stoliku przy drzwiach inne lekarstwa w buteleczkach z kroplomierzem. Maszyny przy jej łóżku bez przerwy mierzą poziom tlenu w jej krwi i kontrolują pracę serca.

Madelyn jest karmiona przez sondę. Rurka wbija się w jej szyję w okolicy obojczyka. Do niej podłączony jest też respirator.

A jednak przy Maddie widzę tak mało, jakbym stracił zdolność odbierania synestetycznych wrażeń.

Nie potrafię zobaczyć, jaka naprawdę jest Maddie, jakby znajdowała się pod grubą pokrywą lodu na rzece.

Patrzy na mnie, ale mnie nie widzi.

Przynajmniej pod tym względem jesteście podobni.

– Liz, to Samuel. Chciał zapytać Maddie, jak się dziś czuje.

Najchętniej zapadłbym się pod ziemię.

– Właśnie tańczymy, ale zaraz skończy się pierwszy akt. Maddie ma potem godzinną terapię mowy i ergoterapię. Pracowity dzień.

Liz postępuje bardzo ostrożnie i uważnie, ale i tak się boję, że Maddie coś boli.

Twarz dziewczyny pozostaje nieruchoma, jej oczy są zwrócone w nieskończoną dal, jakby jej tu w ogóle nie było.

Próbuję mocniej się na niej skoncentrować.

Siostra Marion podnosi ze stolika pod oknem kartę pacjenta. Dziś w wazonie stoją pomarańczowe tulipany. Kiedy Liz porusza stopami i nogami Maddie, twarz dziewczyny wciąż pozostaje nieruchoma.

Rudowłosa pielęgniarka klęka i delikatnie dotyka palca Maddie, kładzie jej w dłoniach miękkie piłeczki i zapisuje coś w tabelce.

Nie tak szybko, myślę, bo się przestraszy. Wtedy siostra Marion bierze

piórko i muska odsłonięte przedramiona Maddie.

Przyglądając się temu, czuję łaskotanie.

Ręce, myślę. Trzeba ją trzymać za ręce.

Kiedy tylko przychodzi mi to do głowy, coś się w niej porusza.

Coś. W oddali.

– Przyjdę później na terapię taktylną. Jak idzie Maddie taniec? – pyta Marion, a jej słowa brzmią jak tajny kod, którym porozumiewają się obie kobiety.

Liz klęczy za Maddie i niemal niezauważalnie kręci głową. Maddie na pewno tego nie widzi, ale ja to zauważyłem.

– Brak synergii – odpowiada fizjoterapeutka.

Porusza rękami i nogami Maddie, jakby bawiła się marionetką. Tym razem pod spokojną jak lustro powierzchnią jej spojrzenia nie dostrzegam najlżejszego drgnienia.

Odczuwam ją inaczej niż mojego ojca. Zamarła, jakby nie chciała, by ktoś ją znalazł, ale nie jest aż tak głęboko zanurzona jak on. Jest tu i jak dziewczynka schowana w szafie ma nadzieję, że nikt jej nie znajdzie.

Muszę ją zapytać, jak jej idzie.

Nie za dobrze. Fatalnie. Jest zupełnie sama.

Patrzę jej w oczy i wysilam się coraz bardziej, żeby wyczuć więcej albo jej powiedzieć, że wiem, jak jej idzie.

Jednocześnie ogarnia mnie zwątpienie. Może tylko to sobie wyobrażam.

– Mogę przyjść jutro, Madelyn? – pytam ją po chwili.

Nie mówi „nie”, więc jej milczenie traktuję jako zgodę.

– Sam, odprowadzę cię do windy – proponuje uprzejmie i spokojnie siostra Marion, choć pod jej uprzejmością kryje się gniew, już słyszę jego poszum.

Co ja takiego zrobiłem?

Zrobiłem coś?

Ledwie wchodzimy do pokoju pielęgniarek, kiedy siostra Marion wybucha:

– Samuelu, jeżeli ci się wydaje, że możesz tu przeżyć coś ekscytującego i od czasu do czasu odwiedzić dziewczynkę w śpiączce, może nawet potajemnie zrobić jej zdjęcia, żeby zaimponować kolegom ze szkoły, i jeżeli myślisz, że będziesz mógł zrezygnować z wizyt, jak już ci się znudzą, to nie wolno ci nigdy, powtarzam, nigdy tu wrócić. Zrozumiano? – W milczeniu kiwam głową i znowu czuję ciepło na policzku. – To świetnie. Cieszę się. Nie wszyscy to rozumieją. Niektórzy przychodzą na nasz oddział, żeby sobie pooglądać ludzi warzywa. Jeżeli to rozumiałeś, to nie będę musiała donieść twojemu ojcu, że jego syn wyśmiewa się z bezbronnych dzieci i...

– Tata leży na drugim piętrze. Znajdzie go pani bez trudu.

Marion wzdycha ciężko i przymyka oczy, jakby zbierała siły. Jej gniew znika jak rozpuszczająca się tabletką musująca.

– Tak mi przykro, Samuelu. Tak mi przykro.

Jej niebieskie oczy są teraz pełne ciepła i pytań.

– Tutaj nie poddajemy się tak szybko – mówi poważnie.

– Więc mogę jeszcze przyjść? – pytam, zanim znowu zacznie się rozmowa o moim ojcu, która jest dla mnie jak stąpanie po tłuczonym szkle. – Poproszę rodziców Maddie o pozwolenie.

Marion masuje sobie nasadę nosa.

– Ach, mój skarbie – odpowiada matowym tonem. – Gdy-by to było takie proste. – Znowu ciężko wzdycha. – Madelyn to ktoś szczególny.

– Wiem.

– Nie wiesz. Nie masz pojęcia, Jonie Snow.

Śmieje się i otwiera zeszyt, w którym wcześniej coś zapisywała. Podaje mi wycinek z gazety.

– Madelyn Zeidler ma jedenaście lat – kontynuuje. – Od siedmiu lat jest tancerką w zespole Elisabeth Parker z Oksfordu. Zdobyła szesnaście nagród i dostała stypendium w Royal Academy of Dance w Londynie. Tańczyła w dwóch teledyskach francuskiej piosenkarki Zaz, które na YouTube obejrzało milion osób. Potrafi zrobić salto w tył i wytrzymać dwie minuty pod wodą. Ale kiedyś...

O tym, co się stało kiedyś, czytam w artykule.

Siedem miesięcy wcześniej, w czasie rodzinnych wakacji w Kornwalii, bus, którym jechali Zeidlerowie, skręcił na przeciwny pas, kiedy pękła mu opona i zderzył się z samochodem transportującym cztery konie wyścigowe. Trzy z nich nie przeżyły wypadku. Zginęli też prawie wszyscy pasażerowie busa. Pam – matka Maddie, jej ojciec Nick, brat Sebastian, babcia Catherine, ciocia Sonia i wujek Nigel. Ale nie Maddie. Przeżyła też klacz Dramatica.

„Zginęła cała rodzina – oprócz Maddie”, głosił nagłówek.

– Madelyn została całkiem sama, Samuelu. Nie ma żadnych bliskich krewnych. Ani ojca chrzestnego, ani kuzynki, ani niezamężnej, krzykliwej ciotki z wielkimi kolczykami. Państwo brytyjskie zostało jej kuratorem. – Czyli królowa, myślę, bo wszelkie inne myśli sprawiają mi ból. – Na początku jej nauczycielka tańca, Elisabeth Parker, starsza pani, przyjechała kilka razy z Oksfordu, żeby pokazać fizjoterapeutom z naszego zespołu, jak utrzymywać w ruchu ciało Maddie. Przywiozła nam nagrania tańczącej Maddie i opowiedziała nam trochę, co jej podopieczna lubi, a czego nie znosi. – Podnosi w górę książkę. – Ale pewnego dnia pani Parker potknęła się o obluzowaną płytę chodnikową, złamała główkę kości udowej i już nie przyjeżdża.

– Królowa też pewnie rzadko wpada – szepczę.

Siostra Marion patrzy na mnie z udręczoną miną.

– Za dwadzieścia dni Madelyn ma urodziny. Skończy dwanaście lat. Po raz pierwszy będzie świętowała bez krewnych, w miejscu, które nie jest jej domem,

wśród zupełnie obcych ludzi.

Siostrze Marion łamie się głos, jest w nim tyle współczucia. Ma piękną złotą barwę, ciepłą jak słońce. Taki kolor można bardzo rzadko zobaczyć.

– Rozumiesz, Sam? Ona nie ma nikogo. Nikogo. Jeśli się do niej zbliżysz...

– Obiecuję, będę za nią odpowiedzialny.

W niebieskich oczach siostry Marion pojawia się błysk.

– Tak. Dokładnie, Samuelu. Potrafisz to? Chcesz tego? Naprawdę chcesz wziąć odpowiedzialność za kogoś, kogo nie znasz?

Bóg pytał o to samo Eddie.

Dopiero teraz wiem, jak ona się poczuła. Wydaje mi się, że powietrze zgęstniało, a to, co kiedyś uważałem za istotne, teraz straciło znaczenie.

Pięć minut później stoję przy łóżku C7. Wciąż nie wiem, po co tu przyszedłem i czego oczekuję od mojego ojca. Chcę opowiedzieć mu o Maddie. O Eddie. O wszystkim. Pragnę mu wyznać, że mam w głowie pustkę, że jestem jak Jon Snow.

W uszach dźwięczy mi głos Scotta: „Valentiner, otrząśnij się, on jest w śpiączce!”.

Ale z kim mogę o tym porozmawiać?

Nie przychodzi mi do głowy nikt, z kim mógłbym pogadać o tym, że nie chcę zostawiać samej dziewczynki na końcu korytarza.

Oprócz niego.

I... Eddie. Ona coś wie o zderzeniach światów.

Ale jeśli powiem jej o Maddie, to będę jej też musiał opowiedzieć o mamie i całej reszcie, a więc... przyszedłem tutaj, założyłem szeleszczący kitel i tę cholerną maskę, pod którą mój głos brzmi tak, jakbym był zakatarzonym Darthem Vaderem. Kiedy tata na mnie popatrzył, jego spojrzenie mnie pochwyliło i nie chciało puścić.

Teraz jego twarz stała się ziemią niczyją. Jego zmarszczki nic mi nie mówią. Nie śmieją się, nie płaczą, nie myślą.

Jego ciało to dawno opustoszały, zrujnowany dom. Przykryty zasłoną osamotnienia.

Szukam go. W Maddie udało mi się coś dostrzec. Samotność. Oczekiwanie.

Przypominają mi się okręgi rysowane przez Boga. Mój ojciec stanął na krawędzi życia. Próbuję go znaleźć.

– Cześć, tato – mówię cicho.

Często zapominamy, że ludzie bardzo poważnie chorzy mają swoje życie. Do naszej klasy chodził taki chłopak, Timothy. Zachorował na raka i w ciągu roku umarł. Wszyscy, kiedy go wspominają, mówią tylko o tym, jaki był dzielny, jakby chorowanie na raka było pracą na pełny etat. Nikt nie pamięta o tym, że Timothy najlepiej z wszystkich skakał do basenu na bombę i że kiedyś zdjął kotka z drzewa.

Dlatego próbuję widzieć w tacie kogoś więcej niż tylko żywego umarłego.
Gdzieś tam w środku skrywa się człowiek, który uratował małą dziewczynkę. On by wiedział, co robić.

Bóg podchodzi do łóżka. Dekoncentruję się.

– Valentiner.

Obaj przyglądamy się mojemu ojcu. Dotykam jego dłoni i lekko ją ściskam.

Jego palce ani drgną.

– Nie ma go tu – szepczę.

– Nie. Jego dusza opuściła miejsce zamieszkania.

Doktor Saul mówi innym głosem niż zazwyczaj, jakby przed chwilą obudził się z długiego snu.

– Wróci do domu?

– Wskażemy jej drogę.

Schylam się, całuję ojca przez maskę w policzek i tak cicho, żeby Bóg mnie nie usłyszał, szepczę mu do ucha:

– Zatrąszczę się o miejsce zamieszkania Maddie. I o twoje. Znajdę cię.

Kiedy wychodzę ze szpitala, wkraczam do rzeczywistości, która diametralnie różni się od świata na drugim i piątym piętrze. Dopiero po chwili rozpoznaję postać w skórzanej kurtce.

Opiera się o olbrzymi motocykl i patrzy na mnie przyjaźnie.

– Hej, Sam – wita mnie Eddie. – Mama wcale po ciebie nie przyjedzie, prawda? Bo nie pozwoliła ci tu przychodzić.

– Pozwoliła – odpowiadam, jękając się.

Eddie podaje mi drugi kask. Jest na mnie trochę za duży.

– Kłamiesz tak źle jak ja. Wskakuj, jedziemy – mówi.

EDDIE

Szare ulice Londynu płyną pod nami jak rzeki oświetlonego przez słońce asfaltu. Wyczuwam pęd w brzuchu, ramionach i nogach. W powietrzu unoszą się zapachy miasta. Czuję wszędobylski aromat jedzenia, pączków, frytek, smażonego ryżu, gorącej zupy i gofrów. Żadne inne zachodnie miasto nie pachnie jak świeżo nakryty stół.

Jadę moim bmw 500 spokojniej niż zazwyczaj, Sam przywarł do moich pleców. Wiozę cenny ładunek, syna mężczyzny, który był dla mnie słońcem i księżycem, oddechem i snem, pożądaniem i czułością. Moją największą porażką. Moją wielką miłością.

Jedziemy w godzinie szczytu tak zwaną drogą do piekła, czyli obwodnicą M25. Prowadzi po obrzeżach miasta, w którym żyje ponad osiem i pół miliona mieszkańców. To wyspa pośrodku atolu, daremnie szukająca spokoju.

Sam zachowuje równowagę i nie okazuje strachu. To absurdalne, ale przez moment przenika mnie dzika radość, że poznałam tego dzieciaka. Połączyła nas wspólna tragedia. Przypadki, mawiał mój ojciec, to zaskakujące wydarzenia, których sens ujawnia się dopiero z perspektywy czasu. Proponują ci zmianę życia, a ty możesz przyjąć albo odrzucić tę propozycję.

Moja matka nie rozumie takiej postawy. Boi się przypadków. Dla mojego ojca były one źródłem radości i otwierały mu oczy na świat.

Byłam u Henriego. Wprawdzie niechętnie, w końcu jednak Fossy pozwolił mi go odwiedzić.

– Dobrze, ale tylko minutę!

Sześćdziesiąt sekund to zatrważająco mało. Henri miał pustą twarz. Powiedziałam mu to, co powinien ode mnie usłyszeć dwa lata wcześniej. Ale wtedy się zawahałam. Teraz tę samą modlitwę szepczę do jego ucha, kiedy on leży nieruchomo na szpitalnym łóżku.

– Nie odchódź!

Zawsze szukaliśmy swoich rąk. Idąc, rozmawiając, jedząc. Kiedy czytaliśmy, każde trzymało przed sobą książkę, ale koniuszki naszych palców się stykały. Wciąż pamiętam, jak Henri gładził mój kciuk koniuszkiem palca wskazującego. Kiedy książka go ciekawiła, poruszał palcem szybciej, a kiedy napięcie spadało, zwalniał.

Jego dłoń mnie kochała. Kochało mnie jego spojrzenie, jego śmiech, jego ciało. Kiedy powiedział, że mnie nie kocha, poczułam się, jakby mnie zastrzelił. Jakby wyciągnął broń i strzelił mi prosto w serce, wciąż ściskając moją rękę.

Skrećmy w Columbia Road na East Endzie. Sam rozgląda się z zaciekawieniem, kiedy zostawiam go przed Café Campania, kawiarnią znajdującą

się w budynku obok starego składu tulipanów. Na kolejnych piętrach mieszczą się moje wydawnictwo i mieszkanie. Niżej ulokowały się agencja reklamowa i zakład krawiecki.

W czasie jazdy jego twarz się zaczerwieniła, oczy mu lśniły i znowu wyglądał tak chłopięco. Ze szpitala wyszedł stary maleńki w granatowym garniturku, zamyślony i dziko zdeterminowany, by z całej siły walczyć z niezwyciężonym życiem i nieprzejednaną śmiercią.

Teraz znowu wygląda jak zwykły uczeń w mundurku i z plecakiem.

– Byłeś kiedyś na East Endzie?

Kręci głową i pożera wzrokiem otaczający go świat. W weekend Columbia Road przemienia się w najważniejszy targ kwiatowy w Londynie. To jedna z niewielu ulic, gdzie Londyn wygląda tak jak kiedyś, zanim zamienił się w typową miejską przestrzeń, w której na każdym kroku można spotkać Zare, Urban Outfitters i Primark. Znajduje się tu ponad osiemdziesiąt małych sklepików. Każdy ma fasadę w innym kolorze, a nad niektórymi wiszą markizy. W słoneczne dni ulica wygląda jak najdłuższy ogródek kawiarniany na świecie.

Czasem zapominam, że na innych ulicach Londynu życie nie jest tak kolorowe i dzikie. Wydaje się tam takie poukładane i nudne. Sam nosi mundurek szkoły Colet Court, świadczący o tym, że należy do aspirującej klasy społecznej. Teraz stawia niepewne kroki w nieznanym świecie. Wygląda jak stary kot, który nasłuchuje, węszy i bada otoczenie wąsami i łapami.

Biorę kask pod ramię i idę do kawiarni po herbatę i kilka sconesów. To tutaj pracownicy mojego wydawnictwa zaopatrują się codziennie w kawę. Wykupiłam dla nich abonament na gorące napoje, w ramach rekompensaty za o wiele za niskie pensje.

W Café Campana u Benita i Emmy przy używanych, wypolerowanych stołach, które kiedyś stały w szkolnych salach i kuchniach, spotkałam się z dziesiątkami autorów i autorek. Opisywali mi swój świat. Wszyscy mieli nadzieję, że wydam ich książki i zmienię ich w pisarzy, którzy całe życie poświęcą na opowiadanie historii.

Najchętniej pomogłabym im wszystkim.

Ci, których zaprosiłam na spotkanie po wstępnym zapoznaniu się z ich manuskryptem, mieli mniejszy lub większy talent do opowiadania o czymś, czego nie sposób opisać słowami. Na tym właśnie polega magia literatury. Niektóre historie coś w nas uruchamiają. Nie wiemy co ani dlaczego, nie wiemy, które zdanie ma na nas taki wpływ, i co sprawia, że nasz świat nieodwracalnie się zmienia. Czasem dopiero po latach zauważamy, że książka zrobiła szczelinę w naszej rzeczywistości, przez którą udało nam się uciec od małości i apatii.

Emma przygotowuje dla mnie małą tacę, a Sam zbliża się nieśmiało, ze wzrokiem jak zawsze wbitym w podłogę. Emma podaje mu rękę.

– Cześć, jestem Emma. A ty kim jesteś, przystojny towarzyszu mojej ulubionej wydawczyni?

Sam się czerwieni i wybąkuje swoje imię.

Stoi tylko kilka metrów od stolika, przy którym zawsze siadaliśmy z Henrim. To ten, na którym sterczy stary szkolny globus. Przychodziliśmy tu, kiedy on wracał z podróży do egzotycznych krajów, gdzie spotykał niezwykłych ludzi, a ja nie miałam w domu dość jedzenia, by przygotować śniadanie dla dwóch osób. Wyciągał klucz ze skrytki w ścianie na podwórzu i wchodził do mojego loftu, kiedy jeszcze spałam. Często przylatywał z samego rana. Kiedy otwierałam oczy, siedział przy łóżku, oparty o ścianę, wpatrzony we mnie.

Wiele razy w samotne wieczory błagałam los, by rano zobaczyć Henriego.

– Sam?

On patrzy na mnie i przez chwilę w jego chłopięcej twarzy widzę młodego Henriego. Tęsknota za Henrim, za jego ciepłym ciałem, jego skórą, zapachem, głosem rozdziera mi serce.

Siadamy naprzeciwko siebie przy stoliku z globusem. Obracam kulą ziemską pokrytą papierem w kolorze sepii, na którym narysowane są kontynenty.

Zatrzymuję globus i pokazuję palcem na niebieską kropkę. Południowy Sudan.

– Tu był twój tata – mówię cicho.

Znowu wprawiam kulę ziemską w ruch. Wymieniam kolejne miejsca. Kanada, Góry Skaliste, Kabul, Kolumbia, Ziemia Ognista, Moskwa, Damaszek, Tybet, Mongolia. Na globusie w Café Campania Henri pokazał mi, gdzie był. W tych miejscach postawił kropki.

Sam przesuwa po nich palcem wskazującym.

– Mam w domu wszystkie jego reportaże i artykuły – szepcze. Ma jasne, całkowicie przezroczyste oczy. – W Mongolii nauczył się jeździć konno. W Kanadzie spotkał się z profesorem, który pewnego dnia zostawił rodzinę, żeby zamieszkać w leśnej głuszy. A w Damaszku odnalazł dawnego nauczyciela dzieci arabskich królów.

Sam znowu wodzi palcem od punktu do punktu.

– Jaki on jest? – pyta.

Mówi „jest”, a nie „był”.

Patrzę na punkciki zrobione długopisem i przypomina mi się, jak Henri rysował. Nie robił tego po to, by się popisać, gdzie on to nie był. Kreślił je w skupieniu, skrupulatnie, jakby tylko ten mały globus dokumentował jego poszukiwania.

Dopiero teraz to sobie uświadamiam.

Henri na całym świecie szukał siebie samego.

– Potrafił... – zaczynam, ale urywam i się poprawiam. – Potrafi słuchać jak

nikt inny. Kiedy kogoś słucha, to tak jakby nic innego się nie liczyło. Każdy przy nim chce mówić. Ludzie w jego obecności patrzą na siebie z dystansu. Jakby dopiero jego obecność pozwalała im powiedzieć rzeczy, które są dla nich naprawdę ważne. I o których nigdy nie mówili, bo się bali, że ktoś ich wyśmieje albo przewróci oczami. Albo dlatego, że sami ich nie rozumieli. Henri pozwala ludziom zobaczyć, kim naprawdę są.

Ogarnia mnie fala wspomnień. Henri, który opowiada, jego głos robi się dźwięczny jak jego ojczyzna. W tych momentach przestaje z zawstydzeniem ukrywać, że pochodzi z Francji i zmienił nazwisko Le Goff na Skinner.

– Twój ojciec urodził się w Bretanii, ale jest emigrantem, który porzucił język ojczysty, umarłego ojca, umarłego dziadka oraz groby matki i babci. Dopiero kiedy go spotkałam, uświadomiłam sobie, jak bardzo samotny może być człowiek: nie ma przy nim nikogo, kto by go znał od urodzenia i kochał tylko dlatego, że istnieje. Taki człowiek odcina się od świata.

Mówił perfekcyjnie po angielsku, ale nigdy nie opowiadał o swoich uczuciach. Kto wie, może w obcym języku nie potrafimy mówić o sobie.

Przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę. Przeprowadziliśmy ją tutaj, a Henri pił herbatę na przemian z whisky. Miał głębokie zmarszczki wokół oczu. Był wygnańcem, który uciekał od siebie i jednocześnie siebie szukał. Umiał jednak tak szybko biec, że zawsze udawało mu się uniknąć konfrontacji z samym sobą.

Uświadamiam sobie, że naprawdę niezwykli ludzie nie zdają sobie sprawy ze swojej wyjątkowości.

– Piszę o narkotykowych baronach w Birmie, gdzie ludzie dzielą się na biednych, bogatych i uzależnionych. Spotykam kobietę, która chce urodzić dziecko parze nieznajomych i dzieli świat na winnych i niewinnych. To małżeństwo nie jest winne temu, że nie ma dzieci, ale ona może odkupić swoją winę, którą, jak twierdzi, popełniła w dawnym życiu. Rozmawiam z jedenastoletnim genialnym pianistą, który już jest lepszy niż Coltrane i Cincotti razem wzięci. Ma na imię Jack. Twierdzi, że jak coś się kocha, to trzeba ćwiczyć, a jeśli już coś się dobrze potrafi robić, to trzeba ćwiczyć dalej. Życie jest długie, trzeba je czymś wypełnić. To mówi mały chłopiec, który już teraz wie więcej niż inni.

To opowiedział mi Henri za pierwszym razem, tuż po przyjeździe do Londynu, gdy nosił w sobie gniew i rozpacz, a ja miałam ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz: „Do cholery, co ty wyprawiasz!? Pozwól nam być razem. Kocham cię. Kocham cię z całym dobrodziejstwem inwentarza. Bądźmy razem w tym życiu i we wszystkich kolejnych. Nigdy się tobą nie nasycę”.

A jednak. Opowiadał mi o dziesiątkach ludzi.

Ale nigdy nie wspominał o swoim synu Samuelu.

Kręcę globusem. Wystarczy kilka obrotów, bym cofnęła się o trzy lata wstecz.

– Piszę, podróżuję, piję i próbuję nie dopuścić do siebie nocy. Zmierzch to linia demarkacyjna. Na Islandii spotkałem Étienne’a. Przeniósł się tam z Kanady. Zajmuje się kartografią morską. Większość ludzi nigdy nie zobaczy świata z jego perspektywy, jako niebieskiej planety, której największym skarbem jest woda, a nie stały ląd. To, co płynne, jest ostateczną rzeczywistością – mówi Henri, wodząc palcem po konturach kontynentów na starym globusie. – To, co udało nam się ustalić, ma o wiele mniejszą powierzchnię niż to, co pozostaje nieznanne. Inaczej mówiąc, widzimy świat, ale go nie znamy. Rzeczywistość nas przerasta.

Właśnie to ostatnie zdanie mówię teraz Samowi.

On powoli kiwa głową, a w jego oczach czai się pytanie: „A ja? Mówił o mnie?”.

– Herbata gotowa! – woła Emma.

Sam przynosi tacę, a ja wprowadzam motor na podwórze. Potem wyjeżdżamy na piętro windą towarową, którą kiedyś wywożono do magazynu cebulki tulipanów. Na jej ścianach widnieją namalowane liście i kwiaty. Zatrzymujemy się na czwartym piętrze, gdzie w biurze pracują Rolph, Andrea i Poppy. Stamtąd kręte metalowe schody prowadzą do mojego mieszkania.

Przy każdym zawalonym papierami biurku stoi kanapa (Rolph), kilka krzeseł (Poppy) albo drewniana ława z haftowanymi poduszkami (Andrea). Rolph lubi się otaczać orientalnymi meblami i obok stolika z komorą bezcieniową ma jeszcze stół do pracy, na którym czasami maluje akwarelą obrazek na okładkę książki albo ręczną prasą wykonuje miedzioryt. Poppy zgromadziła kolekcję gotyckich bibelotów. A wokół Andrei piętrzą się książki i pieczołowicie opisane plastikowe pudełka pełne manuskryptów.

Pośrodku stoi nasz „Dzwon”. Tak nazywamy duży stół roboczy, przy którym wspólnie pracujemy nad książką, przeprowadzając ją przez kolejne etapy procesu wydawniczego. Piszemy tekst na obwolucie, wybieramy fragmenty do promocji, przygotowujemy manuskrypt do druku. Przy nim zasiada Blue, nasza korektorka, która przychodzi tylko wtedy, kiedy ma do wykonania jakieś zlecenie. W wydrukach złożonego tekstu w rozmiarze A4 szuka błędów językowych. Przewraca stronę za stroną, przez wielkie słuchawki słuchając Metalliki albo Hectora Berlioza.

Sam idzie powoli, jak wężący kot, i zatrzymuje się przed naszym „skarbcem”.

Na długiej ścianie stoją w równych rzędach wszystkie książki, które w ciągu dwudziestu lat wypuściłam spod swoich skrzydeł. Pierwsze wydania, przekłady, wydania specjalne, wznowienia, wydania kieszonkowe.

Na jego twarzy pojawia się wyraz zachwyty i szacunku, a ja pękam z dumy.

– Wydajemy głównie fantastykę naukową. Nie jesteśmy dużym wydawnictwem, ale mamy ściśle określony profil. Nasze największe hity

wydawnicze to *Kot Schrödingera* i *Dom o tysiącu drzwi*. Założyłam Realitycrash, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata. Wtedy byłam największą fanką Michaela Moorcocka.

Sam patrzy na mnie.

– Napisał *Kroniki Jerry’ego Corneliusa* – szepcze.

– I *Nomadów czasu!* – dodaję.

Sam natychmiast odparowuje, wymieniając inny tytuł powieści Moorcocka.

– *Wieczni bohaterowie!*

– Uwielbiałam wiecznych bohaterów, którzy...

– ... dbają o równowagę w multiwersum i o to, żeby światy równoległe się nie połączyły.

Patrzemy na siebie ze zdumieniem i radością, a ja przez chwilę znowu mam trzynaście lat i jestem moim książkowym, zainteresowanym tematem, które zupełnie nie obchodzą moich rówieśniczek. One czytają romanse, a ja steam-punk, one „Hit!” i „Bravo”, a ja książki Ursuli K. Le Guin o prędkości nadświetlnej i teoriach czasu. To od niej zaczerpnęłam swoje motto życiowe: „Prawda to kwestia wyobraźni”.

Z powodu mojego osobliwego hobby byłam samotna i dla kogoś tak odczytanego jak Sam bez wahania przeprowadziłabym się do innego kraju.

Podnosimy kubki z tacy i ostrożnie się nimi stukamy. Sam się odwraca, kiedy podchodzi do nas zjawiskowa Poppy w czarnych lakierkach na wysokim obcasie.

– Winnie, kochana, nie powiedziałaś jeszcze, co sądzisz o projekcie okładki jubileuszowego wydania *Domu o tysiącu drzwi*.

Poppy dmuchnięciem oddala z twarzy czarne lśniące włosy, obcięte w stylu Betty Page. Moja specjalistka od kontaktów z mediami i marketingu to zagorzała fanka muzyki rockabilly o wyglądzie pin-up girl. Dziś ma na sobie czarną sukienkę w białe grochy z czerwonym obszyciem, wełniane rajstopy i lakierowane szpilki z rzemyczkami.

– Poppy, to Samuel Noam. Sam, poznaj Poppy. Sam uwielbia fantastykę naukową.

– Och, świetnie się składa. Nie czytam innej literatury – mówi Poppy, wyciągając do chłopca drobną, białą dłoń w koronkowych rękawiczkach bez palców.

Ta dziewczyna to nasza tajna broń. Potrafi dosłownie wszystko: niańczyć autorów, robić kampanie reklamowe, zauroczyć dziennikarzy i nawet po siedmiu ginach z tonikiem zamieszczać na Twitterze fantastyczne wpisy. Znamy się, od kiedy dwadzieścia lat temu założyłam Realitycrash. Wtedy też zatrudniłam Rolpha, grafika, i Andree odpowiedzialną za korektę. Wszystkich nas połączyła fascynacja odkształceniami rzeczywistości.

W branży Poppy stała się legendą z powodu swojego tatuażu na plecach. Przedstawia otwartą księgę, w której Poppy zbiera swoje ulubione cytaty, by nosić je dosłownie pod skórą. Dla niektórych autorów wpis na plecach Poppy jest ważniejszy niż Nagroda Bookera.

Podaje mi wydruk. Po dziesięciu latach wznawiamy *Dom o tysiącu drzwi*.

– O czym jest ta książka? – pyta Sam.

– To opowieść o światach równoległych – odpowiada Andrea, która właśnie przyszła ze swojego kąta z pojemnikiem z pleksi pełnym manuskryptów. – Pewnego razu młody, bojaźliwy adwokat znajduje w swoim gabinecie drzwi, których nigdy wcześniej nie widział. Kiedy przez nie przechodzi, znajduje się znowu w swoim gabinecie, ale odkrywa, że zmienił się jeden szczegół w jego życiu. Ma...

– ... romans z żoną szefa – wtrąca się Rolph, który zza ścianki działowej usłyszał, że się zebraliśmy. – Niesamowicie kapryśną diwą. Ale co robić, takie jest życie.

– Próbuje uciec przez ukryte drzwi w tym drugim biurze – kontynuuje Andrea.

– W poszukiwaniu „najlepszego” życia błądzi w tysiącach wariantów swojego losu – Poppy dokańcza streszczenie.

Nie mówię Samowi, że manuskrypt tej powieści czytałam mojemu martwemu ojcu ponad dziesięć lat wcześniej, kiedy czuwałam przy jego zwłokach. Znam tę książkę na pamięć i zawsze na jej widok przypomina mi się cisza panująca w szpitalnej sali. Myślę o tym, jak puste stało się życie bez niego. Chyba dopiero po czterech latach przestałam płakać i po raz pierwszy się uśmiechnęłam.

– Co sądzisz o tej okładce? – pytam Sama.

On odstawia kubek, bierze ode mnie wydruk i przygląda mu się z poważną miną.

Okładka jest klasyczna: niebieskie drzwi unoszące się nad powierzchnią morza, a gdy przyjrzeć się lepiej, widać dryfujące na falach tysiące innych drzwi.

Też chciałabym przenieść się do świata, w którym nigdy nie spotkałabym Henriego.

Albo w którym bylibyśmy razem.

Mielibyśmy córeczkę.

A on nie zapadłby w śpiączkę.

– Okładka dla dziewczyn, a historia dla chłopaków – mówi Sam, podnosząc wzrok. – Fajna opowieść, ale okładka żenująca.

– Auć – mówi Andrea.

– Wiedziałem! – dodaje Rolph.

Poppy kładzie Samowi ręce na ramionach.

– Samuelu Noamie, czy w przyszłości możesz być obecny w trakcie naszych

dyskusji o okładkach? – proponuje. – Wydaje mi się, że świeże spojrzenie czytelnika z krwi i kości mogłoby nam dać do myślenia. Co ty na to?

Sam jest zakłopotany, ale patrzy jej prosto w oczy i bardzo cicho szepcze:

– Okej.

Rozpiera go radość.

Wspominałam, że Poppy potrafi wszystko? Umie nawet zamienić nieszczęśliwego chłopca w młodego mężczyznę, który przez chwilę jest bardzo szczęśliwy.

– Ja też uważam, że to świetny pomysł – wtrąca się Rolph. – A może znasz kogoś, kto czyta fantastykę naukową i...

– Mój przyjaciel Scott!

Ach, uwielbiam cię, chłopcze, myślę. Od razu chcesz się dzielić, zamiast cieszyć się samemu.

Dzięki Samowi w moim sercu pojawia się ciepło.

Jego spojrzenie pada na duży zegar wiszący na ścianie w rogu aneksu kuchennego, obok budki telefonicznej stylizowanej na statek TARDIS z serialu *Doktor Who*.

– Zaraz muszę uciekać – mówi przejęty Sam. – Mam zebranie klubu w Forbidden Planet, a potem u Kistera Jonesa.

– Jakiego klubu? – pytam.

Wszyscy wiemy, co to jest Forbidden Planet. To najważniejsza i największa w Londynie księgarnia specjalizująca się w fantastyce i science fiction. Właśnie tam sprzedawane są powieści, które wydajemy.

– Dziś gromadzą się tam dzieciaki z ponadprzeciętnym ilorazem inteligencji – wyjaśnia natychmiast Poppy. – Należysz do Mensy? – pyta Sama. – Jestem pod wrażeniem. Ile masz lat? Piętnaście?

– Trzynaście. Prawie czternaście – odpowiada, prostując plecy. Poppy to prawdziwa czarodziejka.

– Ach, idziesz do Kistera? – pyta Rolph. – Pozdrów go ode mnie, jest mi winny drinka i manuskrypt.

– Od kiedy to wydajemy Kistera Jonesa? – pytam. Przecież go nie znosimy.

– Od kiedy przegrał zakład. Nie zdradzę szczegółów. To dżentelmeńska umowa.

– Może przynajmniej dowiemy się, o czym jest ta książka. A może tę tajemnicę zachowasz do chwili jej wydania? – pytam ostro.

– Och, nosi roboczy tytuł *Linokoczek*. Opowiada o ludziach, których wprowadza się w śpiączkę farmakologiczną, żeby mogli podróżować w czasie poprzez sny umarłych.

Wyczuwam, że w reakcji na słowa Rolpha gdzieś ulatnia się dziecięca bez troska Sama.

Ból reaguje na niektóre słowa jak cyrkowe zwierzę na komendy tresera. Słowo „śpiączka” powoduje, że Sam i ja tracimy całą odwagę, a nasz strach przeskakuje przez płonącą obręcz.

– Zawiozę cię do Forbidden Planet – proponuję Samowi.

Poppy z wyrzutem uderza Rolpha w ramię.

– Okej – mówi Andrea. – Poszukam innego obrazka na okładkę *Domu o tysiącu drzwi*.

Mogę tylko odprowadzić Sama do metra. Na naszej świeżej znajomości pojawiła się rysa. Stoimy obok siebie na schodach, z dołu wydobywa się ciepłe powietrze, a wokół rozchodzi się zapach oleju silnikowego, ludzkich ciał i rozgrzanych maszyn.

Kiedy się zegnamy, Sam patrzy mi w oczy.

– W każdą środę Mensa organizuje spotkanie w Forbidden Planet – wyjaśnia Sam. – Potem idziemy do Kistera Jonesa. Stamtąd odbierze mnie mama. Myśli, że spędziłem cały dzień ze Scottem. Nie chce, żebym odwiedzał tatę, nigdy wcześniej go nie spotkałem. Dziękuję za herbatę, no i... do widzenia.

Zostawia mnie z tymi tajemniczymi słowami i wybiega na schody.

– Hej! – krzyczę za nim. – Następnym razem przyjdź ze Scottem!

Odwraca się na schodach i unosi dłoń, pozdrawiając mnie po wolkańsku.

Chciałabym mieć dziecko z Henrim.

Chciałabym z nim wszystko dzielić.

Jest już ciemno, a ja nie mam siły nawet na kolejną whisky. Jej aromat mnie usypia, przywodzi skojarzenia z eterem stosowanym niegdyś przed amputacją. Wciąż stawiam sobie te same pytania, a one krążą coraz wolniej w mojej głowie.

Chcę tego? Dam radę? Czy sprostam wymaganiom doktora Saula?

Czy mogę oczekiwać od Wildera, że mnie zrozumie?

Czy zdołałabym zostawić Henriego?

Czy uda mi się go sprowadzić z powrotem do świata żywych?

A jeśli pewnego dnia pod wpływem impulsu zapragnę zemsty i pozwolę mu umrzeć?

Dlaczego, do diabła, Sam nigdy wcześniej nie widział swojego ojca?

Doktor Saul poradził mi, żebym kogoś zapytała, czy podołam temu zadaniu.

Tak, tyle że jedyny człowiek, który znał mnie dostatecznie dobrze, nie żyje. Ale i tak pytam go o zdanie. Pytam bezgłośnie mojego ojca: „Co mam zrobić? Dam radę? Powinnam spróbować?”.

Ojciec był inspektorem latarni morskich. Objeżdżał całą Kornwalię, a czasem przeprowadzał się na drugą stronę kanału La Manche i wędrował od Cherbourga do Saint-Mathieu na Półwyspie Bretońskim. Tam wzdłuż morza stało mnóstwo latarni morskich. Słyszał, kiedy w pojemnikach otaczających ogień w latarni było za mało powietrza. Umiał przewidzieć nadejście burzy, słuchając

wiatru uderzającego ze świstem w okna latarni. Nigdy nie wchodził do wieży bez przygotowania. Szczególnie w miesiącach zimowych, kiedy latarnia morska wygląda jak delikatny palec wynurzający się z rozszalałych, spienionych fal, które otaczają go niby olbrzymi kołnierz.

Tata poradził mi, żebym wchodząc do latarni morskiej, nigdy nie patrzyła na wszystkie schody, tylko na pierwszy stopień. A potem powoli pięła się w górę.

– W ten sposób zawsze sprostasz wyzwaniom, które na początku wydają ci się zbyt wielkie. Wtedy wszystko ci się uda.

Zmniejsz świat, bądź bardziej precyzyjna, nie myśl o rozciągającej się przed tobą długiej nocy, tylko o kolejnym momencie. Tak mówił.

– Musisz dojść do końca drogi, Edwinno, żeby móc w całości ją zobaczyć.

Obejmuję poduszkę i wtulam w nią twarz.

Dużo, dużo później zasypiam. Pojawia się Henri i całuje mój brzuch. Czuję jego wargi, jego oddech, wyczuwam, jak przesuwa się wyżej, po klatce piersiowej i szyi. Nasze usta się stykają, a potem on całuje moje zamknięte oczy. Tak robił tylko Henri, nikt inny.

Kiedy otwieram oczy, żeby go zobaczyć i opowiedzieć mu mój sen, okropny sen, przerażająco długi koszmar, w którym go wyrzuciłam z domu, a potem on w wyniku tajemniczego wypadku zapadł w śpiączkę, okazuje się, że Henriego nie ma.

Moje powieki są zimne, bo wiatr, który wpadł przez otwarte okno, wysuszył delikatną warstewkę wilgoci na cienkiej skórze, tak jakby ktoś je pocałował, naprawdę pocałował.

Mam czterdzieści trzy lata. Henri już dawno temu mnie zostawił. Nie jestem mu nic winna. A już na pewno nie mam obowiązku składać mu życia w ofierze! Nie, nie ma we mnie poczucia winy ani gotowości do poświęceń. Wiem, że zawsze podejmuję złe decyzje. Mogę skrzywdzić Wildera albo Henriego.

Albo siebie.

SAM

Co wieczór mama przed snem bierze prysznic. Naciera ciało sprowadzanym z Paryża waniliowym balsamem i siedzi w koszuli nocnej i biustonoszu w kuchni, aż mleczko się wchłonie. Czyta wtedy powieść z okładką w pastelowych kolorach. Takie książki można kupić w supermarkecie w dwupakach.

Zawsze zaczyna lekturę od ostatniej strony, żeby się upewnić, że powieść dobrze się kończy. W przeciwnym razie w ogóle nie zaczyna „tego głupiego czytadła”. Pije szklaneczkę alzackiego wina musującego. W trakcie tego rytuału nie wolno się do niej odzywać. Kiedy Malcolm był mały, mógł jej przeszkadzać, ale teraz ani jemu, ani Steve’owi, ani mnie nie wolno zwracać jej głowy.

Wiem, dlaczego mama to robi. To jedyne momenty, kiedy czuje się bezpieczna. Kiedy wie, że coś się dobrze skończy. Mama niczego bardziej nie potrzebuje niż świadomości, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu. Zbyt dużo czasu spędziła w miejscach na całym świecie, gdzie nigdy nie będzie bezpiecznie. Widziała piekło.

Idę do ogrodu na tyłach domu i siedzę w ciemności. Patrzę na kostkę, w której mieszkamy. To niewielki dom w zabudowie szeregowej w Putney. W łazience zapala się światło, pociągając za sznurek. Mama kupiła ten dom z piaskowca, okryty klinkierem, z powodu tak zwanego ogrodu, który składa się z trawnika i wiecznie zielonego żywopłotu. Przez rozświetlone okna widzę *maman* w kuchni i Steve’a przed telewizorem. Ogląda piłkę nożną.

Bezpieczne życie.

Wymyśliłem sobie grę o nazwie Gdyby mój tata tu był. Zamykam oczy i go sobie wyobrażam. Wszystko, co sobie dostatecznie dokładnie wyobraziłem, stanie się rzeczywistością, kiedy otworzę oczy.

Wtedy istniałaby olbrzymia biblioteka wypełniona książkami. Mielibyśmy psa, który wabiłby się Winterfell albo Lobsang. Nosiłbym czarny spiczasty kapelusz, jak sir Terry Pratchett, a w Międzynarodowy Dzień Ręcznika tata cytowałby Douglasa Adama i przez cały dzień chodziłby w pasiastym szlafroku. Pokazałby mi, jak samodzielnie przejść przez pole minowe za pomocą dwóch pałeczek i puszki z farbą w sprayu.

Eddie przyjechałaby na motorze.

Przyszłaby też Maddie.

Z zamkniętymi oczami wyobrażam sobie, jak Eddie zsiada ze swojego bmw i wchodzi do domu. Tata... Tata...

By ją pocałował.

A Maddie?

Ona by do mnie podeszła, zasłaniając oczy dłońmi, jakby sama bawiła się

w ciuciubabkę. Trochę by podglądała. Stałyby przede mną.

Bardzo blisko.

Potem bardzo powoli odsunęłyby dłonie od twarzy i na mnie spojrzała.

Kiedy otwieram oczy, w domu nie ma książek poza tymi, które stoją w moim pokoju i powieściami z supermarketu należącymi do mamy. Steve ogląda mecz piłki nożnej, a Malcolm gra na konsoli.

Scott nazwał kiedyś Steve'a wirtuozem szlifierki oscylacyjnej. Steve pracuje w markecie budowlanym jako posadzkarz.

Nie jest złym facetem.

Nawet jeśli zawsze mówi do mnie „stary”, jakby nie mógł zapamiętać, jak mam na imię.

Scott mówi na niego „stary Steve”.

Liczę do pięciu, czekam, liczę znowu i zmuszam się, żeby wrócić do domu.

– Sam, odrobiłeś lekcje? – pyta głośno mama. Ma pusty kieliszek.

„Niby kiedy!? – mam ochotę odkrzyknąć. – Niby kiedy?”

Nic nie mówię, wracam do swojego pokoju.

Po chwili mama staje w drzwiach w szlafroku. Pachnie omлетem i alkoholem.

– Ćwiczyłeś francuskie słówka?

– Mhm.

– Egzaminy zaczynają się za trzy tygodnie.

– Tak.

– Wiesz, że są bardzo ważne, Sam?

– Tak, *maman*.

Dokładnie ten sam dialog prowadzimy codziennie. Rozmawialiśmy też na ten temat wcześniej w samochodzie, kiedy odebrała mnie od Kistera Jonesa. Mama strasznie się boi, że zmarnuję sobie życie.

– Sam, te egzaminy są bardzo ważne, jeśli chcesz kiedyś zdobyć zawód z przyszłością.

– Steve chyba ich nie zdał, prawda?

Mama wzdycha głęboko.

Nie wiem, czemu to powiedziałem. To nie fair, a ona nie może nic poradzić na to, że wolałbym być teraz gdzie indziej, wszędzie, byle nie tutaj, nie w tej kostce, ze Steve'em, który mówi do mnie per „stary”.

– Samuelu, wiem, że dzisiaj po południu wagarowałeś.

– To nieprawda!

– Gdzie byłeś? – Mama podchodzi do mnie.

– Wałęsałem się tu i tam – płaczę się. – Byłem w... Forbidden Planet.

Wyszedł nowy Pratchett.

– Samuelu, wagarowałeś i na pewno nie poszedłeś do Forbidden Planet.

Dzwoniłam tam. Oni cię znają. No więc, gdzie byłeś!?

Mama poczułaby się zdradzona, gdybym powiedział prawdę i przyznał, że od siedmiu dni codziennie chodzę do szpitala. Zawsze tak jest. Kiedy raz przyznałem się, że wolałbym być z tatą, mama czuła się urażona i przez kilka dni się do mnie nie odzywała. Dlatego postanawiam kłamać dalej.

– Poszliśmy ze Scottem zapalić.

Scott by się uśmieł. Jedyne raz, kiedy zaciągnąłem się jego lucky strikiem, musiałem się położyć na pół godziny, bo zrobiło mi się słabo.

Pomstowanie mamy jest i tak o niebo lepsze niż pełna smutku i rozczarowania cisza, która zapadłaby, gdybym się przyznał, że odwiedzam ojca w szpitalu. Jej pogadankę kończy absolutny zakaz kupowania tych bzdurnych powieści fantastycznych. Mama odbiera mi kieszonkowe i zabrania oglądać telewizję.

– Sam, nie zmarnuj sobie życia! – rzuca na odchodne.

Zamyka za sobą drzwi, a ja siedzę i mam ochotę za nią krzyknąć: „Wszystko jest inaczej, niż ci się wydaje! Tata uratował dziecko, nosi plecioną bransoletkę, prawie umarł i zapadł w śpiączkę. A w szpitalu leży dziewczyna, z którą chcę spędzić życie. Nigdy nie zmarnuję sobie życia tak jak ona! Maddie nigdy nie zda żadnego egzaminu i na zawsze pozostanie odcięta od świata”.

Ale siedzę tylko przy biurku i zaciskam pięści na blacie.

Mama nosi w sobie zadrę. Widzę cień jej duszy, od kiedy przyszedłem na świat. Lepiej już jej nie ranić. Niekiedy chcę ją tylko chronić, powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham, ale nie umiem się na to zdobyć.

Słyszę, jak Steve zmienia kanały, a mama woła go do łóżka. Po chwili z ich sypialni dochodzi rytmiczne skrobanie. To wezgłowie ich łóżka stuka w ścianę, kiedy uprawiają seks.

Trwa to zawsze dziewięć minut. Potem rozlega się odgłos spuszczonej wody.

Malcolm przychodzi do mojego pokoju, jeszcze nie wie, skąd dochodzą te hałasy. Kładzie się na moim łóżku. Patrzy na mnie i mówi cicho:

– Wcale nie pachniesz dymem, Sammy.

Nie odpowiadam od razu. Malcolm jest „po drugiej stronie”. Ma szczęśliwą rodzinę. To oczywiście bzdura. Ale kiedy mu się czasem przyglądam, czuję się w naszej rodzinie jak piąte koło u wozu. A jednocześnie wiem, że zrobiłbym wszystko dla mojego brata. To jeden z niewielu ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć, dlaczego inni kłamią i są złośliwi.

Teraz podnosi się i siada na łóżku.

– Nie paliłeś, Sammy. Gdzie byłeś?

Gdzie byłem? Dobre pytanie. Moje życie zostało zhakowane. Na nowo sformatowane. Stało się takie, jakie powinno być od początku. Mam ojca, który poza mną nie ma nikogo na świecie.

A może jest zupełnie inaczej?

Może nie zhakowano mi życia, tylko świat oszalał? Może jestem jak ten adwokat, który przeszedł przez tajemne drzwi w swoim gabinecie i zgubił drogę? On też nie wiedział, które życie jest prawdziwe.

Przestaję gonić moje myśli w tym labiryncie. Liczę do pięciuset, brat w tym czasie zasypia, a ja zastanawiam się, czy żyję jeszcze w rzeczywistości, czy już nie. Żeby to sprawdzić, wyciągam z szafy dwa pudełka po butach narciarskich, w których schowane są ciężkie segregatory.

Otwieram pierwszy z nich i przeglądam nagłówki przechowywanych w nich artykułów prasowych.

„Zagubieni w Europie. Zapomniane dzieci wojny na Bałkanach”

„Dziewczynka z bombą w plecaku”

„Domniemana wojna. Jak armia amerykańska cenzuruje dziennikarzy”

„Uprowadzony przez rebeliantów. Reporter jako karta przetargowa”

Segregatory zawierają reportaże wojenne, eseje, zdjęcia.

Aż do moich narodzin trzynaście lat temu tata pisał reportaże wojenne. Mam je prawie wszystkie. Wydrukowałem je z internetu, powycinałem z gazet i starych czasopism, znalezionych na pchlim targu albo eBayu. Od kiedy zacząłem chodzić do szkoły, piszę do redakcji czasopism i proszę o egzemplarze archiwalne.

W drugim segregatorze znajduje się artykuł o tacie z „Time Atlantic” z 2002 roku. Twarz mojego ojca widnieje na okładce z czerwonym obramowaniem. Nagłówek głosi: „Człowiek, który się nie boi”.

Tata patrzy prosto w obiektyw. Jego niebieskie oczy wyglądają tak, jakby obserwował coś w oddali. Skórę ma opaloną, z bruzdami, na mocno zarysowanym podbródku widać siwawy zarost. Pośrodku lewej brwi ma bliznę, w tym miejscu nie rosną mu włosy. W wywiadzie powiedział, że został w tym miejscu ugodzony nożem przez pijanego żołnierza w Vukovarze, w czasie ulicznej kontroli. Ojciec musiał przed nim uklęknąć, a ten przez dwie godziny pastwił się nad nim, obsikał go, ranił nożem i dopiero potem pozwolił mu odjechać. Tata ukrył w samochodzie osieroconego chłopca i przeschmugłował go przez granicę.

Opowiedziałem tę historię Scottowi. Długo milczał. Stało się coś dziwnego. Scott miał łzy w oczach.

– Twój ojciec to prawdziwy człowiek, *mon ami*. Nie próbuje udawać ważniejszego, niż jest. Nie babra się w tym gównie, żeby pokazać wszystkim: tyle posiadam, to robię, stać mnie na taki zegarek. Twój tata to ktoś, kto naprawdę żyje.

Magazyn „Time” przedstawił Henriego M. Skinnera jako Człowieka Roku, jednego z korespondentów wojennych, którzy ryzykują życie, żeby opowiedzieć o jego ciemnych stronach.

Kiedy się urodziłem, tata przestał pisać korespondencje z pola walki.

Mama twierdzi, że to nie moja wina, ale trudno mi w to uwierzyć. Ona nie

czytała wywiadu z „Time Atlantic”, a ja znam go na pamięć. Tata powiedział w nim: „Reporter wojenny nie powinien mieć rodziny”.

Przeglądam dalej moje zbiory. Czytam reportaż o dzieciach wcielonych do armii w południowym Sudanie. Jedno ze zdjęć przedstawia mężczyznę w jeepie. W tle mój ojciec siedzi w kucki obok chłopca z karabinem. Na pierwszym planie widać naszyjnik z muszelek.

To zdjęcie zrobiła moja mama. W czasach kiedy jeszcze nie bała się żyć.

Znowu wykonałem w głowie kalkulację.

Zgadza się, to się mogło stać w Afryce.

Mama nigdy nie opowiadała, jak poznała tatę i jak potoczyły się ich losy. Nie wiem też, czemu przyjechała tu z Paryża, kiedy miałem cztery lata.

– Co tam czytasz? – pyta Malcolm z łóżka zaspanym głosem.

Biorę segregator, siadam na krawędzi łóżka, pokazuję mu okładkę „Time Atlantic” z portretem mojego ojca.

– To Daniel Craig? – pyta Malcolm.

– Podobny, prawda? – odpowiadam.

Tata faktycznie trochę przypomina Daniela Craiga, jest poważny, samotny i wygląda, jakby nie potrafił się uśmiechnąć. Tylko ma nieco ciemniejsze włosy.

– Co robi?

– Śpi, jak ty teraz.

Malcolm posłusznie zamyka oczy i po chwili znowu zasypia.

Kiedy w półmroku, między jawą i snem litery rozmywają mi się przed oczami, ostrożnie odkładam segregatory do pudełek i chowam głęboko do szafy.

Pisać o świecie, żeby go zrozumieć. Pisać o ludziach, żeby uczynić ich widzialnymi. Spisywać myśli, żeby nie oszaleć. Już w zeszłym roku kupiłem sobie notatnik. Ale wciąż leży zamknięty. Jakby mnie pytał: „Co masz do powiedzenia?”.

Ostrożnie przesuwam Malcolma do ściany i kładę się obok niego na wąskim łóżku.

Jak wyglądałoby moje życie, gdyby mój tata i moja mama zostali razem?

Próbuję to sobie wyobrazić.

Nie wiem, jak Eddie pasuje do tego obrazka, ale może znalazłoby się miejsce i dla niej.

Próbując umieścić na tym obrazku tatę, mamę, Malcolma, Maddie i Eddie, zasypiam i śnię o Maddie, której twarz unosi się pod grubą pokrywą lodową, patrzy na mnie, a pod nią kłębi się ciemne morze. Wody się rozstępują, a ja wpadam w sen, który już kiedyś śniłem, zanim poszedłem do szkoły. O tym śnie pediatra powiedział, że to *pavor nocturnus*, nocny lęk, a psycholog dziecięcy stwierdził, że to stresowa reakcja na straszne przeżycie.

Ale ja nigdy nie przeżyłem tego, o czym śnię.

Pociąg wyjeżdża z długiego, ciemnego tunelu i zbliża się do mnie, a mnie dopada strach, okropny strach, że na torach ktoś leży i zaraz zginie. Wciąż mi się to śni, a kiedy pociąg nadjeżdża, a światło reflektorów razi mnie w oczy, budzę się i leżę, a w uszach dudni mi mój własny puls.

DZIEŃ 20

HENRI

Wypadam z jadącego jeepa i zasłaniam Mariefrance swoim ciałem, rękami zakrywam jej głowę. Ona krzyczy, gorący piasek parzy mi kolana, choć mam długie spodnie.

Jeep przejeżdża jeszcze kilka metrów i wpada na mur. Nelson, nasz kierowca, osuwa się bezwładnie na kierownicę.

Obaj żołnierze ONZ w niebieskich hełmach leżą martwi, z twarzami zwróconymi ku słońcu, na wyschniętej darni na poboczu drogi w mieście Wau w stanie Bahr al-Ghazal Zachodni.

Chłopiec z karabinem maszynowym wychodzi roztrzęsiony z kryjówki, w której siedział w kucki, strzelając do Nelsona. Jego stanowisko to dziura w ziemi przykryta papą.

Mariefrance płacze.

Strzelec jest młody, ma około trzynastu lat, ale jego oczy są tak stare jak śmierć. Boi się tak bardzo jak ja.

Chłopiec kuca, opuszcza karabin i zamyka oczy.

– Nie idź tam, nie idź, nie idź! – krzyczy Mariefrance, kiedy zauważa, że się podnoszę.

Wstaję i powoli podchodzę do chłopca z wyciągniętymi przed siebie, otwartymi dłońmi, on nawet na mnie nie patrzy, ale pozwala sobie odebrać karabin. Opróżniam magazynek i odrzucam go daleko.

Potem kucam obok chłopca.

On kołysze się w przód i w tył, w przód i w tył, a wokół nas panuje cisza. Strach i upał sparaliżowały cały Sudan, mam trzydzieści jeden lat i od dawna podróżuję po ogarniętych wojną terenach. Widziałem już wiele, zbyt wiele takich dzieci, które przedwcześnie wkroczyły w dorosłość. W zeszłym tygodniu UNICEF wywiózł dwa i pół tysiąca tych dzieci, inne gromadzą się w pospiesznie organizowanych na sawannie wioskach dziecięcych. Zostaną rozbrojone, dostaną nowe paszporty i tożsamości. Do tej pory nie miały imion. Nazywano je tak jak dni tygodnia, w których przyszły na świat. Ale co to jest imię? Bez tych, z którymi się żyje, człowiek jest niczym.

Próbowaliśmy porozmawiać z wybranymi dziećmi, które nie potrafiły czytać ani pisać, ale umiały celować, naciskać na spust i znajdować miny. Tu nie obowiązują znane nam reguły, liczy się tylko prawo siły.

Mariefrance wczługuje się za jeepa, z którego ją wypchnąłem, kiedy padły pierwsze strzały. Nie lubimy się, ale nasze redakcje z Londynu i Paryża przydzieliły nas do wspólnej pracy.

Widzę, jak sięga po swoją zieloną torbę z aparatem fotograficznym

i przyciąga ją do siebie po piasku. Leży na boku i dzięki temu, że patrzy przez obiektyw aparatu, zyskuje dystans do rozgrywających się na jej oczach okropności. Fotografuje Nelsona, martwych żołnierzy i mnie, kiedy kucam obok małego zabójcy i kładę dłoń na jego roztrzęsionym ramieniu.

Czuję się, jakbym już widział ten obraz, jakbym patrzył na zdjęcie, które właśnie robi Mariefrance. Na pierwszym planie zakrwawiony naszyjnik z muszelek Nelsona, w tle mały żołnierz i ja.

Gorące powietrze faluje i znika moment *déjà vu*, pewność, że tę sekundę już kiedyś przeżyłem i wiem, jak wygląda zdjęcie.

– Jak się nazywasz? – pytam go.

– Boy – odpowiada, spoglądając na mnie, a potem znowu odwraca wzrok.

Siedzę obok niego w kucki, cienie wędrują, a Mariefrance robi zdjęcia. Poza nami nikogo nie ma na ulicy, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi w tym rejonie Afryki, a może nawet na świecie. Zostały tylko muchy i kozy, wypatroszone karoserie, plastikowe butelki, śmieci, ale nie ma tu żywej duszy.

Chłopiec mówi, że ojciec nazwał go kiedyś Akol, ale umarł, matka i młodsza siostra też, starsza jeszcze żyje. Gotuje dla dowódców. Nocą wolno jej spać u nich w baraku, on sam ma tylko plandekę rozwieszoną między dwoma martwymi pniami, pod którą może się skulić.

Pytam go, czy wie, że UNICEF pomaga takim dzieciom jak on.

– Ale co się stanie z nią? – pyta. – Co będzie z nią?

Boi się, że jeśli przestanie strzelać, milicja, która go wyszkoliła, sprzeda ją do Włoch.

Wydaje mi się, że już dłużej nie dam rady. Już nie mogę. Wielokrotnie próbowałem zawieźć tę rzeczywistość do domu i pokazać ją tym, którzy znają wojnę jedynie z telewizji.

Oni odwracają wzrok. Odwracają wzrok, jeśli pokaże im się za dużo.

Rozumiem ich.

Pozwalam Akolowi uciec i teraz mam przy sobie karabin bez amunicji oraz Mariefrance, w której nagle coś skamieniało, a przed sobą dwugodzinny marsz do obozu. Mariefrance nie chce zdjąć ciężkiej kamizelki kuloodpornej z napisem „Prasa”, ale jest mi wdzięczna, że biorę od niej zieloną torbę z aparatem fotograficznym.

Dopada nas strach, to on prowadzi nas przez ten boleśnie rzeczywisty świat. W pozbawionym praw świecie wojny lęk to jedyne, co nas łączy, jak ciężka choroba, z której nigdy się nie wyleczymy.

Nocą w namiocie prasowym na łóżku polowym z dodatkowym kocem z wielbłądziej wełny i przy dwóch cienkich świecach Mariefrance nie chce spać sama.

– Chcę jeszcze raz się kochać, zanim umrę – mówi.

– Przecież nie umierasz – odpowiadam.

– Nie chcesz mnie, arogancki dupku?

Nie rozumiem, dlaczego ludzie przywiązują taką wagę do miłości, że przypomina im się o niej, kiedy dopada ich lęk przed śmiercią. Ja wolę kamizelkę kuloodporną i butelkę whisky.

Kiedy jej to mówię, ona bije mnie po twarzy i klatce piersiowej, aż wreszcie łapię ją za nadgarstki i przytulam do siebie. Mariefrance płacze. Patrzy na mnie z taką udręką i nienawiścią, że w końcu ją całuję.

To taki moment.

Co?

Jaki moment?

Myśl się ulatnia, kiedy usta Mariefrance reagują. Całuje mnie tak, jakby z każdym pocałunkiem łatwiej jej się oddychało. Odwzajemniam jej pieszczoty, obejmuję ją, głaskam po plecach, a pod moim dotykiem rozluźniają się jej ramiona. Przysuwam usta do jej ucha i nucę, a potem całuję jej szyję. Kiedy chcę się odsunąć, bo właśnie przestała płakać, jej dłonie mnie chwytają, a ona przyciska mnie mocniej do siebie.

– Prześpij się ze mną – szepcze.

Jej dotyk mnie podnieca i opowiada mi o jej samotności. Nie chcę jej po raz kolejny ranić i poniżyć. Ja też chcę żyć, dlatego robię to, o co mnie prosi.

Wyczuwam, jak jej ciało się rozluźnia, poddaje mi się i zetraca w pożądaniu. Moje pocałunki odpędzają jej strach, poruszam się w niej delikatnie, nucę, śpiewam piosenkę, muskając ustami jej policzek. *Somewhere Over the Rainbow*.

Poddaje się.

Kiedy wyczuwam tę miękkość, tę przyciągającą mnie żądzę, z powodu której otwiera się jej łono, przez moment dostrzegam duszę Mariefrance. Jesteśmy bardzo blisko.

– Nie odchódź! – mówi, kiedy wyczuwa, że za chwilę się odsunę.

Kładzie gorące dłonie na moich łądzwiach i przyciska mnie do siebie.

W leżeniu obok niej jest coś pocieszającego.

Pod wpływem impulsu wycofuję się, żeby się całkowicie nie zatracić. To odruch, za bardzo się obnażyliśmy. Otworzyliśmy przed sobą nasze poranione dusze, jesteśmy młodzi i...

– Chodź! – szepcze Mariefrance. – Dojdz! We mnie.

Kolejny krok. Tylko jeden.

Tym razem postąpię inaczej.

Ale potem już tak nie myślę.

Kiedy w niej dochodzę, czuję się tak, jakbym robił długi, głęboki i relaksujący wydech.

– I tak cię nienawidzę – wzdycha z rozpaczą Mariefrance i mnie obejmuje,

a ja wiem, że nigdy się nie kochaliśmy i nie będziemy kochać.

Kiedy potem na krótką chwilę zasypiam, na tyle głęboko, na ile się tylko da w tym upale, wśród odgłosów obozowego życia, przyciśnięty do pleców Mariefrance, śni mi się, że mamy syna. Chłopiec mnie prosi, żebym przyszedł do jego szkoły na Dzień Ojca, bo nigdy wcześniej mnie nie widział. Zgadzam się. Potem umieram, tonę w rzece, w której płynie słona woda.

Nie opowiadam Mariefrance tego absurdalnego snu. Nie mówię jej też o *déjà vu*. Dziwnie się czuję, jakbym stanął na rozstajnych drogach. Jakbym już kiedyś leżał na tym łóżku polowym i już raz miał wybór, czy ją pocałować czy nie. Dojść w niej czy nie.

Dwa dni później lecimy przez Kair do Paryża. W czasie przelotu nad Morzem Śródziemnym Mariefrance zasypia z głową na moim ramieniu, a kiedy się budzi, jest jej wstyd i przez resztę lotu patrzy w pokryte skroploną wodą okno, odwrócona ode mnie.

Kiedy stoimy naprzeciwko siebie na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w niebieskoszarym świetle, między wakacyjnymi turystami, mężczyznami w garniturach, walizkami na kółkach i stewardesami Air France w krótkich ołówkowych spódniczkach, pytam ją:

– Chcesz się jeszcze zobaczyć?

Mariefrance wzrusza ramieniem. To może znaczyć „nie wiem” albo „zapytaj mnie jeszcze raz”.

Nie wiem o niej za wiele. Ma dwadzieścia siedem lat, nie chce mieć dzieci, lubi malarstwo, nie pija różowego wina.

– Niekoniecznie – odpowiada powoli.

W szczególny sposób zakłada włosy za ucho i patrzy na mnie wielkimi, dziewczęco niepewnymi oczami.

Myślę o mordercy, którego kiedyś nazywano Akol, póki nie stracił tożsamości i nie stał się Boyem.

Myślę o tym, że istnieją kobiety, które mówią „nie” tylko po to, żeby dać się namówić. Bo nie chcą powiedzieć „tak” i przez to przegrać.

Myślę o drodze, którą dostrzega się dopiero wtedy, kiedy się nią podąża. Jak w *Indianie Jonesie*.

Przekładam torbę na drugie ramię. Wyczuwam, jak narasta we mnie instynkt ucieczki, każe mi się odwrócić i odejść. Czym prędzej. Ta część mnie nie chce wchodzić na drogę, która nagle otwiera się na długim korytarzu hali przylotów w tłumie podróżnych. Ta część mnie chce po prostu lecieć do Londynu, zrobić pranie, iść do pubu, upić się, zasnąć, potem przespać miesiąc i znowu wyruszyć w drogę. Byle nie stać w miejscu.

Ale tak było zawsze. Kiedy przespałem się z kobietą, od razu uciekałem.

Wyobrażam sobie, jakie to byłoby łatwe, gdybym jej już nigdy nie zobaczył.

Przez pierwszą godzinę odczuwałam na przemian ulgę i wstyd. To normalne, większość dziennikarzy sypia ze sobą w trakcie podróży.

Ale Mariefrance mogła zająć w ciążę. Z naszym synem. Pewnie zdecyduje się na aborcję, bo stchórzę i odleczę następnym lotem British Airways i na pokładzie upiję się ginem, zamiast zostać i założyć rodzinę.

Chyba zwariowałem!

– No więc – mówi Mariefrance i schyla się po torbę z aparatem i plecak.

Teraz, myślę. No dalej, Henri! Rozegraj to inaczej. Tym razem rozegraj to inaczej.

Znowu to „tym razem”.

– Bywaj – szepcze i nachyla się lekko w moją stronę, żebym dał jej obowiązkowe *bisous*.

Całuję ją, nie dotykając ustami jej policzków.

Iść?

Zostać?

Ciekawe, jakie możliwości otworzyłyby się przede mną, gdybym został w Paryżu z Mariefrance, zamiast wracać do Londynu albo lecieć dalej do Kabulu. Wewnętrzna szarpanina. No już! Bądź wreszcie dorosły.

I...

Wygrywa wrodzona przekora.

Nie wiem, skąd się we mnie bierze. „Tym razem powiedz »tak«”, podszeptuje.

Przy trzecim pocałunku mówię, nachylając się do Mariefrance:

– Chętnie zostałbym u ciebie.

Kiedy wypowiadam te słowa, wiem, że kłamię.

Odsuwam przerażenie na bok. To zapewne normalne, tak czują się wszyscy faceci, kiedy zostają po raz pierwszy na noc.

Ona mnie obejmuje, przyciska do siebie i szepcze:

– Wciąż cię nienawidzę, ale nie aż tak bardzo.

Nie puszcza mnie. Rezygnuję z dalszego lotu do Londynu, nie lecę do Kabulu, tylko zostaję w Paryżu.

Trzy miesiące później Mariefrance pokazuje mi wynik USG.

– Chcę tego dziecka, ale nie chcę ciebie – mówi.

– Oczywiście, że mnie nie chcesz, wciąż to powtarzasz, ale i tak zostanę, bo ci nie wierzę.

Ona mnie obejmuje i odpowiada:

– Zgoda.

Ale nie mówi: „Kocham cię”. Tego nie potrafi, tak jak ja.

W międzyczasie poznałem ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że wystawia na próbę moje uczucia. Zawsze. Chce dowodów, że jej pragnę.

Za każdym razem mnie odsyła, żebym mógł do niej wrócić. Kochamy się, wmawiając sobie, że to nie miłość.

To cud tamtej nocy.

Nasz syn, Samuel Noam, dziecko strachu.

Co się z nim stanie, jeśli nasze drogi się rozejdą? Musimy zostać razem. Mariefrance stawia jeden warunek:

– Kiedy dziecko się urodzi, nie jedź na wojnę. Nie chcę, żeby się bało.

Dotrzymuję obietnicy.

Przez trzy i pół roku zapewniam Mariefrance, że zostanę z nią, nawet wtedy, kiedy mówi, że tego nie chce. Ona dostaje nagrodę za zdjęcie naszyjnika Nelsona, a ja pracę na pół etatu w „Le Monde”. Nie jadę już na wojnę.

Samuel to bardzo wrażliwe dziecko. Mariefrance często jest zrozpaczona, kiedy nasz mały szkrab nie chce dalej iść albo zaczyna krzyczeć, kiedy ma wejść do nieznanego mu pomieszczenia. Niestrudzenie wstaje w nocy, kiedy nękają go koszmary, kiedy pokazuje na cienie i chowa się w rogu łóżeczka. Nosi go, uspokaja, ale nie wie, że ja wiem o tych koszmarach. Wkrótce wprowadzam się do pokoju Samuela. Mariefrance jest zazdrosna, ale jednocześnie wdzięczna, że z taką łatwością zajmuję się naszym synem. Z wdzięczności znowu spędza ze mną czas. Dla mnie Sam w żadnym momencie nie jest męczący. Długo nie mówi poprawnie, a kiedy otwiera buzię, wydobywają się z niej dziwne rzeczy, jak twierdzą przedszkolanki, martwi się też logopeda, tylko ja nie uważam tego za wariactwo, jego język brzmi troszeczkę jak tybetański. Albo jakby Sam nauczył się we śnie słów, które bardzo precyzyjnie nazywają to, co napotkał w trakcie nocnych wędrówek. Tylko w naszej rzeczywistości słowa te są niezrozumiałe.

Mariefrance sypia ze swoim szefem. Opowiada mi o tym jego żona, wręcz proponuje mi romans, „dla równowagi, *mon cher*”. Ale ja myślę o Samie. Już teraz bardzo gwałtownie reaguje na znużenie matki, która musi ukrywać przed nami coś, co jednocześnie ją cieszy i martwi. Tak, Sam wyczuwa matkę i współodczuwa z nią, może to właśnie dlatego nie mam jej tego za złe: mój syn uczy mnie empatii. Kiedy Mariefrance go odtrąca, nie reaguje przekorą, tylko troską. Podchodzi do niej na swoich dziecięcych nóżkach i wdrapuje się na krzesło, żeby pogłaskać ją po policzku. Czasem wydaje mi się, że zaraża się od niej nastrojami jak katarem.

Nie wdaję się w romans z żoną szefa Mariefrance.

Przez jakiś czas obserwuję Mariefrance. Wymyśla kolejne wymówki. Kłamie. Jak wiele kobiet popełnia podstawowy błąd w takiej sytuacji: chce ze mną sypiać częściej niż kiedyś. Tak jakby każda godzina spędzona ze mną równoważyła każdą zakazaną z nim. Jej rozdarcie mnie wzrusza. Czasem chciałbym, żeby się wstydziała, a czasem życzę nam obojgu, żebyśmy choć jeden raz potrafili zdobyć się wobec siebie na szczerość.

Najczęściej odmawiam jej seksu, a wtedy ona reaguje jednocześnie ulgą,

niepokojem i nieufnością.

– To z kim sypiasz, jeśli nie ze mną? – pyta po tym, jak przez trzy miesiące nie widzieliśmy się nago.

– A ty? – odparowuję. – Wciąż z Claude'em?

– Nienawidzę cię – szepcze i rozumiem, dlaczego mnie nienawidzi.

Nienawidzimy tych, którym nasza zdrada nie przysparza bólu. Ale ja naprawdę nie cierpię. Niewiele mnie to obchodzi, mam wręcz nadzieję, że ona go kocha. Miłość dobrze by jej zrobiła.

Cierpi, bo jej nie kocham, ale wystarczy jej cud, który nam się przydarzył, nawet jeśli Sam jest dla niej bardziej obcy niż ja.

Wydaje mi się, że gdyby rano jej szef Claude rozstał się z żoną Chantal, Mariefrance byłaby z nim już wieczorem. Ale Chantal zachowuje się inaczej wobec niego niż ja wobec Mariefrance i niczego mu nie ułatwia.

Bezgranicznie kocham Sama, to cud, że narodził się z pozbawionego miłości związku. Czasem, kiedy Mariefrance przychodzi do domu wyczerpana i zrelaksowana, otoczona zapachem białego wina, wody kolońskiej Claude'a i proszkiem używanym do prania pościeli hotelowej, wstaję cicho i obserwuję śpiącego Sama.

A więc to jest sens życia.

Po raz pierwszy rozumiem mężczyzn, którzy nie opuszczają rodzin, choć nie kochają już swoich żon. Bo istnieją te piękne istoty. Ci mali, niezepsuci i niezakłamani ludzie, których kocha się bezgranicznie i bezwarunkowo.

Sam jest bardzo wrażliwy na otaczającą go rzeczywistość. Na razie reaguje na nią krzykiem. Ucieka na czworakach albo zapada w sen.

Obserwuję go, jak odwraca główkę, kiedy słyszy przyjazne głosy albo łagodne dźwięki. Odwraca ją w drugą stronę, kiedy w głosach słyszy coś, co mu się nie podoba. Potrafi wychwycić nieszczerość, gniew i smutek. Wtedy płacze.

Kiedy spędzam czas z Samem, czuję, że potrafię lepiej widzieć świat.

On reaguje też na przestrzenie i miejsca. Nie możemy chodzić niektórymi ulicami, a kiedyś przy wejściu do pewnego budynku dostał napadu hysterii. Później dowiedziałem się, że na progu tego domu popełniono morderstwo na tle rabunkowym.

Sam to żywy sejsmograf, rejestruje niewidzialne rzeczywistości. Patrzy na mnie i otaczający go świat niczym niezmaconym, pierwotnym spojrzeniem. Potrafi dostrzec piątą wymiar rzeczywistości, niewidzialny dla ludzi epoki cyfrowej.

Piątą rzeczywistość. Tak nazwał to badacz zjawisk paranormalnych, który w pierwszym życiu był fizykiem i biologiem, a w drugim studiował to, co nieracjonalne.

– Już pan zauważył te osobliwe koincydencje między niebem i ziemią. Ktoś umiera i rodzi się dziecko. Myśli pan o przyjacielu niewidzianym od trzydziestu lat

i nagle dzwoni telefon. Okazuje się, że to on. Te dziwne uczucia, których doświadcza się w starych budynkach albo kiedy przejeżdża się przez okolicę, w której prowadzono działania wojenne. Wybrzeże Normandii do dziś jest przesiąknięte krwią. Był pan tam kiedyś?

Tak, byłem. Z Malo i Yvanem. To prawda, niebo jest tam bardziej szare, trawa wypłowiła, a stare, ponadstuletnie domy z kamienia wydają się zgarbione i przygnębione. Te tereny zaznały ogromnych cierpień.

Kiedyś ja też tak odbierałem świat. Ziemia przesiąknięta krwią sprawiała, że wyczuwałem bliskość tysięcy martwych żołnierzy.

Przesiąknięta krwią.

Badacz zjawisk paranormalnych wyjaśnił mi, że istnieje wiele rzeczy, których ludzie nie potrafią dostrzec, bo za bardzo zawierzyli rozumowi, a ich zmysły stępiło świeckie wychowanie. Dlatego że nie potrafią albo nie chcą otworzyć swoich ciał i umysłów na nowe doznania.

– Dzieci, psy i koty widzą i wyczuwają to, co my negujemy. Dorosłość wcale nie oznacza, że człowiek staje się mądrzejszy. Najczęściej staje się głupszy.

Ale Sam jeszcze to wszystko widzi. Jego zmysły są znacznie bardziej wyostrzone niż u przeciętnego człowieka. Ma tysiąc oczu i uszu.

Kiedyś wydarzyło się coś dziwnego. Sam pokazał na kąt pokoju i powiedział:

– Dziadzia! Dziadzia!

Jakby widział dziadka. Malo. Albo Yvana. Ja nie widziałem nic, ale Sam chichotał radośnie. Czy widział mojego ojca? A może mojego dziadka? Czy dzieci widzą umarłych?

Pewnego majowego dnia próbowałem nauczyć Sama liczyć. Bezskutecznie usiłowałem przedstawić czwórkę. Pokazywałem mu cztery palce, cztery buty, cztery źdźbła trawy. Nagle on głośno i wyraźnie powiedział:

– Żółty.

– Nie, Sam. Cztery, nie żółty.

On pokręcił główką, lekko dotknął moich palców i powtórzył z naciskiem:

– Żółty.

Pokazał na liczby, które narysowałem gałęzią na piasku w parku nad jeziorem Bassin de la Villette, nieopodal grupki mężczyzn grających w bule. Sam wskazał na ósemkę.

– Elony – powiedział. Tak mówił na zielony. – Niebieski – dodał.

Szóstka była czerwona, siódemka jasnozielona, trójka niebieskożółta, dwójka szarozielona, a jedynka mu się nie podobała.

– Aha. A żółty plus żółty równa się...?

– Elony – odparł i natychmiast pokazał na ósemkę.

Uwielbiał ósemkę i wszystko, co miało ciemnozielony kolor.

Przez cały dzień bawiliśmy się, przyporządkowując liczby do kolorów. Wieczorem uświadamiam sobie, że mój syn nie tylko liczby kojarzy z barwami. Kolory i cyfry łączy z dźwiękami i innymi właściwościami, takimi jak ciepło, siła albo złośliwość. Kiedy pociąg wjeżdża na stację metra, wydając syczące odgłosy, Sam wykrzykuje:

– Biała jedenassstka, biała jedenassstka.

Po chwili zatyka uszy, wsłuchując się w bicie swojego serca.

– Pom pom! Tata, pomarańczowy.

Wtedy odkryłem, że Sam odbierane od innych emocje przyporządkowuje do kolorów i do przedmiotów. Ale nie potrafi wyjaśnić jakich. Pokazuje palcem na cienie i kałuże. Mógłbym całe życie poświęcić na naukę tego języka.

Kiedy niosę mojego pulchnego szkraba przez plac Bastyllii, jest blady i milczący. Czuję na plecach ciepłe promienie słońca.

– Na ulicy jest czerwono i białe – mówi Sam, oczywiście niedokładnie tymi słowami, raczej pokazuje na mury i kolumny, które stoją tu z pewnością od dwustu albo trzystu lat. – Aua. Głośno. – Jego mądre, stare oczy napęcznieją się łzami.

Tego dnia zaczynam go nareszcie rozumieć. Mój syn ma więcej receptorów zmysłowych niż inni. Jest osaczony przez wrażenia, których zwyczajni ludzie nie rejestrują nawet na obrzeżach pola widzenia. Jest synestetykiem. Postanawiam powiedzieć o tym Mariefrance tak spokojnie, jak tylko potrafię. To dar, który będzie kosztował Sama wiele odwagi i wysiłku. Będzie musiał radzić sobie z „naddatkiem” świata.

Razem z nim szukam takiej drogi do domu, o której wiem, że biegnie przez zakątki, place i skwery, gdzie nie wydarzyło się zbyt wiele morderstw, rebelii, gwałtów czy linczów. Po drodze kupuję Samowi duże lody karmelowe z solonym masłem. Takie same robi się też u nas – nad Iroise, w Bretanii, w Finistère.

Kiedy je, obiecuję mu, że zrobię wszystko, żeby mu pomóc znieść naddatek świata.

Ogarnia mnie taka czułość wobec naszego dziecka, że muszę zagryźć policzek po wewnętrznej stronie. Boli, ale w ten sposób powstrzymuję łzy.

On spogląda na mnie i pyta:

– Tata au?

Przytakuję. Tata au. Ale dobre au.

Nie udaje mi się jednak opowiedzieć o tym Mariefrance.

Czekam z Samem na metro i kiedy zbliża się odgłos „białej jedenastki”, podchodzi do nas pijany, smutny akordeonista.

Potyka się o zwisający pasek swojego instrumentu i popycha mnie ramieniem. Tracę równowagę i rączka Sama wysuwa się z mojej dłoni. Spadam pod jadące metro, na tory, spadam...

Jeszcze nie! Błagam, jeszcze nie! Jeszcze za...

DZIEŃ 25

HENRI

... wypadam z jadącego jeepa i zasłaniam Mariefrance swoim ciałem, rękami zakrywam jej głowę. Jeep przejeżdża jeszcze kilka metrów i wpada na mur. Nelson, nasz kierowca, osuwa się bezwładnie na kierownicę, umiera na poboczu w mieście Wau w stanie Bahr al-Ghazal Zachodni.

Chłopiec z karabinem maszynowym jest młody, ma około trzynastu lat, ale jego oczy są tak stare jak śmierć. Widziałem już wiele, zbyt wiele takich dzieci, które przedwcześnie wkroczyły w dorosłość. Przyglądamy się sobie, a on opuszcza stare, smutne oczy, karabin wysuwa się z jego szczupłych rąk. Jakby był zmęczony obserwowaniem niekończącego się pochodu umarłych, umarłych, umarłych. To musi być piekło, przeżywać wciąż to samo życie, powtarzać każdą godzinę, każdy błąd, każde zaniechanie.

Mariefrance wczołguje się pod jeepa. Widzę, jak sięga po zieloną torbę z aparatem fotograficznym. Zawsze profesjonalistka, myślę, nawet w takiej chwili.

Gorące powietrze faluje mi przed oczami i przez moment wydaje mi się, że wiem, jak będzie wyglądało to zdjęcie. Wiem też, że Mariefrance za tydzień będzie siedziała koło redaktora naczelnego przed komorą bezcieniową, przeglądając przezrocza i stykówki. Ich ciała będą się dotykały i coś ze sobą wynegocjują. Pod koniec tych negocjacji, gdy upłynie kilka tygodni, nastąpi wymiana spojrzeń, a ich nagie ciała się ze sobą splecą. Jedno z nich będzie gorzko płakało, ale dopiero wiele lat później.

Wszystko to widzę w jednej chwili. Moje oczy łzawią, dudni mi w uszach i chce mi się pić. Pragnienie staje się nieznośne.

Jeden z lekarzy, do których wysłał mnie mój naczelny, Gregory, twierdził, że nie mam już więcej miejsca w mózgu. Wypełniają go obrazy, zbyt prawdziwe filmy i traumatyczne uczucia, które przez lata wsiąkły we mnie jak atrament w bibułę. I nigdy ich nie przepracowałem.

– O, na przykład w trakcie terapii, panie Skinner.

Jaka terapia zdoła wydobyć z głowy wojnę?

Siedzę w kucki obok chłopca, cienie się przesuwają, a Mariefrance robi zdjęcia. Małoletni morderca mówi, że ojciec dał mu na imię Akol, ale on już nie żyje, matka i młodsza siostra też, została mu tylko starsza, pracuje w sztabie dowództwa.

– Nahia – szepczę.

On przytakuje, a ja się orientuję, że Akol nie wspominał wcześniej imienia siostry. Więc skąd je znam?

Co tu się dzieje?

Pewnie mam malarię, fantazjuję. Umrę. Umrę.

Umrę?

Rzeczywistość się wykoleja. Boy, Nahia, krew Nelsona kapiąca na fotel, na jego popękany naszyjnik z muszelek, Mariefrance, która pewnego dnia prześpi się ze swoim szefem.

Umieram i jestem rozgoryczony, że tak wiele nie udało mi się zrobić, tak nieskończenie wiele.

Akol zrywa się i ucieka, biegnie, jego karabin zostaje na ziemi.

Do obozu wracamy pieszo. Mariefrance pozwala mi nieść jej kamizelkę kuloodporną z napisem „Prasa”, ale torbę niesie sama.

– Już dłużej tak nie mogę – mówi w pewnym momencie. – Wydaje mi się, że już nigdy nie będę fotografowała ludzi.

Nocą w obozie na łóżku polowym, przy dwóch cienkich świecach, piję whisky i podaję butelkę Mariefrance. Podaję ją jej raz po raz, jakby to było mleko, które musi wypić, żeby zasnąć.

– Chcę się jeszcze raz kochać, zanim umrę – mówi w pewnej chwili.

Spółgłoski wymawia już niewyraźnie.

– Jeszcze zdążysz – odpowiadam i myślę o jej szefie, Claudzie, którego nie znam.

– Nie chcesz mnie, arogancki dupku?

Czeka na moją odpowiedź. Whisky sprawia, że moje kończyny stają się zbyt ciężkie. W przeciwnym razie już dawno trzymałbym Mariefrance w ramionach. Słyszę wołanie jej samotności i błaganie, widzę czułość i dobroć pod warstwą gniewu. Muszę się powstrzymać przed pocieszaniem jej. Nie chcę jej okazywać litości.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie przywiązują taką wagę do miłości, że przypomina im się o niej dokładnie wtedy, kiedy dopada ich lęk przed śmiercią. Ja wolę kamizelkę kuloodporną i butelkę whisky.

Mariefrance podnosi dłoń, jakby zamierzała mnie spoliczkować. Ale ona też jest zbyt wyczerpana i zamiast tego wykonuje lekceważący gest w chłodnym jak kamień powietrzu, odchyła się do tyłu i natychmiast zasypia.

– Przynajmniej mnie pocałuj – mruczy śpiwnie.

Nachylam się nad nią. Jej usta smakują jak owoc. To piękna kobieta. Tęskni za tym, czego mnie też w tej chwili najbardziej brakuje. Za życiem.

Tak ogromne pragnienie życia.

Mógłbym spijać życie z jej ust!

To właśnie taki moment.

Co?

Jaki moment?

Myśl znika, kiedy naciągam wyżej koc z wielbłądziej wełny i okrywam Mariefrance. Noce w Wau są bardzo chłodne. Przechodzi mi ochota, żeby ją

pocałować.

Odzywa się we mnie niewyraźny żal, że się z nią nie przespałem. Ale odczuwam też ulgę.

Dwa dni później lecimy do Paryża i rozstajemy się w strefie tranzytowej. Znowu ogarnia mnie melancholia, kiedy patrzę na Mariefrance, jak szybkim krokiem przechodzi przez terminal po posadzce z trawertynu i zatrzymuje się przy stanowisku odbioru bagażu. W zamyśleniu przesuwam dłonią po płaskim brzuchu.

Czuję się niezadowolony, pusty, oszukany, jakby zabrano mi coś pięknego i jasnego. Nie rozumiem tego przyływu tęsknoty. To rezultat różnicy temperatur. I pobytu w Wau.

Myślę o Nelsonie. Żołnierze pochowali jego ciało i zajęli się jego rodziną.

Jak gwałtownie może skończyć się życie. Jak dziwne ścieżki prowadzą ku życiu lub śmierci! Wystarczy jedna decyzja, drobny gest i nagle życie podąża w zupełnie innym kierunku niż przed godziną.

A ja?

Czy powinienem był pocałować Mariefrance? Przespać się z nią? Czy ta decyzja przybliżyła mnie do śmierci, czy od niej oddaliła?

Próbuję odsunąć od siebie te natrętne myśli i strach, który przywarł do mnie jak pijawka.

Trzeba dobrze przeżyć życie, od chwili do chwili. Postępować właściwie. Ale skąd wiadomo, co jest właściwe?

Jeszcze raz oglądam się za Mariefrance. Co ja z nią pocznę? Nie za bardzo ją lubię. Łatwo zranić jej ego, a wtedy robi się okrutna. Budzi się w niej agresywny Eros. Czuję, że powinienem ją pocieszyć, jakby to mogło zamienić ją w kogoś bezgranicznie dobrego.

A jednak nasze drogi się zeszły. Czuję się teraz tak, jakbym stanął przed drzwiami, przez które powinienem przejść. I jakbym coś przegapił, bo je zatrzasnąłem.

Idę do baru w Hiltonie, upijam się, a potem z czystej wściekłości i przekory, pewien, że całkowicie zaprzepaściłem moje życie, wsiadam do pierwszego samolotu do Kabulu.

Zasypiam. Mam szalone, dzikie sny – leżę nieruchomo na szpitalnym łóżku, niemy, głuchy, nikt nie patrzy mi w twarz, a ja próbuję krzyczeć, choć nie mogę poruszyć językiem.

Kiedy się na chwilę budzę, opieram czoło o chłodne okno samolotu. Chce mi się pić. Boli mnie głowa. I gardło. Kiedy zasypiam, kiedy tylko wpadam pod powierzchnię świadomości, znowu jestem w szpitalu. Nachylają się nade mną obce twarze, ale mnie nie widzą.

Widzę wśród nich twarz kobiety o jasnych oczach. Wydaje mi się znajoma, ale potem znika, a ja jestem pewien, że zwariowałem.

Gregory, mój redaktor naczelny, dziesięć lat temu dał mi radę, która powinna służyć mi za drogowskaz w krytycznych sytuacjach:

– Musisz wiedzieć, kim jesteś. W przeciwnym razie pogubisz się na wojnie. Wiesz, kim jesteś? Masz swoją mantrę? Swoje hasło przewodnie? Jakiś tytuł, który przypominałby ci twoją prawdziwą tożsamość, Henri Skinnerze?

Bardzo często o tym myślę.

Znam Monicę, żonę Grega. W każde urodziny przynosi mu do redakcji sernik z sosem truskawkowym, a Gregory dzieli go sprawiedliwie, pękając z dumy. I każdy stary, cyniczny, przemyślany, wrogi wszelkim emocjom i pogardliwie nastawiony dziennikarski wyga, który spróbowałby wypowiedzieć jakiś zjadliwy komentarz, zostałby uciszony przez Grega jednym lodowatym spojrzeniem.

– Rodzina ocala – mówił Greg. – Każdy potrzebuje rodziny, żeby uratować duszę.

Ja nie mam rodziny.

Cierpienia mojego ojca krążyły w moich żyłach i zdeterminowały mój los.

Nie mam już matki, umarła niedługo po moich narodzinach, ani babki, wybrała się na spacer i zaskoczył ją sztorm. Zaginęła. Ale Malo jeszcze przez wiele lat stał na skałach przy brzegu i czekał na jej powrót.

Greg powiedział mi też:

– Henri, musisz w odpowiednim momencie zrezygnować z tej pracy! Musisz po powrocie z tych wszystkich wojen założyć rodzinę. Ale jeszcze nie teraz. Nie wolno narażać żony i dzieci na stres, kiedy ty w hełmie i kamizelce kuloodpornej będziesz z paszportem wyruszał w kolejną podróż. Zaczekaj, aż będziesz miał dość wojny i odważysz się naprawdę żyć. Potem znajdź sobie kogoś, kto cię kocha i zniesie to, że nocą nie będziesz mógł spać, bo w twojej głowie wciąż będzie toczyła się bitwa. Zaczekaj co najmniej do trzydziestego piątego roku życia, potem musisz zacząć żegnać się z wojną. W przeciwnym razie ona nigdy cię nie opuści.

Ale jak ma założyć rodzinę człowiek, który nie potrafi zdecydować się nawet na pocałowanie kobiety, a co dopiero na wspólne życie?

Kiedy samolot ląduje, w głowie czuję tępy ból.

W drodze z niemieckiego lotniska wojskowego do Kabulu i amerykańskiego obozu piję wodę z manierki. Wiele razy byłem w Kabulu, zwanym przez Afgańczyków udręczonym miastem. Niektórzy powiadają, że kiedy się tam za często przyjeżdża, któregoś dnia zostaje się na zawsze.

Przypomina mi się spotkany w czasie poprzedniej wizyty handlarz herbatą, który przyszedł do obozu holenderskiego i zabrał mnie do palarni opium w Kabulu, żeby tam przedstawić mi domniemanego dżihadystę, który zmazał z siebie wszystkie winy. Piliśmy. Paliliśmy opium. W afgańskich lepiankach nie ma wprawdzie ubikacji ani okien, ale zawsze jest tam szafa z kałasznikowem, a za domkiem ogród, w którym rośnie mak.

Może powinienem wrócić do palenia opium. To by mnie ukoilo. Chcę uwolnić się od snów, sprawiają mi zbyt wiele bólu. Śnię przez całe życie i jestem zmęczony, bardzo zmęczony.

– Przyjechał pan za wcześnie – warczy komendant amerykańskiego obozu. – Oczekiwaliśmy pana dopiero za trzy dni.

– To właśnie minusy wolnej prasy – odpowiadam.

Rozumiem jego nieprzyjazne nastawienie. Mogą zapewnić bezpieczeństwo ograniczonej liczbie dziennikarzy. Amerykanie, owszem, chcieliby mieć więcej reporterów, ale takich, których mogliby kontrolować, w ich korpusie. Nazywa się ich *embedded reporters*, wcielonymi reporterami, którzy nie piszą już bezstronnych reportaży.

Jadę pojazdem opancerzonym prosto do Kabulu, byle zejść z oczu komendantowi. Greg przysłał mi e-maila, że „Time Atlantic” chce po moim powrocie zadać mi kilka pytań.

Pałacy upał jest tu inny niż w Sudanie. Suche powietrze pachnie ogniem, spalinami, słodką herbatą i curry. Idę po pylistym, glinianym podłożu, mijam stragany, na których sprzedawana jest ciecierzycza w szarych workach. Na większości z nich widnieje napis „Deutsche Bundespost”. To stare worki na listy niemieckiej Bundeswehry.

W powietrzu unosi się aromat szaszłyków z baraniny, pieczonych nad otwartym ogniem z perskimi przyprawami. Handlarze głośno krzyczą, oferując towary z niesionych przez osły koszy pełnych fig, daktyli i melonów. W otwartych witrynach sklepowych siedzą sprzedawcy wśród jedwabnych chust, używanych ubrań i zepsutych przyrządów elektronicznych, opowiadają pieprzne dowcipy i głośno czytają nagłówki z gazety „Anis”. Po targu przechadzają się kobiety w długich do ziemi niebieskich burkach, inne mają na sobie czarne nikaby, które odsłaniają tylko oczy, wiele z nich założyło modne dupatty, chusty noszone tak, by widać było całą twarz. Przypominają Grace Kelly w modnej apasce. Kto by pomyślał, że to zniewolone kobiety, wydawane za mąż przez rodziców.

Chce mi się pić.

Widzę żołnierzy z karabinami maszynowymi, żebraków bez nóg na niskich wózkach kołowych. Papierowe latawce na niebieskim niebie w falującym powietrzu, dokładnie nad wieżą meczetu. W słońcu połyskują odłamki szkła. Na horyzoncie widać pokryte śniegiem szczyty Hindukuszu. Są białe, tak jak zwiewne spodnie i kaftany do kolan, zwane *perahan wa tunban*, które mają na sobie dwaj mijający mnie mężczyźni.

Szukam mojego stałego informatora. Toruję sobie drogę w tłumie, mijam grubych handlarzy walutą. Sprzedawcy wielbłądzich głów niczym prostytutki nęcą klientów. Owcze jelita szarzeją na słońcu, unoszą się wokół nich chmary czarnych i głośno bzyczących much.

Kupuję herbatę miętową i wypijam ją łapczywie, głośnymi łykając. Napój koi moje wargi. Nie wiem, skąd nagle pojawia się ten mały chłopiec. Staje mi na drodze, kręci głową, unosi ręce i coś do mnie mówi.

Chcę go zapytać, o co chodzi, szukam w pamięci perskich słów.

– Czego chcesz? – pytam w dialekcie dari, którego nauczyłem się od żołnierzy.

Pokazuje na swoją butelkę na wodę. Tak, mnie też się chce pić. Zawsze, to pragnienie można zaspokoić tylko na chwilę.

Jak ten mały na mnie patrzy.

Niespokojnie. Migotliwie. Hipnotyzująco.

Jego oczy jaśnieją jak świece przy materacu na ziemi, w Wau, nocą, kiedy spałem z Mariefrance.

Odwracam się. Ktoś mnie śledzi?

Przecież nie spałem z Mariefrance. Tylko to sobie wyobraziłem w samolocie, tuż przed zaśnięciem. Ale z nią nie spałem.

Robi mi się słabo. Upał. Alkohol. Pragnienie.

Chłopiec ciągnie mnie za rękę. Ma chyba osiem lat. Wygląda jak chai-boy, chłopiec od herbaty w jednym z najbardziej znanych lokali w Kabulu. Służący, posłaniec, chłopiec do wszystkiego.

Dosłownie do wszystkiego.

Gdyby to był mój syn, zastrzeliłbym jego szefa! Nagle czuję, że z gniewu krew mnie zalewa!

Chłopiec nie ma krótko obciętych włosów jak inni studiujący Koran. Jego ciemne, dłuższe włosy mają jasny, rudobrazowy odcień, wystają spod fioletowej, haftowanej czapeczki. Jego oczy to dwa jasnozielone koraliki w wyczerpanej, a jednak pięknej twarzy. Chwyta mnie za rękę.

– Ibrahim – mówi. – Mam na imię Ibrahim. Mogę ci pokazać drogę.

Pozwalam, by mnie poprowadził. Tak jest łatwiej, z każdym krokiem czuję się lżejszy. Unoszę się nad ziemią.

Nie powinienem za nim iść. To ja powinienem chwycić go za rękę, ale coś mi podpowiada, że inaczej nie mogę postąpić. Już nie. Teraz już nie.

Bo jej nie pocałowałem. Tak zaczęło się to życie, to całkiem inne życie. Gdybym ją pocałował, teraz byłbym w Paryżu.

Odsuwam od siebie tę absurdalną myśl.

Pewnie w Afryce złapałem jakąś chorobę. Dengę? Mam halucynacje. Później muszę poprosić lekarza wojskowego o odpowiednie leki.

Przechodzimy obok bazarowych straganów, ład, taczek i klatek z ptakami. Barwy i zapachy wirują. Czuję się, jakbyśmy zjeżdżali w niekończącej się wirującej rurze. W płynącym tłumie widzę różowy plecak.

Jakaś kobieta o mrocznym głosie mówi głośno w mojej głowie:

– Nie idź!

Ale nie mogę się zatrzymać. Gubię się i nic nie mogę na to poradzić.

W powietrzu rozchodzi się zapach spalonego kabla i zetkniętych włosów.

– Adrenalina! – woła ktoś.

Moje serce zamiera, zamienia się w kamień, ból zapiera mi dech w piersi.

A potem rozlega się potężny huk. Eksplozja, wybuch ogromnej bomby, zaledwie kilka metrów ode mnie. Róż eksploduje.

Ogromna siła ciska mną o kamienny mur, w głowie czuję ból, mam ciemność przed oczami.

Ręka Ibrahima zostaje wyrwana z mojej dłoni.

Świat ciemnieje, noc nadchodzi z wszystkich stron, od spodu, z góry, a za tą czernią są cienie, które na mnie napierają, chwytają mnie, dźgają, obejmują mnie za szyję...

Jakiś chłopiec krzyczy:

– Tato! Tato!

W panice jego głos przechodzi w pisk. Potem ciemność się rozprasza. To Ibrahim krzyczy, krzyczy i krzyczy, i nagle milknie.

Sprzedawca wielbłądzich głów bezradnie patrzy na swoją nogę oderwaną w kolanie. Wokół leżą strzępy fioletowej, haftowanej czapki i jedwabiu oraz kawałki melonów.

Z krwawej mgły pyłu wynurza się mój ojciec.

Podchodzi do mnie spokojnym krokiem. Ma na sobie sprane jeansy i bretoński sweter rybacki w pasy, dokładnie jak tego dnia, kiedy razem wypłynęliśmy na morze, ale tylko ja wróciłem do domu. Klęka i mówi bardzo cicho:

– Ach, Henri, wciąż tkwisz między światami, między czasami, na rozstaju dróg.

Przefruwa przed nami gazeta. Widzę jeden z nagłówków.

„Dziewczynka z bombą w plecaku”

Pod spodem widnieje moje nazwisko.

Co to ma znaczyć?

Ibrahim leży nieruchomo. Z jego oczu płynie krew.

Mam ochotę powiedzieć ojcu: „Przepraszam, przepraszam, że nie znam właściwej drogi, ale brakuje mi odwagi i siły”.

Rzeczywistość pęka.

Przez szczelinę widzę kobiety i mężczyzn w niebieskich strojach, pochylają się nade mną. Za nimi stoi chłopiec, który mi się przygląda.

Miałem to, miałem, ale okazało się zbyt duże, żeby to utrzymać.

„Między światami”.

Szpital.

Dziewczynka w rzece i ta kobieta.
Do niej. Do niej, zawsze do niej.
Żeby jej coś powiedzieć, coś bardzo, bardzo ważnego.
Ten świat gaśnie.
Spadam w ciszy, spadam i...

DZIEŃ 27

SAM

– Co tam oglądasz, *mon ami*? Balet? – pyta Scott.

Nie zdążyłem zamknąć YouTube'a, dlatego wyłączam ekran smartfona.

– Być może – kłamię.

– Być może? A może oglądasz to, co mój ojciec zawsze wyłącza, kiedy matka puka do drzwi jego gabinetu?

– Nie mam pojęcia, co wyłącza twój ojciec.

– *Mon ami*, nie chcesz tego wiedzieć.

Głos Scotta robi się jasnożółty. Nie pasuje do jego wyglądu. Dzisiaj Scott stylizuje się na łobuza, nosi pasek nabity ćwiekami. Jeszcze wczoraj udawał kujona.

Scott kładzie się na krótko przystrzyżonej trawie za boiskiem do hokeja i wyciąga paczkę lucky strike'ów. To jego stały trick, żeby wkurzyć ojca: palenie. W zeszłym miesiącu chciał trenować pływanie synchroniczne, a wcześniej nauczył się robić na drutach i szydełkować. Ojciec go nienawidzi.

Zapala papierosa i zaciąga się, ale szybko wypuszcza dym. Potem kładzie się z powrotem na trawie i pali wolniej. Próbuje puszczać kółka. Dobrze wiem, że zaraz zrobi mu się niedobrze, choć się do tego nie przyzna.

– Wybierasz się dziś wieczorem do Forbidden Planet, *mon ami*? Spotykamy się na specjalnym sobotnim zebraniu.

Kręcę głową.

Scott wypuszcza nieudaną kulę dymu.

– Wracasz na oddział warzyw?

– Mhm.

Przez pierwsze cztery tygodnie nie tylko wagarowałem, ale też opuszczałem spotkania klubu Mensy, żeby móc chodzić do szpitala Wellingtona.

– Twoja mama nadal się niczego nie domyśla?

Wzruszam ramionami.

– A co to za filmik?

– Pomyślałem, że możesz oznajmić swojemu ojcu, że zostaniesz nowym Billym Elliotem. Ale założysz baletową spódniczkę?

– Z moimi płucami palacza? *Mon ami*, nikt nie zechce oglądać uwędzonego łabędzia.

Nie mówię Scottowi, że oglądałem filmik, na którym tańczy dziewczyna, która nie zamykając oczu, może oglądać wszystkie światy, a nie tylko nasz.

Na nagraniu tańczy, tańczy, śmieje się, wygłupia, jest śliczną i najwspanialszą dziewczyną pod słońcem. Potrafi wytańczyć całą historię i swoim ciałem opowiedzieć wszystko. Jej oczy i ruchy odmalowują w powietrzu uczucia,

lasy i śmiechy. Kiedy na zbliżeniu widać jej niebieskie oczy, ona zdaje się na mnie patrzeć. Jaśnieją jak morskie fale rozświetlone słońcem. Oczy jak jasny lipcowy dzień.

Na YouTube znalazłem też wywiad z nią. Oglądałem go chyba sto razy, a w mojej klatce piersiowej coś się rozrastało, a potem kurczyło.

– Hej, *mon ami*! Co ty na to?

Nawet nie usłyszałem, że Scott coś do mnie mówi.

– Może przyjdiesz chociaż do Kistera Jonesa? – powtarza. – Chce dziś zorganizować spotkanie w swoim domu. Zaprosi kilkoro znajomych. Joanne, Dave’a... Przeczyta kilka fragmentów najnowszej, jeszcze nieopublikowanej powieści *Linokoczek*.

W odpowiedzi pokazuję Scottowi filmik na video.

– Niezła – mówi po chwili. – A więc to ona.

Przygląda mi się. W kąciку ust ma papierosa i teatralnie unosi brew.

– A co sobie wyobrażałeś? Że możesz tak po prostu nie przyjść? Co się dzieje, że nawet w czasie lekcji literatury oglądasz filmiki z baletem? Kim ona jest, kiedy znowu się zobaczycie i czym sobie zasłużyłem na to, że mi jej nie przedstawiłeś? Boisz się, że natychmiast zakocha się w mądrali?

Opowiadam mu wszystko o Maddie. No, prawie wszystko.

Nie mówię mu, co robię po wyjściu z jej sali.

Odwracam się bardzo szybko, żeby ją przyłapać na tym, jak jej spojrzenie się jednak wyostrza, skupia i jak potajemnie uśmiecha się za moimi plecami.

Ale nie jestem dość szybki.

– Valentiner, zauważyłeś to? – pyta Scott po chwili.

– Co?

– Że masz w życiu dużo szczęścia.

– Szczęścia? To nazywasz szczęściem?

– Tak, głupku. Właśnie tak. Posłuchaj mnie. Najprawdopodobniej życie, które prowadzisz, jest pełniejsze niż życie wszystkich innych. Może nie jest łatwe i wygodne i nie chodzi w nim tylko o to, żeby się najeść, wyspać i naładować telefon. To prawdziwe życie, pełne przeżyć. Kiedy człowiek ma szansę pokazać, kim jest, jeśli nie w sytuacji kryzysowej? – Przymyka oczy i zniża głos. – Mój Boże, ależ ja umiem genialnie nawijać. – Uśmiecha się krzywo i wiem, że ma rację. W całej rozciągłości. Wiem też, że z nas dwóch to on jest ten wspanialszy, bardziej uzdolniony i utalentowany, inteligentny i odważny. – Wyglądasz, jakbyś zamierzał mnie objąć albo zrobić coś równie obrzydliwego. Ostrzegam, nie zniosę tego – mówi oschle.

Przytakuję, ale mam ochotę odparować: „Objąć? Możesz pomarzyć?”. Zamiast tego jednak opowiadam mu o Realitycrash i o tym, że musi poznać Poppy.

Szkolny zegar bije po raz pierwszy.

Wstajemy i przyglądamy się sobie. Już wcześniej prowadziliśmy takie rozmowy. Ale tym razem to coś innego.

My.

Wydaje się, że od chwili kiedy usiedliśmy na nagrzanym słońcem trawie za boiskiem do hokeja, coś się na zawsze zmieniło. Jakby stało się coś, przez co przestaliśmy być dziećmi, jakbyśmy po raz pierwszy zdali sobie sprawę ze swojego potencjału.

– Któregoś dnia, *mon ami*, spojrzymy wstecz i zadamy sobie pytanie, co się stało z tamtymi chłopakami – mówi Scott. – Obiecujemy sobie coś. Jeśli jeden z nas stanie się dupkiem, który utknie w malutkiej klatce beznadziejnego życia, ten drugi go wyciągnie. Okej? Uratuj mnie, jak zrobię się taki jak mój ojciec. Albo jeśli ożenię się z niewłaściwą kobietą. Albo kiedy przestanę być mądrą.

Przytakuję.

– Nie, żadnego obejmowania.

Klepię go po ramieniu. I tak się obejmujemy.

Scott daje mi na koniec nowe usprawiedliwienia, które opatrzył sfałszowanym podpisem mojej matki. Biegnę do głównego budynku, zostawiam usprawiedliwienie w przegródce dla sekretarki i wychodzę.

Trzy kwadransy później jadę na piąte piętro szpitala. Kiedy mijam pokój pielęgniarek, słyszę, jak kobieta, której nigdy jeszcze nie widziałem, wymawia imię Madelyn. Staję i udaję, że wiążę sznurówki.

– Każda psychogenna zapaść, taka jak u Madelyn, to rodzaj protestu. Chodzi o to, żeby znaleźć taki kanał zmysłowy, na którym ona chce nadawać. Jest łatwiej, kiedy ktoś ją kocha. Kochanie i bycie kochanym to najsilniejszy bodziec, obok lęku i nienawiści. – Bóg patrzy na kobietę i odwraca się, jakby wyczuł moją obecność. Wydaje mi się, że on jest synestetykiem. – Valentiner – mówi. – Pozwól, że przedstawię ci Angelę. Prowadzi... terapię przez empatię.

Angela wygląda na bardzo sympatyczną. Nawet jeśli Bóg najchętniej by ją wyrzucił. Co tydzień do Madelyn pielgrzymują lekarze i lekarki z całego kraju, a czasem nawet z Ameryki i Francji.

Maddie uznawana jest za „fascynujący przypadek”, bowiem jej uszkodzenie mózgu niekoniecznie uzasadnia stan wegetatywny. Tak go nazywają. A niektórzy mówią też: stan minimalnej świadomości. Bóg objaśnił mi różnice między nimi na diagramie. Wokół pola „świadomości” są miejsca, które znajdują się wyraźnie pod powierzchnią życia, jakby między człowiekiem i otaczającym go światem była szyba albo nieprzenikalna folia. Wszystko słyszy i czuje, ale nic nie rozumie i nie potrafi się też wyrazić.

Potem doktor Saul wyciął wszystkie koła i położył je jedno na drugim. Maddie jest „zamroczone” i jednocześnie „w śpiączce”, choć to pozornie niemożliwe. Wznosi się i opada między szybami, choć nie dotyka ani „snu”, ani

„braku świadomości”. Jej otwarte oczy świadczą o tym, że jakaś jej część jest „tutaj”, ale inna część gdzie indziej. A między nią i mną nie znajduje się szyba ani folia, tylko warstwa lodu i samotności.

Siostra Marion twierdzi, że woli oglądać mnie niż „koniferuszy” – ma na myśli koryfeuszy – którzy wciąż się kręcą wokół Maddie, żeby sobie obejrzeć ten „niezwykły przypadek” i wyrwać ją z jej „stanu”.

Marion jest przekonana, że kiedy ci eksperci nazywają to, co stało się Maddie, „stanem”, to są nic niewarci.

– Sam, kochanie, kiedy lekarzom się wydaje, że ich nikt nie słyszy, mówią o ludziach jak o samochodach. Ale Maddie nie potrzebuje jakichś cholernie przemądrzałych koniferuszy, którzy chcą tylko opublikować kolejny nadęty artykułik ze swoim zdjęciem w „Journal of High Brain Medicine”. – Pokazuje mi książkę, w której jest wzmianka o Maddie. – Maddie potrzebuje rzeczy sprawiających jej radość. Cennych drobiazków, które zbliżają osoby w śpiączce do „świadomości”.

Niestety nie ma już nikogo, kto mógłby powiedzieć, co lubi Maddie. Serial *Kochane kłopoty*? A może *Dziennik cwaniaczka*? Woli Taylor Swift czy Bartóka? Woli czytać czy rysować? Morze czy góry? Koty czy psy? Spaghetti czy sushi? Gaduły czy milczków?

Siostra Marion nazywa oddział opieki nad pacjentami w śpiączce „najniższym poziomem nieba”.

Tam siedzą teraz Bóg i terapeutka empatii. Opowiada coś o „zegarze ciała” i „cyklu dziennym”, a Bóg po chwili jej przerywa i mówi do mnie:

– Nie możesz teraz iść do Maddie. Najpierw musi się z nią zobaczyć Angela.

– A mogę wziąć jej zeszyt? – pytam.

Doktor Saul mi go podaje.

Siostra Marion prowadzi rejestr wszystkich, którzy „leżą na najniższym poziomie nieba”. Pokazała mi ich księgi, które spisuje razem z opiekunami i lekarzami. Notuje tam ich preferencje kulinarne, hobby, codzienne rytuały, ulubione słowa. Zeszyt zaczynają prowadzić opiekunowie pacjenta na intensywnej terapii. Potem taki rejestr przybywa tutaj.

W zeszyt Maddie jest niewiele informacji. Jej dawna nauczycielka tańca, pani Parker, mało wiedziała o swojej uczennicy. Nie dlatego, że się nią nie interesowała. Po prostu koncentrowała się tylko na tym, co istotne. Poza tym podeszły wiek sprawił, że jej pamięć szwankowała.

Maddie nie lubi:

– Mozarta.

Maddie lubi:

– rosyjskich kompozytorów,

– wszystko, co niebieskie i w kropki,

– zapach pustej sceny, kiedy jeszcze nie włączono reflektorów (wiem to od pani Parker).

A także:

– Jane Austen.

Prawdopodobnie.

Po wypadku w plecaku Maddie znaleziono książkę *Duma i uprzedzenie*. Czytam ją, czekając, aż terapeutka od empatii sobie pójdzie, i nie za bardzo rozumiem, o co w niej chodzi. Ale podejrzewam, że na końcu wszyscy się pobiorą.

Na jej stronie tytułowej widnieje ekslibris. Została wypożyczona z biblioteki w Oksfordzie, w rodzinnym mieście Maddie. Termin zwrotu już minął.

Nagle robi mi się bardzo gorąco.

Może powinienem ją oddać. A wtedy bibliotekarka opowie mi więcej o Maddie!

Ale nie mam pojęcia, jak się dostać do Oksfordu. Pociągiem? Tak, pociągiem. Ale jak zniknąć na cały dzień, żeby mama się o tym nie dowiedziała?

Wkurzam się, że mam dopiero trzynaście lat. Trzynastolatek to nikt.

Zabieram książkę.

Potem kartkuję dalej rejestr Madelyn.

Siostra Marion, Liz, lekarze – wszyscy codziennie coś do niego wpisują. Na temat testów, które na niej przeprowadzają. Piszą o świecie. O pogodzie. Bo przecież żaden Brytyjczyk nie czułby, że naprawdę żyje, bez krótkiej codziennej debaty na temat sytuacji meteorologicznej.

Można znaleźć tam takie informacje jak „Kate Middleton ma alergię na końską sierść” albo „Donald Trump chce zostać prezydentem”. Piszą o dźwiękach na oddziale, o kancie łóżka, o rytmie respiratora. Wszystko w nadziei na to, że pewnego dnia uda im się pomóc Maddie zrozumieć, co się działo, kiedy jej tu nie było.

Wyciągam długopis z plecaka i pod aktualną datą piszę:

„Samuel Noam Valentiner (13) znów tu był”.

Nic więcej nie przychodzi mi do głowy i nagle uświadamiam sobie, że kiedy ona pewnego dnia to przeczyta, zapyta mnie: „Co to miało znaczyć, że znów tu byłeś?”. Oryginalniejsze teksty można znaleźć na ścianie w ubikacji.

Więc próbuję coś jeszcze wymyślić.

„W starożytnym Egipcie często zdarzało się tak, że kiedy zdychał kot, jego właściciel golił sobie brwi. Koty grzebano razem ze z mumifikowanymi myszami. Nie wiadomo, czy one też miały zgolone brwi”.

Dobra, to już lepsze. A teraz jeszcze kilka słów o niej.

„Ty zazwyczaj masz otwarte oczy. Czasem zamknięte, ale nikt nie wie, czy śpisz czy nie. Jesteś w miejscu, w którym nikt nie może cię znaleźć. Gdybyś się nie obudziła, przez resztę życia goliłbym sobie brwi”.

Chciałem napisać „gdybyś umarła”, ale nie zrobiłem tego, bo nigdy nie wiadomo, czy wszechświat akurat nie podsłuchuje i czegoś źle nie zrozumie. Kiedy stawiam kropkę, serce bije mi mocno.

Słyszę głos Scotta: „Całe życie to bardzo długo, *mon ami*. To jakaś twoja nowa polityka gospodarcza? Obiecować zupełnie nieznanym dziewczynie, że dla niej się oszpecisz?”.

Kobieta od czytania emocji nie chce odejść.

Z cichą rezygnacją opuszczam oddział na piątym piętrze i schodzę na drugie, do mojego ojca.

Może jest tam Eddie? Przynosi mi książki i jak mnie nie ma, to mi je zostawia. Czasem przychodzi w obcisłym skórzanym kombinezonie, a niekiedy w wieczorowej sukience. Kilka dni temu widziałem ją w internecie na zdjęciu z Wilderem Glassem, słynnym pisarzem.

Trzymali się za ręce na czerwonym dywanie. On miał na sobie smoking, a ona sukienkę, w której po południu była w szpitalu i umyła stopy mojemu ojcu.

Teraz tata jest sam. Respirator oddycha za niego, a jego twarz jest nieruchoma. Skinieniem głowy witam się z pielęgniarzem, który co piętnaście minut sprawdza stan taty. To Rosjanin, ma na imię Dmitri. Kiedy zmienia ojcu ubranie, wygląda tak, jakby podnosił go bez wysiłku. To Dmitri wyjaśnił mi, jak działają wszystkie urządzenia, które ustawiono wokół łóżka taty. Otaczają go stojaki na kroplówki, urządzenia rejestrujące funkcje życiowe i inne maszyny. Wygląda to nieomal tak, jakby się nim żywiły. Dmitri opowiedział mi też o lekarzach. Niektórzy zajmują się tylko kontrolowaniem głębokości sztucznie utrzymywanej śpiączki. To anestezjolodzy. Mówi o nich „gazownicy”. Innych, odpowiedzialnych za sikanie, krew i całą resztę, Dmitri nazywa oczywiście „hydraulikami”. Jeszcze inni, na przykład Bóg, doktor Foss i kilku innych, obserwują mózg. Są też tacy, którzy czuwają nad krwiobiegiem.

Nie pytam, kto troszczy się o uczucia. Znam odpowiedź.

Nikt.

Nikt nie troszczy się to, czy dopadnie go strach, czy poczuje przyływ siły albo zrobi mu się smutno.

Próbuję nie myśleć o tym, czego w międzyczasie dowiedziałem się o śpiączce. Niektórzy mają szczęście i mogą prosto z oddziału warzyw jechać na rehabilitację. Siedem procent, a więc siedmiu pacjentów na stu albo siedem dziesiątych pacjenta na dziesięciu.

Piętnaście procent nadaje się tylko do głębokiego zamrożenia, czyli trafia na patologię.

Reszta pozostaje w śpiączce.

Mówiąc dokładniej: czterdzieści tysięcy ludzi w Anglii. Rocznie.

Ci, którzy się budzą, przypominają sobie to, co im w międzyczasie

opowiedziano.

– *Salut*, tato – mówię.

Od kiedy się dowiedziałem, że pochodzi z Bretanii, a zatem oboje moi rodzice to Francuzi, próbuję trochę rzadziej opuszczać lekcje francuskiego. W plecaku szukam książki, którą chcę mu poczytać. Przysuwam sobie krzesło na kółkach, nachylam się do jego ucha i szepczę, żeby nie łamał mi się głos:

– *Salut*. Jest czternasty czerwca dwa tysiące piętnastego roku. To ja, Sam. Twój syn. Mam trzynaście lat. Prawie czternaście. A ty nazywałeś się Henri M. Skinner. M jak Malo i Skinner jak... nie wiem kto. Niewiele o tobie wiem. Kiedyś nazywałeś się Le Goff. Masz czterdzieści pięć lat i jesteś korespondentem wojennym. Byłeś. Aż do moich narodzin. Prawie cztery tygodnie temu miałeś wypadek. Od dwunastu dni leżysz w sypialni i przeszedłeś zawał. Leżysz w szpitalu Wellingtona, dość drogo. Na ordynatora tego oddziału mówią Bóg. Zrobiło się ciepło, dziewczyny wplatają we włosy czerwone piórka. Scott przechodzi właśnie drugą fazę buntu. Nie rzucił palenia. Wciąż chce studiować psychologię. Odwiedziłem Eddie w wydawnictwie. Dzisiaj ci poczytam. *Pieśń lodu i ognia*. Część pierwsza.

Tata jest daleko, tak daleko. Widzę czarny ból, który go otacza. Otula go jak rzadka mgła. Ale i tak mówię dalej:

– Na pewno wkrótce przyjdzie czas na herbatkę. Dostaniesz coś pysznego przez sondę dożołądkową, najprawdopodobniej kanapki z ogórkiem zmiksowane z elektrolitami i odrobiną mleka. Ja zjem kanapki ze szkoły. No tak, znowu wagaruję. Jeśli ci się to nie podoba, to proponuję, żebyś się obudził i sam mi to powiedział.

Spoglądam na ojca. Czy jest w nim inne napięcie? Jest wyczerpany i trochę... nieostry. Tak.

– No dobra, jak chcesz. Mama widzi to inaczej. Ma na imię Mariefrance. Jest fotografką i kiedyś się ze sobą przespaliście. Ale coś się stało. Nie zostaliście razem. Wydaje mi się, że nie było cię już, kiedy się urodziłem. Tuż przed tym, jak poszedłem do szkoły, powiedziała mi, że Steve nie jest moim ojcem. On jest w porządku. Jest posadzkarczem i pracuje w markecie budowlanym. No dobra, może jednak ci poczytam. Chcesz?

Potem otwieram książkę i zaczynam czytać na głos.

DZIEŃ 30

HENRI

Spadam i uderzam o twarde i zimne podłoże. Wokół leżą niedopałki świec.

Mariefrance zepchnęła mnie z łóżka polowego. Obejmowałem ją nagą ramieniem, a kiedy przez sen się odwróciła, spadłem na ziemię.

Przed oczami stoją mi wciąż senne obrazy zamachu, moje serce galopuje. Psychika korespondenta wojennego to stale przegrzana i doraźnie reperowana maszyna.

Patrzę na Mariefrance. Nie uwodziliśmy się, tylko rzuciliśmy się na siebie, by zaspokoić głód życia.

Muszę się wybrać do tego lekarza, o którym mówił mi Gregory. Dotąd się wahałem, ale od dawna nie przespałem całej nocy. W ciągu dnia dopadają mnie wspomnienia, tak nieostre i rozproszone, że nie wiem, czy to przeszłość, czy iluzja. Wydaje mi się, że zasypiam tylko na chwilę, jakbym stale unosił się pod powierzchnią świadomości i gubił się w półmroku niewyraźnych myśli i obrazów.

Mariefrance nie patrzy mi w oczy, kiedy później podaję jej gorącą kawę w blaszanym kubku.

Lecimy do Wau, a potem do Kairu i Paryża. Nad Morzem Śródziemnym Mariefrance zasypia mi na ramieniu, kiedy się budzi, trochę się wstydzi i przez resztę lotu wygląda przez zaparowane okno.

Kiedy stoimy naprzeciwko siebie na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, pytam ją:

– Chcesz się jeszcze ze mną zobaczyć?

Mariefrance wzrusza ramionami. Są wąskie i szczupłe, ale potrafią wiele udźwignąć. Wszystko, tylko nie to, że zajrzałem jej w duszę.

– Niekoniecznie – odpowiada powoli.

Milczę, a ona mówi, wyraźnie bez namysłu:

– *Bon.*

I schyla się po swoją zieloną torbę ze sprzętem fotograficznym. Potem całuje mnie, nie dotykając mojego policzka. Z prawej, potem z lewej strony.

Posyła mi ostatnie, badawcze spojrzenie. Czuję, że nie upierając się, uraziłem jej próżność, ale widzę też, że ona sama się sobie dziwi. Również temu, że nie próbuje mnie przy sobie zatrzymać.

Iść?

Zostać?

Przy trzecim cmoknięciu mówię, nachylony w stronę policzka Mariefrance:

– Dziękuję.

I już kiedy to mówię, jest mi lżej, że ona tak naprawdę nie chce, żebym został i nie muszę kłamać.

– Naprawdę mi się wydaje, że tak będzie lepiej – dodaje Mariefrance.

Kręci głową, jakby dziwiła się sama sobie.

Odchodzę od pasa transmisyjnego, przy którym ona stoi i w zamyśleniu przesuwam dłoń po brzuchu. Za plecami słyszę jej wołanie:

– Henri! – Odwracam się. – Henri, zdarza ci się czasem pomyśleć: „Już to kiedyś przeżyłem? Już kiedyś stałem w tym miejscu, dokładnie tutaj?”.

– Tak – odpowiadam.

– Teraz też?

– Nie – kłamię.

Mam nieodparte wrażenie, że już kiedyś tu byłem.

Ona znowu wzrusza ramionami i odchodzi.

Wracam do Londynu. Mój redaktor naczelny, Gregory, chce, żebym udzielił wywiadu dla „Time Atlantic” jako jeden z dwunastu reporterów. Mamy reprezentować wszystkich korespondentów wojennych na świecie. Znam pozostałych jedenastu dziennikarzy, wszyscy przestrzegamy prawideł naszego zawodu. Jesteśmy posłańcami, którzy przynoszą grobowe wieści.

Musisz pozostać bezstronny i obserwować.

Nie wolno ci nikogo ratować.

Musisz się na czas wymiksować.

Udzielamy wywiadów po kolei, przez dwa dni, w hotelu Claridge’s, w specjalnie do tego celu wynajętym apartamencie, co wydawało mi się jednocześnie fascynujące i odrażające. Przed oczami stały mi cały czas szczupłe dłonie Akola, ściskające gorącą lufę karabinu.

Dziennikarz „Time” prosi każdego z nas, byśmy coś o sobie opowiedzieli. Sia z „Washington Post” nazywa mnie „człowiekiem, który niczego się nie boi”.

Gdyby tylko wiedziała, że podróżuję tak dużo, bo uciekam od siebie, bo nie chciałem się przeżyć i dlatego nie umiem nic innego jak tylko być wobec siebie bezwzględny. Gdyby to o mnie wiedziała, jak by mnie nazwała? Człowiekiem, który nie żyje?

Następnego dnia w Kabulu na ulicy wybucha bomba. Zdetonowała ją siedmiolatka.

Greg natychmiast mnie tam wysyła.

Próbuję ustalić, co się stało. Poznaje przy tym chai-boya, Ibrahima, sierotę, który szukał swojej siostry tamtego popołudnia, kiedy doszło do wybuchu.

Ma dwanaście lat, a jego młodszą siostrę uprowadzono. Talibowie obiecali jej, że posła ją do szkoły, ale zamiast tego dziewczynka zginęła, zabierając ze sobą dwadzieścia cztery osoby. Bombę ukryto w jej plecaku Hello Kitty.

Chłopak nie ma krótko obciętych włosów jak inni studiujący Koran. Jego ciemne, dłuższe włosy mają jasny, rudobrazowy odcień, widać je pod fioletową, haftowaną czapczką. Jego oczy to dwa jasnozielone koraliki w wyczerpanej,

a jednak pięknej twarzy. Chłopiec chwyta mnie za rękę.

Ibrahim chce mi pokazać wszystko, dosłownie wszystko. Chce zdradzić talibów, zemścić się. Nic nie jest dla niego ważniejsze niż siostra: ani religia, ani strach, ani pieniądze. Służy w domu często odwiedzanym przez przywódców talibów.

Łamię pierwszą regułę, której powinien trzymać się dziennikarz wojenny. Nie jestem bezstronny. Chcę uratować Ibrahima. Jeśli będzie działał w pojedynkę, umrze.

Zostaję kilka tygodni w Kabulu. Greg przysłała mi okładkę „Time Atlantic” z moim zdjęciem. Od Mariefrance dostaję pozytywny wynik testu ciążowego z apteki. „Chcę tego dziecka, ale nie chcę ciebie”, napisała. Kiedy ją poprosiłem, żeby pozwoliła mi je odwiedzać, odpisała: „Kiedy dziecko się urodzi, nie jedź już na wojnę, błagam. Nie chcę, żeby ono się bało”.

Nie odpowiada, czy zgadza się, żebym odwiedzał nasze dziecko. To ten moment, kiedy powinienem się wymiksować z tego biznesu. Mam prawie trzydzieści dwa lata.

Dotrzymuję obietnicy i już więcej nie przesyłam korespondencji wojennych. Ale i tak Mariefrance pozwala mi tylko raz zobaczyć dziecko, tuż po jego narodzinach. Przysłała mi zdjęcie, na którym ono śpi, zaciskając piąstki.

To chłopiec. Dała mu na imię Samuel Noam.

„Wybłagany u Boga, Radość, Siła”.

Odpisuję, że nie znam lepszego imienia dla chłopca.

Mariefrance nie przysłała mi więcej zdjęć. Co miesiąc przekazuję jej czeki, których ona nie inkasuje. Najpierw co miesiąc, a potem co pół roku proszę, żeby pozwoliła mi przyjechać do Paryża. Nie zgadza się.

Zachowuje się tak, jakby miała mi za złe, że na lotnisku nie zapytałem jej, czy mogę zostać.

Historia siostry Ibrahima to pierwszy napisany przeze mnie szkic, który nie jest doniesieniem wojennym. Od tej pory zamierzam pisać tylko o ludzkich losach.

Aktorka, która resztę życia chce spędzić, mieszkając na drzewie. Osiemnastolatek, który nie decyduje się na przeszczep serca, bo chce znaleźć się blisko Boga.

Podróżuję po świecie, słucham ludzi i stopniowo opuszcza mnie uczucie, że nie powinienem przegapić żadnej wojny.

Z mojej inicjatywy Gregory zajmuje się sprowadzeniem Ibrahima do Londynu. Greg i jego żona Monica zajmują się chłopcem i po kilku latach ubiegają się o jego adopcję.

Pewnego dnia dowiaduję się od koleżanki po fachu, że Mariefrance przez kilka lat romansowała ze swoim redaktorem naczelnym. Miał na imię Claude. Nie rozwiódł się dla niej.

Sam ma cztery lata, kiedy Mariefrance przenosi się do Londynu.

Nadal nie pozwala mi się z nim kontaktować. Greg i Monica twierdzą, że mógłbym ją zaskarżyć. Ale czy ludzie powinni w taki sposób się traktować? Obrzucać się oskarżeniami? Przespałem się z nią, kiedy była zagubiona i przerażona. Nie mam zamiaru włączyć się po sądach.

A może próbuję sobie wszystko ułatwić?

A może powinienem ją błagać do skutku?

Odczuwam tępy ból, że mój syn mieszka w tym samym mieście, a ja nawet nie wiem, jak wygląda. Widzę go w twarzach tysięcy chłopców.

Kiedy udaje mi się zasnąć, śnię o morzach, które nie znają lądu. O ciemnych i długich wagonach metra, które po mnie przejeżdżają. I o wojnach.

– Pańska bezsenność, panie Skinner, to objaw głębokiej traumy i zbyt wielu ciężkich doświadczeń. Zagubił się pan, bo pańska głowa pęka w szwach.

Z przyzwyczajenia wciąż chodzę do naszego zakładowego lekarza, doktora Christesena. Obok Grega, Moniki i Ibrahima to w moim życiu jedyny stały punkt odniesienia. Lekarz przepisuje mi leki, ale najchętniej wypisałby mi receptę na nowe życie.

Ibrahim ma już szesnaście lat, prawie siedemnaście. Rudobrzązowe włosy i zielone oczy sprawiają, że wygląda bardziej jak Irlandczyk niż uchodźca z Afganistanu.

Mówi mi, że ojciec to najważniejsza osoba w życiu mężczyzny. Mnie nazywa „małym ojcem”, a na Grega mówi „drugi ojciec”.

– Mały ojcie, powinieneś mieć w życiu kogoś ważnego.

– Ty jesteś dla mnie ważny, Ibrahimie. Mam ciebie.

– Nie jestem twoją rodziną.

Wciąż ma swoją fioletową czapeczkę z Kabulu, kiedy był chai-boyem. Leży gdzieś w szafie. Monica ją schowała, bo to rzecz z dawnych czasów, z innego życia.

Gdyby można odrzucić życie tak łatwo jak czapeczkę.

Ibrahim dopiero po trzech latach od naszego pierwszego spotkania odważył się zapytać o mojego ojca.

Było tak, jakbyśmy ćwiczyli jego przemówienie na koniec roku. Zawsze na zakończenie roku szkolnego najlepsi uczniowie wygłaszali przemówienia w szkolnej kaplicy.

Powiedziałem mu, jak bardzo jestem z niego dumny, niebywale dumny. Kiedy wczesne londyńskie lato prześlizgiwało się po szybach taksówki, gdy mijaliśmy opromienione słońcem fasady domów, zapytał mnie, czy mój ojciec też mi powiedział coś takiego. Że jest ze mnie dumny.

– Tak, Ibrahimie, kiedy byłem bardzo mały.

– A potem?

– Potem mówił mi to mój dziadek Malo.

Ibrahim wyczuwa, że nie powinien dalej drążyć, ale jest zaintrygowany i nie chce dać za wygraną.

– Ale jak to możliwe, że twój ojciec...

– Bo kiedy byłem w twoim wieku, Ibrahimie, już nie żył.

Młody Afgańczyk w milczeniu spuścił głowę.

– Wybacz mi!

Mam ochotę mu powiedzieć, że nie mogę udzielić mu wybaczenia, ale milczę. Tylko jednej osobie opowiedziałem, że to ja jestem winny śmierci ojca. Tylko Malo wie, co się stało tam, na morzu, na bretońskim wybrzeżu, kiedy miałem trzynaście lat. Czemu sam wróciłem do domu i nie przyprowadziłem ze sobą jedyne go syna Papy Malo, czyli mojego ojca.

Kiedy Malo na mnie patrzył, w jego spojrzeniu odraza mieszała się ze współczuciem, smutek z przerażeniem.

Nie wiem, jak dziadek dał radę mnie pocieszać. Mnie, właśnie mnie.

Nie bez powodu nienawidzę morza, Bretanii i siebie samego.

DZIEŃ 31

EDDIE

Minęło czternaście dni, od kiedy podpisałam dokumenty. Od kiedy powiedziałam: „Tak, chcę tego”.

Przywykłam do tego, że przed każdą wizytą u Henriego idę do małej kaplicy szpitalnej. Nie dlatego, że nagle stałam się religijna. Po prostu kaplica w piwnicy, oddalona o trzy piętra od oddziału patologii i prosektorium, to najrzadziej odwiedzane miejsce w tym szpitalnym labiryncie.

Siedzę na podłodze i nakładam na siebie odwagę jak makijaż. Pieczołowicie oddzielam od siebie sprzeczne, walczące ze sobą i stojące sobie na drodze uczucia, aż zostają tylko trzy najważniejsze. Koncentruję się, żeby je podtrzymać i tłumię wszystkie inne emocje, by się do nich nie zbliżyły. Rozczulanie się nad sobą? Zwątpienie? Rezygnacja? Won, znikajcie! Myślę o Henrim z taką czułością, na jaką tylko potrafię się zdobyć i odsuwam od siebie wyrzuty sumienia z powodu Wildera, który nie wie, co tak naprawdę robię za każdym razem, kiedy mu mówię, że idę na spotkanie z nową autorką.

Oddycham głęboko i myślę: czułość.

Oddycham jeszcze głębiej i zaklinam: odwaga.

Oddycham i błagam: chcę być jak Sam.

Sam reaguje na Henriego spontanicznie. Rozmawia z nim i go słucha. Tymczasem mnie z ogromnym trudem przychodzi stłumienie niemilkącego głosu rozsądku. W przeciwieństwie do Sama nie widzę Henriego. Nie słyszę go. Jakbym próbowała się skomunikować z ciałem, z którego zniknęła osobowość. Przecież nie mogę się zdradzić ze swoimi wątpliwościami, bo nie ma nic równie toksycznego jak rezygnacja krewnych.

Zamykam oczy i zbieram wszystkie siły.

Odwagę.

Czułość.

Chcę być jak Sam.

Słyszeć. Widzieć. Czuć. A wątpić, do cholery!?

Tak trudno mi nie wątpić.

Nieprzytomny od trzydziestu jeden dni.

Głęboka narkoza przez piętnaście dni, potem śmierć kliniczna. Osiem minut wieczności. Potem szesnaście dni w śpiączce.

Upływający czas oddala ode mnie Henriego, a ja tracę nadzieję, kiedy z niepokojem studiuję statystyki. Im dłużej trwa śpiączka, tym mniejsze są szanse, że pacjent będzie podobny do tego, kim kiedyś był.

Lekarze energicznie badają stan świadomości Henriego, zapuszczają echosondę w głąb jego duszy, żeby nasłuchiwać w ciemnej wodzie, która nas od

niego oddziela. Używają tomografów i innych urządzeń pomiarowych. Stukają w jego kolano i łokieć, świecą lampką prosto w oczy, badają węch i słuch, zmieniają oświetlenie, temperaturę, przewracają go na drugi bok. Nie dają mu ani chwili spokoju.

Ale dusza i tak nie daje o sobie znać.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że tak właśnie jest, kiedy siedzi się w latarni morskiej. Człowiek boi się nie w czasie sztormu, ale kiedy morze tak dziwnie milczy.

Kolejnym progiem nadziei jest granica trzech miesięcy. Jeśli jego ukrywająca się dusza będzie nadal milczeć, wtedy zacznie się prawdziwa walka. Wyjaśnił mi to doktor Saul, on nic sobie nie robi z tego ogromu strachu.

– Pani Tomlin, wejdzie pani w konflikt z kasą chorych i zobaczy pani pozbawioną empatii strefę ubezpieczeń społecznych. Po dwóch latach nie będą już chcieli płacić i będą panią próbowali przekonać, że powinna pani spieniężyć cały majątek. Kiedy się pani nie zgodzi, rozmaici specjaliści przedstawią swoje życzliwe ekspertyzy i z zadęciem poradzą pani, że powinna pani pozwolić swojemu przyjacielowi w spokoju odejść. A więc zagłodzić go na śmierć albo odciąć mu dopływ tlenu. Jeśli wykaże pani choćby cień zainteresowania tym rozwiązaniem, od razu podsuną pani umowę o wykorzystanie organów, oczywiście na wypadek, gdyby wydarzyła się tragedia, na którą tak czekają. Pani przez to wszystko nie będzie już mogła spać i w bezsenne noce przeczyta pani w internecie wszystko, co pani znajdzie o podobnych przypadkach.

I tak już to robiłam, w dzień i w nocy.

Doktor Saul mówi dalej:

– Będzie nas pani krytykowała, z wyrzutem stała nam na drodze i nie bez racji zlorzeczyła na katastrofalną w skutkach, beznadziejną opiekę lekarską. No i na braki kadrowe. Tak! Nie bez racji, nie bez racji! Wreszcie w gniewie zacznie pani szukać odpowiedzi i pomocy z zewnątrz. Kiedy potem co tydzień będzie mi pani przedstawiać nowego specjalistę albo specjalistkę, którzy są nowymi genialnymi hipnotyzerami, to uszanuję to. Tylko proszę nie zbliżać się do łóżka z otwartym ogniem.

Nawet w tej kwestii ma rację. Wkurza mnie to.

Chciałabym się spotkać ze specjalistką od czytania ciała. To neurołożka, która zajmuje się terapią bólu i medycyną alternatywną.

Jeśli śpiączka to symptom, to jaka jest jej przyczyna?

Wyobrażam sobie, że jeśli znajdę przyczynę jego ucieczki, uratuję go.

Gdzieś przeczytałam, że to też jest normalne. Dryfowanie od nadziei do nadziei, nawet leczenie na odległość przez terapię empatią, bezustanne poszukiwanie drogi i wypieranie myśli, że może żadna droga nie istnieje.

To prawda, wciąż wiem za mało.

Każdego dnia uczę się, jak żyć z mężczyzną w śpiączce.

Tak bardzo tęsknię za jego dotykiem.

Tak bardzo się boję, że zrobię coś nie tak.

– Opieka nad nim nie wymaga wyższych studiów. Ma pani dwie nogi, dwie ręce i odważne serce. Więc ma pani wszystko, co się liczy – mówi do mnie doktor Foss.

– Niech pani zastąpi słowo „wizyta” określeniem „umówione spotkanie” – radzi mi natomiast siostra Marion. – Wizyta to obowiązek. Natomiast umówione spotkanie to przyjemność. Niech pani spróbuje nie patrzeć na niego jak na osobę wymagającą opieki, tylko jak na mężczyznę, z którym umówiła się pani na niekonwencjonalną randkę.

To od niej uczę się, jak używać nóg, rąk i serca. I dobrze gospodarować rozpaczą.

– Niech pani nie wypłacze wszystkich łez w jedną noc. Będzie pani tak często zrozpaczona, że będzie pani miała ochotę płakać, ale pani oczy będą puste. Najgorsza jest pustka i niemożność wyrażenia bólu, kiedy zużyło się całą rozpacz.

Jest siostrą położoną na oddziale na piątym piętrze, gdzie leżą pacjenci wymagający szczególnej opieki, choć już nie intensywnej terapii. W weekendy ma nocny dyżur na piętrze, które niektórzy lekarze nazywają „oddziałem warzyw”.

– Nocą moi wędrowcy wracają częściej niż za dnia.

Co do tego siostra Marion jest przekonana. Wędrowni. Tak nazywa śpiączkę. Wędrowni duszy.

Marion uczy mnie, jak pielęgnować skórę Henriego, która robi się coraz wrażliwsza. Cienka skóra nie jest w tym przypadku metaforą.

Pokazuje mi, jak zwilżać mu usta.

Pragnienie jest najbardziej nieznośne, jak twierdzi Marion, która spędziła już tysiąc nocy z tysiącami uspiionych głęboko pacjentów z „syndromem przejścia”, uwięzionych między światami. Kiedy odzyskują mowę, opowiadają, że najgorsze było pragnienie. I hałasy.

Pokazała mi, jak zrobić „napój na patyku” z zamrożonej herbaty miętowej albo oranżady.

Uczę się mówić do Henriego po imieniu, bo jak twierdzi Marion, imię to najdłuższa lina holownicza. Potrafi wydobyć chorego z najgłębszej toni. Wyobrażam sobie, że rzucam mu drabinkę sznurową wykonaną z pięciu liter. W kaplicy szepczę:

– Henri.

Odwaga.

Czułość.

Być jak Sam.

I troszeczkę Chanel N°5. Odkręcam buteleczkę z balsamem do ciała

i wcieram go w szyję i przedramiona. Kaplica natychmiast wypełnia się zapachem jaśminu, cynamonu, ciasta maślanego, kwiatów i mojej skóry.

Zapach ma moc przyciągania dusz wędrujących po pustkowiu. Podobno zapachy docierają nawet do pacjentów w śpiączce. Wszystkie doznania zmysłowe muszą przejść przez wzgórze w międzymózgowiu, to brama do „ja”. Tam są procesowane. Jeśli ta część mózgu jest uszkodzona, pacjenci w śpiączce nie słyszą nas i nie wyczuwają naszej obecności. Ale zapachy wędrują na skróty, wprost do układu limbicznego. Tam łączą się z uczuciami. Zapachy to początek wspomnień. A wspomnienia to tożsamość.

Dlatego przynoszę Henriemu zapachy. To, co jedliśmy i pili. Rzeczy z przeszłości. Stare gazety. Wilgotny piasek. Rozmaryn. Świeże naleśniki. Kiedyś sprzed szpitala przyniosłam grudkę ziemi, wilgotną od deszczu i pachnącą latem. Często zmieniam mu pościel. Codziennie szukam w pamięci tego, co lubił.

Dziś przynoszę mu zapach, który miałam na sobie, kiedy ze sobą sypialiśmy. Ogrzewał moje ciało. To zapach kobiety, życia i nas.

Przygotowałam się na najgorsze. Ale i tak jestem wstrząśnięta tym, jak mizernie wygląda Henri, kiedy podchodzę do jego łóżka. Dziesięciodniowe zapalenie płuc dało mu się we znaki. Gorączka wreszcie spadła, ale miniona noc musiała być dla niego ciężka. Widzę, że do portu naczyniowego na jego obojczyku podpięto więcej woreczków z elektrolitami.

Doktor Foss jak zawsze wykonuje test reakcji. Wita mnie skinieniem głowy, a z jego twarzy wyczytuję, że nie jest zadowolony. Cisza na morzu. Żadnych meldunków o nadpływających statkach.

Fossy notuje to w kartotece Henriego.

Sam stoi pod ścianą i nieśmiało się uśmiecha. Pakuje rzeczy, jego wykradziona godzina dobiega końca. Wyciągam z torby powieść. Co trzy, cztery dni przynoszę mu nową książkę. Tym razem wzięłam *Czas żniw*.

– Zostawię ją tutaj, u taty – szepcze i mówi to tak, jakby Henriemu w środku nocy mogła przyjść ochota, żeby sobie poczytać. Zazdroszczę Samowi tego podejścia.

Nie patrząc na mnie, pyta cicho:

– Gdybym cię poprosił, żebyśmy pojechali do Oksfordu, zapytałabyś mnie po co?

– Spróbuj.

Tym razem nie odwraca wzroku.

– Pojechałabyś ze mną do Oksfordu?

Odpowiadam skinieniem.

Wyraźnie mu ulżyło, że nie zapytałam po co.

Dostrzegam w nim coraz więcej cech Henriego. On też nie lubił się otwierać przed ludźmi. On też żył skrycie. Bardzo chciałabym poznać matkę Sama, ale

wiem, że jest na to za wcześnie, o wiele za wcześnie.

– Mogę jeszcze zostać? – pyta Sam.

Znowu odpowiadam skinieniem.

Dziś Henri leży na boku i ma odsłonięte plecy.

„Plecy. Postawa odzwierciedla nasze mniemanie o sobie. Kto pochyla plecy, zapada się pod ciężarem siebie samego, nie mogąc znieść własnych błędów widocznych dla innych. Strach i gniew usztywniają człowieka od karku do krzyża”.

Tego dowiedziałam się dzięki korespondencji ze specjalistką od czytania ciała. Nie wiem, czego się po niej spodziewać.

– Cześć, Henri – mówię i jednocześnie powoli się zbliżam, rozgrzewam dłonie, pocierając je o siebie i chuchając na nie, a potem kładę je między jego łopatki. Pod palcami wyczuwam mięśnie i puls.

Przyspiesza pod moim dotykiem.

– Jestem przy tobie, Henri – szepczę.

Potem koncentruję się na tym, żeby oddychać w tym samym rytmie co on. Czy raczej w rytmie wyznaczanym przez respirator. Osiem wdechów i osiem wydechów na minutę. Zamykam oczy, oddycham i mam nadzieję, że choć trochę mojej odwagi, czułości i ciepła przenika do Henriego.

Potem chwytam go za rękę, głaskam ją, palce też, po bokach, gdzie skóra jest tak wrażliwa na dotyk.

– Jestem przy tobie – szepczę, myśląc: Odwagi, do cholery, odwagi!

Czekam, aż doktor Foss sobie pójdzie, potem nachylam się nad Henrim i powtarzam rytuał wyobraźni. Jak co dzień. Co dzień, co dzień, co dzień.

Kładę na stoliku iPod'a z prostokątnym, bezprzewodowym głośnikiem i wybieram listę utworów, które na pewno lubi Henri.

Na przykład tango, przy którym uczyłam go kroku i właściwej postawy. *Sólo por hoy* Carlosa Libedinskiego.

Tylko dzisiaj.

Wtedy obcinałam krótko włosy i nie nosiłam sukienek. Co noc tańczyłam tango z setką mężczyzn.

Tylko dzisiaj. I tak każdego dnia.

Skończyłam z tym, kiedy pojawił się Henri.

Dźwięki wypełniają przestrzeń i otulają nas. Nieomal dotykam ustami jego ucha, a mój oddech je ogrzewa, kiedy mówię:

– Cześć, Henri. Nazywam się Edwinna Tomlin. Eddie. Kiedyś razem tańczyliśmy. Razem spędziliśmy przepiękne dwa i pół roku. Przyszłam, bo sobie tego życzyłeś. Ja też tego chcę. Jestem przy tobie. Ty nazywałeś się Henri Malo Skinner. Zapadłeś w śpiączkę, a ja cię błagam, żebyś się obudził.

Czuję zapach Chanel unoszący się z dekoltu mojej bluzki.

– Jestem przy tobie – szepczę znowu.

Tango otacza nas kręgiem.

Mam ochotę milczeć. Jak dawniej. Kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy i przemilczeliśmy razem całą noc i cały ranek.

Tylko na siebie patrzyliśmy. Delikatnie dotykani spojrzeniami i gestami. Pierwszej nocy zetknęły się tylko nasze dłonie.

Potem on odszedł.

I wrócił.

Henri jest jak tango. Bliskość, dystans. Pasja, czułość. Zaufanie, obcość. Nie zostaje, ale przychodzi coraz częściej. Wiedziałam to wtedy i właśnie to przypomina mi dziś moja nadzieja:

On tylko dzisiaj jest w śpiączce. Tylko dzisiaj.

Nie słyszy nas i nie rozumie. Tak twierdzą doktor Saul i doktor Foss, a dowodzą tego wszystkie te cholerne skany mózgu. Chcę go pieścić, jego twarz, ramiona, brzuch, całe ciało, żeby dotykiem przekazać mu, że nie jest sam. To najmocniejszy język, jaki znam. Palcami próbuję wyczuć, czy Henri ukrywa się w tej dziwnej, żywej lalce, która nosi jego imię.

Dotykam go, ale jego twarz pozostaje woskowa, a usta nieme. Jego palce nie zaciskają się na mojej dłoni.

Jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Nigdy jeszcze brak definitywnej odpowiedzi nie napawał mnie takim optymizmem. Póki nic nie jest pewne, nic też nie jest stracone.

Kolejny utwór. *Assassin's Tango* Johna Powella.

Do tej melodii też tańczyliśmy. Przy niej się kochaliśmy. Czasem uprawialiśmy seks w tańcu. Niekiedy przy tej melodii, stojąc na dachu, chwytałyśmy się za ręce i milczeliśmy. Z żadnym innym mężczyzną nie rozmawiałam tak mało jak z Henrim. A jednocześnie z żadnym nie czułam się tak silnie związana.

Moje palce powoli przesuwają się ku dołowi pleców, na nogi i stopy. Wyczuwam jego puls, ciepło, delikatnie napięte mięśnie.

Biegnie, leci? Tańczy, nurkuje? Kocha?

– Zatańcz ze mną – szepczę.

Gdzie jesteś? Henri, Henri, Henri... gdzie jesteś?

Sam spogląda to na mnie, to na Henriego. Nigdy wcześniej nie widział tego, co robię każdego dnia.

Codziennie.

Ostrożnie myję jego stopy i wcieram w nie ciepły olejek. Jestem jak służąca, pokorna Maria Magdalena. Myjąc go, wypowiadam na głos jego imię. Tańczę z nim. Poruszam jego nogami, ramionami i dłońmi. Mam nadzieję, że któregoś dnia on zdoła wstać. Choćby po to, żeby ode mnie odejść. Muszę się z tym liczyć. On nigdy nie zostaje, to nie leży w jego naturze.

Koncentruję się na tym, by rozluźnić jego udęczone ciało. Po kilku minutach zwykle zakłopotanie gdzieś się ulatnia. Moja ręka na jego piersi, na niej jego dłoń, zamknięte oczy, jak dawniej zjednoczeni w tańcu. Wydaje mi się, że nigdy nie żyłam tak intensywnie jak teraz. Z każdym dotknięciem ciała Henriego czuję, jak moje życie się rozszerza. Cierpię, kocham, walczę. Wszystko, co piękne, staje się piękniejsze niż kiedykolwiek. Wszystko, co błahe, oddala się.

Czuję się tak, jakbym wreszcie znalazła się we właściwym miejscu.

DZIEŃ 33

HENRI

Przyjechałem do Londynu tylko na kilka dni, żeby zobaczyć się z Ibrahimem, Gregiem i Monicą. Nigdy nie wytrzymuję tu zbyt długo. Znowu wyruszam w podróż. Bo jedynie w strefie tranzytowej na lotnisku, w hotelach w pobliżu dworca i w portowych pensjonatach mogę zasnąć. Śpię tylko tam, gdzie stale słychać kroki odchodzących i powracających ludzi.

I nic poza tym.

Kiedy nie śpię, dopada mnie niewysłowiony strach przed śmiercią.

Wtedy koi mnie wspomnienie Mariefrance, kiedy poczęliśmy Sama. Poczęcie. Dwoje rozbitków stworzyło nowe życie. Czasem tworzenie jest tak niefrasobliwe i beztroskie. Jak kiedy na piasku zakwita róża, z samotności rodzi się miłość, a ze śmierci życie.

Gdy muszę spędzić więcej niż trzy dni w Londynie albo innym dużym mieście, wtedy odpędzam czarne myśli, spacerując i pijąc. Niekiedy jadę na lotnisko, żeby pooglądać płynący strumień ludzi. Widzę, jak ludzkie losy się splatają, stykają i rozdzielają.

Potem całymi godzinami spaceruję ulicami przez obce i znajome, brudne i ciemne ulice i zaglądam przez okna do rozświetlonych wnętrz. Patrzę na toczące się tam życie, podczas gdy moje się zatrzymało w chwili, kiedy jako chłopiec wróciłem sam do domu w niebieskiej łódce. Zostawiłem ojca.

Na zawsze wstrzymałem oddech.

Utknąłem między światami.

Między brakiem końca i brakiem początku.

W czasie jednej z tych niestrudzonych nocy mój niepokój zagnał mnie do betonowej ruiny pośrodku East Endu, między Hackney i Columbia Road. Na zewnątrz wciąż trzydzieści stopni, w środku chłodno, letnia jaskinia, cienie w kątach i za filarami głębokie i ciemne jak morska toń. Światło sączy się tylko z latarni, świec i pochodni.

Pod brudnymi ścianami stoją stare drewniane krzesła z powyginanymi nogami i powgniatanymi oparciami, między nimi rozmieszczono kanapy i fotele, jakby ukradzione z opuszczonego hotelu. Na odwróconych drewnianych skrzynkach na owoce leżą deski, stare szkolne tablice i drzwi, które tworzą blaty stolików. Na nich stoją butelki, szklanki i popielniczki. Para rękawiczek wygląda jak złożone, zapomniane i wydrążone w środku dłonie. Na każdym stoliku stoją też kryształowe wazony z czerwonymi różami. Kobiety siedzą na kanapach albo opierają się o filary, zachowują wobec siebie dystans, każda sama. Mężczyźni czają się w półmroku, oni też są solistami. Nietoperze przefruwają pod sklepieniem niedokończonej hali, tak samo nieuchwytnie jak pytające spojrzenia mężczyzn

i kobiet.

Pośrodku dłuższej ściany przed ceglany murem stoją dwaj muzycy grający na bandoneonach. Trzeci mężczyzna trzyma kontrabas, a czwarty skrzypce. Obok na zamkniętym futerale leży gitara. Ich białe koszule jaśnieją w świetle ognia.

Tam, w tym miejscu gdzie każdy jest sam, choć początkowo tego nie zauważam, bardzo powoli czas znowu zaczyna oddychać.

Dwaj akordeoniści spoglądają na siebie. Jeden ma czarne, lśniące włosy i wąską białą koszulę, a przez cienki materiał widać ciemną skórę jego muskularnych ramion. Drugi ma wąsik i patrzy na tego pierwszego tak, jakby chciał się w nim zanurzyć. Biję od nich intensywna, erotyczna, niespotykane gniewna męskość. Basista i skrzypek mają zamknięte oczy. Ich zaangażowanie ma w sobie erotyzm samozatrącenia.

Pierwszy grający na bandoneonie wybija takt stopą.

Drugi podchwytuje rytm. Basista i skrzypek im wtórują, nie otwierając oczu.

Przepelnia ich muzyka.

Uzależnienie od pierwszego usłyszenia.

Z cienia wychodzi mężczyzna w garniturze i wkracza w krąg światła bijącego od ognia. On też ma zamknięte oczy, jego ramiona obejmują niewidzialną kobietę. Tańczy sam, ale nie jest samotny.

Kobiety podnoszą się z kanap, odrywają się od filarów i ścian. Mężczyźni się ożywiają, jakby krążyli w klatce albo spacerowali pod gołym niebem. Nawet nie wiem, kiedy pierwsza para się odnajduje, mimochodem przywiera do siebie, tańczy i po chwili się rozłącza.

W ich tańcu widzę mój własny niepokój z ostatnich lat, ja też biegłem od jednej wojny do drugiej, od człowieka do człowieka, żeby w końcu i tak wrócić do samotności.

Jak ten mężczyzna, który wciąż tańczy sam z zamkniętymi oczami, jakby tylko w ten sposób mógł zobaczyć kobietę, którą obejmuje, otaczam ramionami pustkę i nie wiem, kto się w niej kryje.

Pary wirują bez słowa na betonowej podłodze, nie wykonują wymyślnych figur. Potykają się, wpadają na siebie, dalej wirują. W ich groźnych spojrzeniach czai się nadzieja. Podejdz o krok, a cię dopadnę. Z trudem panują nad żądzą pulsującą pod skórą.

Z ciemności niczym z oceanu nocy wyłania się kobieta. Nie znam jej.

A widziałem ją już tysiąc razy.

Nie wiem, kim jest.

Ale przez wieczność wołałem jej imię.

Tańczy. Z jednym, potem z drugim.

Najpierw nie widzę, jak to robi. Chwyta mijanych mężczyzn? Czy jej ręka mówi: „Weź mnie”? Czy jej ciało wysyła tajemne sygnały, które można odebrać

tylko z bliska?

Po chwili widzę, jak to robi.

To oczy.

Nie pytają.

Nie proszą.

Mówią tylko: „Chodź!”.

I mężczyźni są im posłuszni.

Dopiero kiedy opiera się o faceta, zamyka oczy.

Jej ciało jest smukłe, bez krągłości. Jak ciało chłopca albo wojowniczkę, której urody większość nie zauważa w pierwszym momencie. W jej tańcu widzę swoje odbicie. Jej ruchy wyrażają mój niepokój, strach, jakby nie chciała żyć, jednocześnie walcząc o przetrwanie. W jej tańcu mienią się wszystkie barwy mojego życia, szarość, biel, wypłowiałe kolory i głęboka czerń.

Tańczy.

Przyglądam jej się całymi godzinami. W snach żyję po tysiącokroć.

Jej taniec to port. A ja jestem tonącym statkiem.

Co może mnie spotkać u jej boku? U boku kobiety, której zupełnie nie znam.

Patrząc na nią, widzę, jak nasza córka staje na jej stopach i chwytą ją za ręce, żeby mama nauczyła ją tańczyć walca.

Widzę ją, jak pokazuję jej Ty Kerk, otwieram niebieskie drzwi, a wraz z nimi wszystko, co kiedyś zamknąłem.

Weźmie w posiadanie pomieszczenia, a jej jasne oczy wygonią wszystkie cienie.

Widzę nieznajomą, kiedy całuję jej delikatny, ale mocny kark.

Widzę ją w białej sukience w osiemsetletniej kaplicy nad morzem. Przenika mnie dreszcz, bo czuję, że czas ma tutaj inny ciężar.

Istnieją miejsca, w których czas się rozrzedza, a przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zbliżają się do siebie, wyczuwamy tam umarłych i słyszymy echo przyszłości.

Nagle nieznajoma mnie zauważa, a jej oczy o nic mnie nie pytają ani nie proszą. Mówią po prostu: „Chodź!”.

Odpowiadam skinieniem.

Po wielu godzinach podchodzi do mnie, jej oczy są jasnoniebieskie, przejrzyste, jasne i głębokie – jak wody Iroise rozświetlane słońcem. Nosi w sobie morze, które w jednej chwili przestaje nienawidzić.

Chcę do domu.

Zostaw mnie.

Ona nic nie mówi. Nie dotyka mnie.

Podchodzi bardzo blisko, widzę, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada. Stoi tak blisko, że jej usta i nos nieomal dotykają mojego obojczyka. Wyczuwam

jej ciepło. Wyczuwam, że oddzielające nas powietrze ogrzewa się od ciepła jej roztańczonego ciała.

Spogląda na mnie, nabieram powietrza do płuc, jakbym po raz pierwszy oddychał, i wydaje mi się, że czas nareszcie wrócił na właściwy tor.

Nocą leżymy obok siebie na białym, świeżym prześcieradle, na niskim, szerokim łóżku w jej mieszkaniu w starym składzie tulipanów na East Endzie. Moja roztańczona wojowniczką mieszka w lofcie tuż pod ogrodem na dachu, gdzie ciepły nocny wiatr porusza srebrzystymi źdźbłami traw, bugenwille zwracają swoje kwiaty ku gwiazdom, a podwyższone grządki wyglądają jak bretońska łąka w lipcu.

W świetle wielu świec patrzymy na siebie, bez słowa, badamy się nawzajem spojrzeniami. Ta sama tęsknota za bliskością. Nie sposób przetrzymać pomostu, bo w bliskości pojawia się strach. Tęsknota za dystansem. Dzielimy się tym, co wspólne, ale nie chcemy stać się jednością. Łączy nas niezaspokojona tęsknota.

W pewnym momencie ona zamyka oczy, uśmiecha się i kładzie rękę między nami.

Ja kładę na niej moją dłoń.

Tej nocy śpię spokojnie, w najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

DZIEŃ 34

HENRI

Budzę się, kiedy samolot z Vancouver ląduje na Heathrow, pięć minut przed czasem. Moja dłoń zdrętwiała, ale i tak mnie swędzi. Silniki brzmiały, jakby dyszały, kiedy podjeżdżamy do rękawa. Strasznie chce mi się pić, ale nie widzę stewardesy.

Londyn spowija wiosenna mgła, która oddziela od siebie dwa światy. W jednym nocni wędrowcy niespokojnym krokiem przemierzają mrok. Kiedyś byłem jednym z nich. W drugim trzeba wcześnie wstać, żeby iść do pracy. Równoległe rzeczywistości. Spotykają się w metrze, w autobusach, w parujących rankiem piekarniach, tam się mijają, nie wiedząc nic o sobie nawzajem.

Nocni wędrowcy boją się nad tym, że znowu minął kolejny dzień ich życia i wciągają go za sobą w ciemność, żeby nie stracić wątku. Ranne ptaszki nie chcą przegapić czekającego na nich dnia.

Wiem, gdzie Eddie chowa klucz do swojego mieszkania, otwierający także windę towarową i drzwi do wydawnictwa. W pustej przestrzeni za połówką cegły na podwórzu, w lewym policzku Królika Bugsa namalowanego przez grafficiarza.

Za każdym razem boję się, że klucz tam na mnie nie czeka. W ten sposób Eddie dałaby mi jasno do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziany.

Sam nie wiem, czemu tak się tego boję. Eddie by czegoś takiego nie zrobiła. Nie w taki sposób. Powiedziała by mi to prosto w oczy! Nie znam drugiej tak godnej zaufania i szczerzej osoby. Znam wielu ludzi, ale ona się wyróżnia na ich tle. Nie zna słów „być może”.

Tak to tak. A nie to nie. Nie ma dyskusji, to decyzje absolutne i niepodlegające negocjacji. Może dlatego tak się boję. Gdyby Edwina Tomlin powiedziała mi kiedyś „nie”, nie mógłbym już wrócić do jej życia.

Od kiedy ją poznałem, ukrywam coś przed nią.

Sama.

Nie mówię jej o moim synu.

Ibrahim ją poznał, zawieźliśmy go kiedyś z Gregiem i Monicą na lotnisko. Teraz studiuje prawo w Waszyngtonie, specjalizuje się w obronie praw człowieka.

Kilka minut po siódmej taksówka zatrzymuje się na Columbia Road. Eddie jeszcze śpi?

Czasem czyta manuskrypty do trzeciej, a nawet czwartej nad ranem.

Idę na podwórze, ostrożnie wyciągam cegłę z muru i wsuwam dłoń do otworu.

Gdzie jest klucz?

Ogarnia mnie panika, ale po chwili go znajduję.

Otwieram drzwi, przechodzę cicho przez wydawnictwo, wychodzę krętymi schodami na górę, siadam w sypialni, na końcu wielkiej przestrzeni loftu, pod

ścianą na podłodze. Śpiąca Eddie wygląda tak młodo, jak rozkwitająca nastolatka. Ma lekko wydęte usta, jakby przed chwilą z kimś rozmawiała.

Siedzę i przyglądam się jej. Uspokajam się. Tylko przy Eddie mogę zostać i nie chcę uciekać.

Wybacz, myślę. Jak mam ci wyjaśnić, jak do tego doszło? Skąd wziął się Sam i dlaczego nie wolno mi się z nim widywać. Jak mam ci to powiedzieć prosto w oczy, nie narażając cię na przykre rozczarowanie?

Im dłużej milczę, tym większe będzie jej oburzenie.

Wiem o tym.

Budzi się. Jej ciało ożywa jak dom po zimie, a wraz z latem pojawiają się w nim śmiech, pożądanie i zapachy.

Czujne oczy. Jej spojrzenie kusi: „Chodź!”.

Rozbieram się przed nią, a kiedy na mnie patrzy, jej ciało zaprasza mnie jak letni kurort. Nie wiem, jak Eddie to robi, ale czuję się piękny, kiedy wyczuwam na sobie jej spojrzenie.

Istnieję, bo ona na mnie patrzy.

– Nie spiesz się – szepcze. – Nie chcę niczego przegapić.

Rozpinam koszulę i pasek, zdejmuję spodnie. Nie noszę skarpetek, jak mój ojciec.

Przy Eddie myślę o nim inaczej.

Właściwie tylko przy niej mogę o nim myśleć. Dopiero teraz, po czterdziestce, uświadamiam sobie, co po nim odziedziczyłem.

Kształt palców. Mam takie palce jak on.

Chcę chodzić boso. Wyczuwać świat stopami, a nie bezmyślnie po nim łązić.

Kładę się obok Eddie. Pachnie naleśnikami, cukrem, solą i wolnością, jak dojrzały, soczysty owoc, morela i jakiś kwiat, może jaśmin. Jest całym światem.

Otulam jej twarz dłońmi, obejmuję palcami. Uśmiecha się i nie zamyka oczu, kiedy bardzo powoli smakuję ciepło jej łona, a potem stapiamy się ze sobą. Znikają granice.

Najdroższa, myślę. Najdroższa, najdroższa Eddie, bez ciebie nie potrafię oddychać.

Podczas naszego pierwszego lata kochaliśmy się często na szczycie świata. Tak nazywałem czarodziejski ogród Eddie nad dachami Londynu. Którejś nocy, kiedy pomimo gęstego smogu gwiazdy swobodnie oddychały, opowiedziała mi, czemu posiała tę trawę. Położyła głowę w zgięciu mojego łokcia, leżeliśmy na podwyższonej grządce, nad nami przefruwały nietoperze. Na niebie błękitny księżyc, druga pełnia w tym miesiącu.

– Jako mała dziewczynka marzyłam o tym, żeby trawa za naszym domem była tak wysoka, że zmieściłby się w niej jednorożec. O świcie wychodziłby z mroku, zapach wiódłby go pod okna mojego pokoju, gdzie czekałby na mnie.

Spojrzelibyśmy na siebie i w jednej chwili on przesłałby mi swoje myśli: „U ciebie jestem bezpieczny, wiem o tym”. A potem położyłby się w trawie i spuścił łeb. Nareszcie mógłby odpocząć. Byłby bezpieczny. Nikt by go nie uwięził, nie bił ani nie torturował. To, co cudowne, zawsze jest niszczone. To, co wyjątkowe, u większości ludzi budzi strach.

Głaszczę ją po głowie. Tak dobrze znam jej kształt. Idealnie dopasowuje się do zagłębienia mojego ramienia. Jej skóra stapia się w jedno z moją skórą. Moje dłonie, moje palce, moje usta, moja pierś, moje uda i biodra, całe moje ciało zna dotyk Eddie.

– Ojciec regularnie ścinał trawę kosą, a potem kosiarką elektryczną. Jak miałam pięć lat, pewnego razu próbowałam go powstrzymać i stanęłam mu na drodze.

Wzrusza mnie obraz dziewczynki stojącej przed wirującymi, stalowymi ostrzami, żeby uratować jednorożca.

– Kiedy zapytał czemu, opowiedziałam mu o jednorożcu. Wtedy przestał kosić trawę. Nigdy więcej tego nie zrobił. Kiedy mama zatrudniła ogrodnika, tata zapłacił mu, żeby zostawił trawę w spokoju. Matka całymi tygodniami się do nas nie odzywała, ale łąka pozostała nietknięta. Dla mnie. I dla jednorożca. – Umilkła na chwilę, a potem kontynuowała: – Jednorożec nigdy nie przyszedł. W końcu przestałam wierzyć w niewyjaśnione cuda i zajęłam się tylko tym, co możliwe do wyjaśnienia. Jednorożec umarł w chwili śmierci mojego ojca.

Uświadomiłem sobie, jak ogromna potrafi być miłość ojca. Tak właśnie kochał mnie mój tata, którego tak mi brakowało.

W tym samym momencie moje serce zamiera ze wstydu.

Sam.

Ktoś go kocha? Czy ktoś inny zastępuje mnie przy nim w roli ojca? Myślenie o tym doprowadza mnie do szaleństwa. Dręczą mnie wyrzuty sumienia. Leżę nieruchomo, wtulony w Eddie. Zauważyła coś?

Nigdy jej nie okłamałem. Nie jesteście sobie winni nic poza szczerością. Ale milczę.

– Jak miał na imię twój ojciec? – pytam ją, a mój głos się nie łamie, choć powinien.

Powinien się łamać, jak moje serce.

– Edward – odpowiada. – Na niego mówiono Ed, a na mnie Eddie. Byłam jego wierną kopia i czasem wydaje mi się, że razem z nim umarło moje drugie „ja”. Mądrzejsze. Pełne miłości.

Bierze moją dłoń i kładzie ją na swoim dobrym, kochanym, wielkim sercu. Czuję jego bicie.

Jak może być z kimś takim jak ja?

– Czasem mam ochotę do niego zadzwonić, żeby coś mu opowiedzieć. Czuję

wtedy bolesne ukłucie, jakbym próbowała poruszyć złamaną nogą jeszcze przed założeniem gipsu. Czasem zamykam oczy i próbuję go wysłuchać. Jego rady.

Odwraca się do mnie.

To tylko chwila. Ale ona w moich ramionach jest wszystkim, czego kiedykolwiek naprawdę potrzebowałem.

– A ty, nieznajomy? Ty też śniłeś kiedyś o swoim ojcu? – pyta Eddie bez ogródek.

To cała Eddie, pozbawiona wstydu i strachu przed bólem.

Mam ochotę skłamać i powiedzieć: „Nigdy. Błagam, nie drażmy tematu”.

Wypuszczam powietrze z płuc. Odpowiadam skinieniem. Wciąż jest we mnie potrzeba ucieczki i wystarczy najbardziej błahy powód, by dała o sobie znać z całą mocą.

– Tak. Czasem w moich snach ojciec nie wie, że umarł – wyznaję. – Nie mówię mu tego, cieszy mnie każda spędzona z nim chwila, rozmowa z nim i wspólna jazda samochodem.

I pływanie po morzu, naszej oazie wolności. Ale tego obrazu nie potrafię opisać.

Jak często powraca ten sen! Za każdym razem ojciec nie wie, że za chwilę uderzą w nas fale, a ja za każdym razem jestem zbyt powolny, nie zauważam ich dostatecznie wcześnie, nie trzymam go dostatecznie mocno.

Powiedziałem Eddie tylko, że utonął w czasie połowu. Nie przyznałem się, że stało się to w mojej obecności.

I że nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

To on zostawił mnie?

Czy ja jego?

Pierwsze lato zamieniło się w pierwszą jesień, zimę i wiosnę, minął pierwszy rok, zaczął się drugi, a potem nastąpiło ostatnie lato.

Eddie nigdy nie powiedziała „Zostań!” albo „Nie odchodź!”, dlatego ciągle wracałem. U niej spędzałem zazwyczaj pierwsze dni i noce, śpiąc jak zabity. Bo nigdy nie wystarczał mi sen w strefach tranzytowych, w poczekalniach, pociągach i autobusach, a i tak nie potrafiłem spać długo i głęboko.

Czasem wyobrażałem sobie, jak by to było, gdybym spędził z Eddie resztę życia. Zawsze bym się wysypiał.

Czy to była już miłość?

A może tylko wdzięczność?

Nie wierzyłem, że potrafię kochać. Moja miłość nie miała mocy. Ani odwagi.

Niekiedy już po powrocie z wywiadu w jakimś odległym kraju nie mówiłem Eddie, że jestem w Londynie. Nie zasługiwała na to, żebym traktował ją jak środek uspokajający. W tamte noce nie wracałem jak dawniej do domu, unikałem światła

i zupełnie pustych pokoi w moim mieszkaniu. Szedłem do niej dopiero wtedy, kiedy nie mogłem już znieść zmęczenia, a dni i kontury przedmiotów się rozmywały. Wciąż znajdowałem klucz w skrytce.

Ostatni dzień rozpoczął się łagodnym światłem słonecznym.

Był październik.

Widzę, jak Eddie wkłada palec wskazujący do garnka stojącego na gazie, żeby sprawdzić, czy mleko do jej kawy już się podgrzało. Zawsze tak robi, to już automatyczny gest, wykonuje go, kiedy mleko zaczyna się gotować.

Kiedy się odwraca, czym prędzej zamykam oczy. Nie wiem dlaczego, bo mógłbym całymi godzinami się jej przyglądać, obserwować gołe nogi pod koszulą, zmarszczone czoło i usta, kiedy chucha na mleko. Często na siebie patrzemy, stojąc na dwóch końcach pokoju, porozumiewamy się spojrzeniami, ale tym razem udaję, że jej nie obserwowałem.

Boję się.

Jej spojrzenia. I tego, co dzisiaj za nim stoi.

Dzisiaj.

Wyczuwam jej cień, kiedy wchodzi boso na białe prześcieradło, delikatny chłód jej cienia na mojej twarzy. Wyczuwam, że zbliżam się ślizgiem do newralgicznego punktu, jakbym zsuwał się po trawiastym zboczu. Dzisiaj ważą się moje losy.

Mam ochotę odkryć kołdrę i zaprosić ją, żeby się na mnie położyła, brzuchem na plecach. Żeby mi się w milczeniu przyjrzała.

Eddie nigdy nie milczy.

– Kocham cię – mówi. – Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

Otwieram oczy.

– A ja ciebie nie – odpowiadam.

Eddie patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym ją bez ostrzeżenia uderzył.

W tym samym momencie wiem, że skłamałem. Ale ze wstydu i zakłopotania wciąż uparcie milczę, zamiast natychmiast to odwołać. „Kocham cię, ale spanikowałem. Wybacz, mam swoje powody, może trywialne, ale...”

Chwila mija i widzę, jak w Eddie zamykają się drzwi, które otworzyła przede mną na oścież w wakacje trzy lata wcześniej. Życie, które właśnie mogło się zacząć, oddala się ode mnie jak odrąbany konar unoszony przez wartki nurt wody.

– Nie – błagam, próbując jakoś się z tego wywikłać, ale w jej głosie dudni ból.

– Wynoś się! Spieprzaj! Idź sobie! Idź! – krzyczy.

Głos więźnie mi w gardle, choć wiem, że właśnie złamałem serce Eddie, słyszę jego krzyk, choć ona, blada i opanowana, domaga się:

– Wynoś się, Henri! Spieprzaj!

Wstaję, ubieram się, ona na mnie nie patrzy. Czuję, że znikam, jest mnie coraz mniej, bo jej oczy już mnie nie widzą.

Ale nie daję rady niczego powiedzieć, nie mam siły, by zrobić kilka kroków i podejść do niej, tak blisko, by usłyszeć jej oddech. Ona nie płacze.

Na Boga, co ja narobiłem?

Biorę torbę i ruszam w stronę drzwi.

Co ja robię?

Odwracam się i patrzę w jej zimowe oczy i tak bardzo chcę, BŁAGAM, żeby coś powiedziała. „Zostań!” albo „Nie odchodź!”, albo „To było kłamstwo, prawda?”.

Bo przecież skłamałem.

Poznaję to po tym, że ból narasta i dopiero teraz uświadamiam sobie, co tak naprawdę czuję.

A więc to jest miłość?

Nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa.

Życie mija w milczeniu, jakbym sam przekreślał wszystkie możliwości. Odgrodziłem się od miłości, dzieci i nocy, które mógłbym przespać. Wtedy przestałbym się bać śmierci.

Tydzień później nie znajduję klucza w murze.

SAM

– Posłuchaj! – wykrzykuje Scott, kiedy przechodzimy przez most na stację Hammersmith.

Nie potrafi ukryć podekscytowania, bo jedziemy do Realitycrash, wydawnictwa Eddie. Próbuje zatuszować emocje, trzymając w palcach niezapalonego papierosa, zakładając ciemne okulary i strój francuskiego egzystencjalisty z lat siedemdziesiątych. Czarny golf, szare spodnie, wysoko postawiony kołnierz marynarki.

– Posłuchaj! – powtarza Scott. – Jesteśmy zupełnie nieprzygotowani na prawdziwe życie, *mon ami*. Tylko pomyśl: czynsz, ubezpieczenie, śmierć... Nie mamy o tym zielonego pojęcia. – Trzyma papierosa kciukiem i palcem wskazującym, jakby pisał nim w powietrzu. – Tymczasem każą nam zdawać egzaminy z geometrii wektorowej i aminokwasów. Tylko ciebie, mój mimowolny buntowniku, nie udaje im się zmusić do posłuszeństwa. Zamierzasz w ogóle podejść do egzaminów czy postanowiłeś dalej ignorować katastrofę czekającą na ciebie w najbliższej przyszłości?

Nie odpowiadam. Nie oblałem wszystkich egzaminów wstępnych do Saint Paul's. Tylko te mało ważne. Choć mama pewnie ma na ten temat inne zdanie. Wszystko mi jedno. Nie mogę siedzieć w szkole, kiedy mój ojciec walczy o życie. A Maddie być może tylko czeka na to, aż ktoś się nią zainteresuje.

– Zaczekaj – mówię cicho.

Stajemy na moście Hammersmith. Patrzą na miejsce, w którym mojego ojca przejechał samochód.

Niedaleko na kawałku kartonu siedzi mężczyzna w wyraźnie znoszonym smokingu, oparty o balustradę mostu. Zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. To żebrak z nagrania.

Ulica wygląda do bólu zwyczajnie.

Na całym świecie są tysiące takich kawałków asfaltu. Tysiące miejsc, gdzie coś się kończy. Życie, wiara, uczucie. Ale nikt nie patrzy na nie jak na cmentarze.

Mężczyzna w smokingu otworzył oczy i przygląda się nam z zaciekawieniem.

Scott staje obok mnie i opiera się o zieloną balustradę z kutego żelaza. Jest nagrzana od słońca.

Strach i ciepło w tym samym miejscu. To samo czuję na myśl o Maddie: przepełniają mnie ciepło i strach.

Spoglądam w dół.

Cholernie daleko do powierzchni wody.

Scott mówi dalej:

– *Mon ami*, zamiast nas uczyć, odwracają naszą uwagę. Wzory skróconego mnożenia, cykl kwasu cytrynowego, francuska gramatyka, rysowanie perspektywy, jajczkowanie, trójskok, epejroforeza, haplotyp, a wszystko tylko po to, żeby nikomu z nas nie przyszło do głowy pytanie: „A jak to jest, kiedy się umiera? Jak znaleźć mieszkanie? Albo odpowiednią kobietę? Jaki jest sens życia?”. Albo: „Skoczyłbyś, gdyby trzeba było? A skąd byś wiedział, że trzeba skoczyć?”. – Scott ściąga okulary i patrzy na mnie z poważną miną. – Wiesz, *mon ami*, że ukrywają przed nami to, co najważniejsze.

– Czyli co? – pytam.

– Jak być szczęśliwym.

Patrzę w słońce, mrużąc oczy. Dotykam balustrady. Wyczuwam, jak drży świat, wszędzie, w tej samej chwili. Patrzę na Tamizę, po której nie widać, że płynie w niej morska woda, z Atlantyku i Morza Północnego. Uświadamiam sobie, że po większości rzeczy i ludzi nie widać, z czego są zrobieni. Ze strachu, tęsknoty, smutku i pragnień. Z dziecinności albo delikatności.

Tego w szkole też nie uczą.

Jak to możliwe, że wszystkie te światy istnieją jednocześnie? Szkoła. Miasto. Mój tata w śpiączce. Most, z którego skoczył, żeby ratować dziewczynkę. Ulica, na której potrafiło go auto. Na całym świecie są miejsca, w których w biały dzień zniecka giną ludzie.

– Czy to вина tych miejsc? Że kiedy człowiek przez nieuwagę do nich trafi, nagle przenosi się bardzo daleko? Może któregoś dnia pod wpływem przemyśleń albo przeczytanych gdzieś słów wysiada się ze swojego życia jak z autobusu w czasie nieplanowanego postoju?

– Wow. Nie mam zielonego pojęcia – odpowiada Scott. – Ale miło, że w ogóle odpowiadasz. Może następnym razem twoje komentarze będą miały coś wspólnego z moimi pytaniami i egzystencjalnymi rozważaniami o sensie istnienia.

Obaj w milczeniu patrzymy na płynącą w dole rzekę.

Nie została mi żadna pamiątka po ojcu. Nie zostawił mi filizanki, zegarka ani wspomnień. Nie wiem, czego powinienem się trzymać.

To niesprawiedliwe, że mam trzynaście lat. Osiągam piąty i szósty etap życia: błąd i rozpacz. Skąd mam wiedzieć, jak należy postępować? I co jest ważne?

Już nie jestem dzieckiem. A jeszcze nie mężczyzną. Tkwię pomiędzy światami. Nie wiem, w której chwili dziewczyny przestały budzić mój lęk. A szczególnie jedna z nich. Nie wiem, czemu nagle zacząłem dbać o wygląd. Czemu się zastanawiam, co zrobić ze swoim życiem. Jestem pewien, że już nigdy nie pocałuję innej dziewczyny, nie myśląc o Maddie.

Zaciskam usta, wiem, że to wygląda idiotycznie, ale zawsze w ten sposób powstrzymuję się przed krzykiem.

Cierpienie. Radość. Bicie serca.

Szczęście, kiedy myśli się o dziewczynie. Tęsknię za nią, choć tak naprawdę nigdy jej nie poznałem.

Cierpienie, bo nie wiem, czy ona w ogóle zauważa moją obecność.

Słodycz w sercu, kiedy o niej myślę.

Wszystko jednocześnie.

– Nie – odpowiadam w końcu Scottowi, który pytał, czy nauczyciele, dorośli i cały świat ukrywają przed nami to, co najważniejsze: jak być szczęśliwym. – Nie, to nie tak. Ukrywają przed nami to, jak zauważyć, że jest się szczęśliwym.

Ja właśnie jestem. I nie jestem.

Strach i ciepło. Szczęście i rozpacz.

Weszliśmy na most z mnóstwem pytań. Schodzimy z niego jako zupełnie inni ludzie, stawiamy pierwsze kroki w stronę odpowiedzi i świadomości, że już nigdy nie będziemy wierzyć innym, tak jak czyniliśmy to jeszcze niedawno. Teraz musimy nauczyć się sami zdobywać wiedzę.

Godzinę później docieramy na East End.

Scott próbuje udawać, że Realitycrash nie robi na nim wrażenia.

Eddie na nas czekała, ale widzę po niej, jak bardzo jest spięta i zmęczona. Prowadzi nas przed regał, na którym stoją wszystkie książki wydawnictwa. Dopiero wtedy Scott pokazuje emocje.

– Ray Bradbury! – wrywa mu się jak rozradowanemu pięciolatkowi. – Isaac Asimov! Kurt Vonnegut! – wykrzykuje po chwili.

– Tak, kupiliśmy licencję na wydania kieszonkowe – wyjaśnia stojąca za nami Poppy.

Scott się odwraca, a ja jestem świadkiem osobliwej sceny. Wyczuwam, że serce Scotta w pierwszej chwili zamiera, niczym latawiec, który przedziurawiony spada na ziemię. I nagle mój przyjaciel się zmienia. Na zawsze. Widzi Poppy i już nigdy nie będzie patrzył na świat tak jak kiedyś. Zauważam to, choć nie wiem, czy to w ogóle istotne.

Andrea przynosi gorącą herbatę, herbatniki, kanapki z ogórkiem i przepysznie pachnące, ciepłe pierogi kornwalijskie z wołowiną, ziemniakami, warzywami, kiszonymi ogórkami i sosem.

Scott nie może jeść. Nikomu nie chce się jeść, kiedy właśnie został wewnętrznie rozłożony na części pierwsze.

Dowiadujemy się, jak się pisze notkę na obwolucie i jak się projektuje okładkę.

– Nad przodem i ostatnią stroną klócimy się bardziej niż o czterysta stron między nimi – wyjaśnia nam Poppy, a ja dostrzegam, jak Scott z zachwytem wpatruje się w jej pomalowane czarną szminką usta. – Większość czytelników wybiera książkę, bo podoba im się okładka albo to, co przeczytają na tyłowie.

– Czyli co? – pyta Scott.

– Tego nie wie nikt, młody człowieku – odpowiada oschle Rolph. – Nikt nie wie, czemu ludzie kupują książki, taka jest prawda.

Poppy pyta Scotta, co teraz czyta. Oczywiście robi na niej wrażenie, kiedy odpowiada:

– *Zamek Lorda Valentine'a* Silverberga.

Kiedy Poppy zadaje mi to samo pytanie, Scott wyrywa się pierwszy do odpowiedzi:

– Nie rozstaje się z Jane Austen.

Potem wyciąga z mojego plecaka powieść *Duma i uprzedzenie*, którą mam od Madelyn.

– Zostaw! – syczę.

– Och, wydanie bibliofilskie – zachwyca się Eddie. – Piękne. Mogę?

Trudno mi znieść, że ktoś inny dotyka tego, co kiedyś miała w ręku Madelyn, co stanowiło treść jej życia, przemyśleń i snów.

Ale Eddie i tak bardzo czule bierze książkę Madelyn, jakby to było małe zwierzątko. Otwiera ją i przez chwilę przegląda umieszczony na pierwszej stronie spis czytelników, którzy wypożyczyli tę pozycję. Widnieją tam ich nazwiska i daty. Patrzy na mnie.

– Madelyn Zeidler – szepcze. – Lodowa dziewczynka.

Patrzę na nią. Dlaczego nazywa Maddie lodową dziewczynką? Zgadza się, to prawda. Znieruchomiała pod przezroczystą jak szkło warstwą zamarzniętych wspomnień i stężonych nadziei.

Słyszę, jak pozostali rozmawiają o projektowaniu okładek i notkach na obwolucie.

– To dziewczyna z piątego piętra – mówi Eddie.

Przytakuję. W sercu czuję takie ciśnienie, jakby miało zaraz wywrócić się na drugą stronę, najchętniej wszystko bym opowiedział Eddie. Ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, by opisać to, co czuję, kiedy myślę o Maddie.

Jakbym był jedną wielką raną albo śmiechem, który tylko czeka, by go ktoś usłyszał. Budzi się we mnie dzika nadzieja na wspólne życie z nią i odrażający strach, że będę musiał poradzić sobie bez niej.

– Przepraszam – mamroczę pod nosem. – Muszę...

Kiedy wracam z ubikacji po tysiącu, a może pięciu tysiącach lat, Eddie stoi w kuchni. Wciąż trzyma książkę.

– Za trzy dni Maddie ma urodziny – mówię. – Nikt nie wie, co sprawiłoby jej największą przyjemność. Ale koniecznie trzeba się tego dowiedzieć. Tak jak w przypadku taty.

Patrzę na nią, ona odczekuje, kiwa głową i odpowiada:

– Wiem, co lubi twój tata, i mam nadzieję, że lubi to tak bardzo, że wróci.

– Nikt nie zna Maddie. Może poza...

– Bibliotekarką.

Wzruszam ramionami. Nagle wydaje mi się to takie dziwne.

– Może powinniśmy jechać do Oksfordu – proponuje Eddie. – Żeby oddać książkę.

– Może. W czasie ferii, kiedy...

– Nie, Sam. Nie miałam na myśli ferii. Tylko teraz. Jedźmy teraz do Oksfordu. Do tej biblioteki. Do biblioteki Madelyn. Dowiemy się, co ona lubi czytać.

Patrzę na nią i chyba otwieram szeroko usta, pewnie wyglądam jak krowa gapiąca się na spadające z nieba kotki i koniki morskie. Ale Eddie mówi śmiertelnie poważnie. Myślę o tym, że za trzy dni Maddie ma urodziny, że w jej księdze jest tak mało informacji i że przez nią moje serce chce się wciąż wywrócić na drugą stronę, wykrzyzczyć i wyśpiewać wszystko, co czuje, kiedy o niej myślę.

– Naprawdę teraz? – pytam.

Może to tylko żart? Bardzo bolesny żart.

Eddie kładzie dłonie na biodrach.

– Naprawdę – odpowiada. – Zróbmy to. Poszukajmy Maddie.

Kiedy to mówi, życie otwiera na oścież drzwi i wpuszcza do środka słońce.

– Jadę z Eddie do Oksfordu! – krzyczę do Scotta. – Spotkamy się wieczorem, dobra?

Scott zerka na Poppy, wzrusza ramionami i z nonszalancją mówi:

– Oczywiście. Ja wciąż jestem tutaj potrzebny.

Słońce wpada do środka przez wszystkie okna.

Dwadzieścia minut później Eddie wjeżdża na drogę prowadzącą do Oksfordu. Pogoda znowu zrobiła się typowo angielska. Mży.

– Twój ojciec nigdy nie był jak brytyjski wieczorny deszcz – mówi nagle Eddie. Spoglądam na nią. Jej dłonie na kierownicy są rozluźnione, ale ona koncentruje się na drodze. – Gdyby porównać go do jakiegoś zjawiska meteorologicznego, to byłby jak... sztorm na Atlantyku.

Czuję ciepło w brzuchu, a w mojej klatce piersiowej otwiera się głęboka, ziejąca przepaść. Więcej, błagam w myślach. Proszę, powiedz mi o nim więcej.

Eddie unosi w górę kącik ust.

– Na początku naszej znajomości niewiele rozmawialiśmy. Jakby słowa mogły wszystko zepsuć. Słowa są jak papier ścierny, tak długo szlifują każde uczucie, aż wreszcie znika. Po raz pierwszy zobaczyłam twojego ojca w wielkim, niedokończonym budynku. Do dziś tańczy się tam tango. Wtedy spędzałam tam prawie każdą noc. – Uśmiecha się i jej twarz pięknieje. – Kiedy zobaczyłam go, jak stał w półmroku, w jego spojrzeniu dostrzegłam samotność, tęsknotę i emocje, które otwarcie ku mnie skierował, wydawało mi się, że pokazuje mi wszystko, czym był i będzie. Patrzył na mnie tak, jakby właśnie zobaczył coś, co wstrząsnęło

jego życiem. Tym czymś byłam ja. – Kręci głową, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć, wpatruje się w drogę, nie patrzy na mnie, nawet raz, żeby nie zniszczyć delikatnej bańki, która ją otacza. – Byłam tak podekscytowana, jakbym stała na scenie. Zrobiło mi się niedobrze, jak w samolocie w trakcie lądowania. Oszołomiło mnie pragnienie, by znaleźć się blisko niego. Po prostu blisko. Przyjrzeć mu się i pozwolić, by on mi się przyjrzał. Choć tego chciałam, nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa. Nigdy nie byłam tak sparaliżowana ze szczęścia i strachu. – Wyprzedza autobus jadący z lotniska Heathrow do Oksfordu. – W moim mieszkaniu Henri zawsze siadał na tym samym starym krześle zaprojektowanym przez Eamesa, podarowanym mi przez zaprzyjaźnionego wydawcę dwadzieścia lat temu na parapetówce. Czasem siadam naprzeciwko tego krzesła i rozmawiam z twoim tatą, choć jego od tak dawna nie ma. Od tak dawna. A zarazem wydaje mi się, że widziałam go wczoraj.

Teraz jej oczy lśnią i to nie z powodu reflektorów nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu.

– Co się stało? – pytam cicho. Wciąż mam tak wiele pytań. Dlaczego nie zostali razem? Nie znam ani taty, ani Eddie, ale wydają mi się dwiema połówkami jednego słowa.

– On nie kochał mnie tak mocno jak ja jego. Po prostu. – Teraz po jej policzku płynie łza. – Tak to bywa, Sam. Tak to bywa. W sercu toczy się wojna. Człowiek walczy tylko ze sobą i zawsze przegrywa. – Spogląda na mnie. – Czasem bywa odwrotnie, ktoś myśli o tobie częściej niż ty o nim. Albo lubi cię bardziej niż ty jego. Miłość to idiotyzm. – Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. – Mówię poważnie! – powtarza z naciskiem.

Włącza wycieraczki.

Przejeżdżamy kilka kilometrów w ciszy. Myślę o Maddie. Gdyby ona była zjawiskiem atmosferycznym, to pewnie letnim wiatrem. Obawiam się, że niczego się nie dowiemy. Może powinniśmy spróbować spotkać się z jej przyjaciółmi. Albo nauczycielami. Ale jak to zrobić? Moje myśli dryfują w stronę ojca. Czy miał przyjaciół? Lubili go? Mówił im o mnie?

– W czym tata był dobry? – pytam Eddie.

– Nie miał żadnych uprzedzeń – odpowiada Eddie bez chwili zastanowienia. – To był jeden z jego najmocniejszych punktów. Nikogo nie uważał za „obcego”. Niewiele osób potrafi i chce patrzeć na świat i innych z taką otwartością. A jednak... jednak miał ślepe plamki. Wiesz, co to jest ślepa plamka duszy? To cecha, której człowiek nie potrafi albo nie chce u siebie zauważyć. To może być jakaś słabość, do której nie chcesz się przyznać, albo siła, która budzi twoją odrazę bądź przerażenie. A twój ojciec nie potrafił dostrzec, że się oszukuje. Wydawało mu się, że nie potrafi kochać. Dziś już wiem, Sam, że w sprawach sercowych nawet najmądrzejsi głupieją.

Nabieram powietrza, biorę rozbieg i skaczę na głęboką wodę.

– Opowiadał ci o mnie?

Mój głos balansuje na cienkiej granicy między kolorem żółtym i gniewem. Uspokaja się. Tylko trochę się łamie.

Eddie kręci głową.

Wiedziałem to, ale liczyłem na inną odpowiedź.

Milczymy i godzinę później docieramy do Oksfordu. Miasteczko przypomina trochę świat z okręgów narysowany przez doktora Saula. Na najdalszych krańcach, gdzie zielone tereny graniczą z miastem, wydaje się chłodne i spokojne. Potem zabudowa się zagęszcza, mijamy ruiny i śliczne domy mieszkalne, tawerny, które reklamują się wizerunkiem inspektora Morse'a z serialu telewizyjnego, i ulice przypominające plenery z filmu *Billy Elliot*. Centrum miasta tętni życiem. Mieści się tu trzydzieści osiem uczelni i każda przypomina trochę Hogwart z książek o Harrym Potterze pośrodku angielskiego parku. Na kanałach biegnących wzdłuż Tamizy widzę skutny sterowane jednym długim wiosłem, jak weneckie gondole.

W Oksfordzie jest pełno turystów i ulicznych muzykantów, twarzy i delikatnego szumu, który tylko ja słyszę w głowie. Szum myśli i wiedzy?

Nigdy nie widziałem tylu iglic kościelnych i blanków. Miedź, szary kamień, biel, złocisty piaskowiec.

– Miasto śniących wież – mówi Eddie, jakby czytała mi w myślach. – Tak mówi się na Oksford. Dla mnie to miasto uśpionych opowieści. W żadnym innym miejscu na świecie nie przypada tylu pisarzy i pisarek na metr kwadratowy. No może poza Irlandią. Tu się rodzą powieści, Sam, a niektórzy twierdzą nawet, że opowieści czekają tu w cieniu, w parkach, domach i na ulicach na nadejście kogoś, komu będą mogły zaufać, że je opowie. Wtedy rzucają się na niego i nie puszczają go, póki tego nie zrobi. Wiele osób właśnie tutaj po raz pierwszy uświadomiło sobie, że chce pisać. A wręcz że musi. Nie można zdecydować o tym, że jest się pisarzem. Jest się nim lub nie. Ci, którzy nimi nie zostają, wpadają w obłęd, są nieszczęśliwi albo nigdy nie zaznają spokoju.

Jej słowa poruszają we mnie znajomą, dziwną strunę, która zawsze się odzywała, kiedy widziałem notatnik albo czytałem artykuły mojego ojca. Jednocześnie wrażenia zmysłowe napierają na mnie coraz silniej. Ulice tego miasta są pełne pytań, odpowiedzi i nerwowej energii.

Chciałbym napisać o ojcu. I o tym, czego większość nie dostrzega, bo nie mieści się to w ich polu widzenia.

Eddie zręcznie prowadzi samochód przez uliczki, wzdłuż wysokich murów ciasno otaczających uniwersytety. Parkuje w alejce za Biblioteką Bodlejańską, niedaleko Muzeum Historii Naturalnej.

Biblioteka Maddie mieści się w bocznej uliczce, niedaleko Christ Church

College i Balliol College. Większość ludzi zna te uczelnie, nawet jeśli tego nie wie. W tamtejszym akademiku kręcono filmy o Harrym Potterze.

Wyobrażam sobie, że w tym mieście Maddie pozostawiła po sobie echo. Że miała piekarnie i ulokowaną w zadaszanej hali targowej ciastkarnię Ben's Cookies, z której wydobywał się intensywny aromat karmelu. Że podnosiła wzrok i postacie namalowane na ścianach na nią patrzyły. Że tańczyła na ulicach.

Wreszcie docieramy do niewielkiej biblioteki.

– Chcesz, żebym z tobą weszła? – pyta Eddie.

Biblioteka to niewielki budynek wciśnięty między dwa domy mieszkalne. Wygląda tak, jakby stała tutaj od ośmiuset lat. Okna mają ostro zakończone łuki, deski podłogowe w sieni skrzypią. Oczywiście dom ma blanki.

Za ladą siedzi niewysoka, drobna kobieta w żakiecie w biało-fioletowe pasy. Ma fryzurę na pazia i przyjazną twarz skrytą za ogromnymi okularami.

– Witam, mój drogi, w czym mogę pomóc? – pyta mnie serdecznie.

Na tabliczce stojącej na ladzie widnieje nazwisko Myfanwy Cook. To imię wymawia się: Maj-fyn-li.

– Chciałbym oddać książkę wypożyczoną przez moją... przyjaciółkę.

Kiedy przesuwam po drewnianym blacie książkę, którą najchętniej bym zatrzymał, bibliotekarka zagląda do niej i patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Och! Od Madelyn!

– Zna ją pani?

Myfanwy kiwa głową.

– Ależ oczywiście. Madelyn... – Delikatnie przesuwam dłonią po książce. – Od dawna jej tu nie było. Zdziwiłam się, bo wcześniej przychodziła co dwa tygodnie po książki. Co się z nią stało? Wyjechała na tournée? Znowu tańczy w teledysku jakiejś znanej piosenkarki?

Moja mina mówi Myfanwy, że stało się coś innego.

– Moglibyśmy gdzieś usiąść i porozmawiać o Madelyn? – proponuje Eddie, która nagle się obok nas pojawiła. Pani Cook blednie. – Może uda się pani nam pomóc – dodaje Eddie.

– Mnie? Ale w czym?

– Obudzić Madelyn – odpowiadam.

Myfanwy Cook kończy pracę dopiero za dwie godziny. Dała nam adres domu Maddie („Mam nadzieję, że sformułowanie »ochrona danych osobowych« coś wam mówi. Tego adresu nie dostaliście ode mnie”) oraz szkoły New College („Często przesiadywała na dziedzińcu, w cieniu wielkiego dębu korkowego. Twierdziła, że to drzewo i muzyka to jej najlepsi przyjaciele”).

Rodzina Maddie mieszkała z dala od centrum miasta. Dzielnica nie jest bogata, przypomina mi trochę Putney.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Eddie, kiedy zbliżamy się do domu

Maddie.

Natychmiast go rozpoznaję, kiedy jedziemy ulicą i szukamy właściwego numeru. To najbardziej zapadnięty w sobie dom w całej okolicy. Okna wyglądają, jakby ich od dawna nie otwierano, niekoszony trawnik wyrósł wysoko, a fasada wygląda bardzo smutno. Domy się kurczą, kiedy nikt w nich nie mieszka.

Kiedy tak przed nim stoimy, nie wiedząc, co zrobić, nagle otwierają się drzwi frontowe sąsiedniego budynku.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta kobieta w kuchennym fartuchu, wycierając ręce w ścierkę.

– Z pewnością – odpowiada Eddie, ruszając w jej kierunku.

Nie słyszę, co mówi, kiedy pokazuje na dom i na mnie. Kobieta zakrywa dłonią usta, kiwa głową i wraca do środka. Pół minuty później wychodzi bez fartucha z kluczem w ręce.

– Chodźcie – mówi. – Wkrótce nic tam nie zostanie. Właściciel sprzedał dom i w przyszłym tygodniu przyjadą tu kontenery i wozy przeprowadzkowe.

Robi mi się trochę niedobrze.

Gdybyśmy tu dziś nie przyjechali, dom Madelyn zostałby ogołocoony. Tak po prostu.

Sąsiadka ma na imię Linda. Otwiera drzwi.

– Proszę, możesz wejść do środka – mówi.

Maddie, myślę. Maddie.

To jedyna myśl, którą rejestruję. Potem nic już nie myślę, bo nie jestem w stanie.

Nic nie czuję.

Cały dom jest jej pełen.

To jasne wnętrza wypełnione jasnymi meblami. Na ścianach wiszą fotografie Maddie – tańczącej, roześmianej, czytającej. Na niektórych jest sama, na innych z rodzicami, którzy stoją ramię w ramię, trzymając się za ręce.

Czy los działa właśnie w taki sposób? W tym domu rozbrzmiewał kiedyś śmiech. Wypełniały go ciepło, zaufanie i mnóstwo planów. Miłość.

Teraz został po niej tylko pusty, żaloszny pogłos.

– Zaczekam w kuchni, dobrze? Nie spiesz się. Nie spiesz się.

Eddie pozwala mi samotnie zwiedzić świat Maddie. Czuję się trochę jak złodziej, a trochę jak archeolog. Na ścianie przy schodach wiszą zdjęcia baletnic. Tańczą na scenie, przy balustradzie, na ulicach...

Na dole słyszę jakiś hałas.

– Co robisz? – wołam.

– Pakuję zdjęcia. Dla Maddie. I jeszcze kilka rzeczy, które na pewno chce mieć. Powiemy o tym Lindzie, okej?

Nie mam pojęcia, czy to jest w porządku. A może wylądujemy za to

w więzieniu?

Wszystko mi jedno.

W pokoju Maddie panuje taka cisza, jaka zawsze zapada w pomieszczeniach, w których nikt już nie śpi, nie śmieje się i nie trzyma za rękę. Czasem taka martwota panuje w sypialni Steve'a i mojej mamy.

Przy jej łóżku leżą książki. Na ścianie wisi lustro z przymocowaną poręczą. Obok stoi dokładnie zrolowana mata do jogi. Na wytapetowanej ścianie nad łóżkiem wisi metalowa mewa z żółtym, lekko zakrzywionym dziobem i szeroko rozpostartymi, srebrnoszarymi skrzydłami z czarną obwódką. Pod piórami zarysowuje się delikatna struktura szkieletu. To bretońska mewa srebrzysta. Silny ptak. Nie pasuje do tego dziewczynskiego pokoju. Ale tak bardzo pasuje do Maddie.

Moje serce wisi na jednej niteczce.

Ostrożnie siadam na łóżku.

Odsuwam kołdrę.

Wtulam twarz w poduszkę.

I płaczę.

Brakuje mi jej, brakuje mi mnie samego, brakuje mi ojca.

Poduszka pachnie szamponem kokosowym, proszkiem do prania. Zostało w niej jeszcze trochę ciepła z dawnych czasów.

Ostrożnie kładę się na krawędzi łóżka. Co widziała Maddie, kiedy tu leżała?

Shirley MacLaine.

Kolekcyjnerskie wydanie wszystkich tomów powieści *Pięcioro przyjaciół* w jednym pudełku.

Baletki.

Portret pianistki. Clary Schumann.

Plakat Rolling Stonesów.

Buteleczki z piaskiem i ziemią.

Wstaję. Pod każdą z nich leży karteczka. To pamiątki z miejsc odwiedzonych przez Maddie.

Biorę czysty arkusz jasnoniebieskiego papieru listowego z biurka Maddie i pospiesznie spisuję wszystko, co widzę w pokoju. Słyszę kroki. W drzwiach stoi Eddie z pustą skrzynką po owocach.

– Jak sądzisz? Zawieziemy jej kawałek jej samej?

Do skrzynki wkładamy książki oraz buteleczki z ziemią ze Szkocji, Australii, nowojorskiego Central Parku i Paryża. Ostrożnie zwijam plakat z Shirley MacLaine. Pakuję do skrzynki płyty i baletki, a na to kładę ozdobę z muszli, liści, gałązek i szkła, która wisiała na oknie.

Na koniec biorę poduszkę Maddie.

– Najwyraźniej lubi muzykę fortepianową, cuda natury i kolor niebieski –

mówi Eddie, opierając się o framugę.

– Lubi też swoich przyjaciół, nawet jeśli nie ma ich wielu.

Maddie jest mi bliska i obca zarazem. Ale teraz wiem, że lubi zapach kokosowy i potajemnie czyta powieści Johna Irvinga, że rosyjskich kompozytorów uważa za lepszych od włoskich, że lubi niebieski, że uważa, że książki należy porządkować, ale natura powinna pozostać chaotyczna. Lubi drzewa, liście, korę, konary i sękaty deski. Na jednym ze zdjęć przegląda się w lustrze. Na tej fotografii widzę Maddie taką, jaką mogłaby się stać pewnego dnia.

Chcę być przy tym, jak znowu stanie się sobą. Chcę zobaczyć, jaką będzie kiedyś kobietą.

Nie opuszczę jej do samego końca.

Przy niej stanę się mężczyzną.

Bez niej nie jestem sobą.

W mojej głowie rozbrzmiewa głos Scotta: „*Mon ami*, teraz stajesz w jednym szeregu z milionami facetów, dla których miłość liczy się bardziej niż życie. Gratuluję!”.

Wynosimy z domu siedem skrzynek. Samochód pęka w szwach. Linda ściska rękę Eddie i mnie przytula.

– Oni byli jednością, Samuelu. Różnili się, ale w swojej różnorodności pasowali do siebie i się wzajemnie uzupełniali. Istnieją ludzie, którzy rozkwitają na łonie rodziny. A inni...

Milknie.

Dom Maddie odprowadza nas wzrokiem, kiedy odjeżdżamy.

Zostało nam tylko piętnaście minut na wizytę w New College. Na ocienionym dziedzińcu panuje przyjemny chłód. Liście rozłożystego dębu połyskują srebrzyście w popołudniowym słońcu. Wyobrażam sobie, że Maddie z nim po cichu rozmawiała, a może siadała u jego stóp i rozmyślała.

Ja też siadam.

– Maddie? Czego szukasz? – pytam.

Zamykam oczy i kładę dłoń na pniu.

Czy Maddie czegoś szuka? Tak.

Drogi wyjścia?

W którym zmierzasz kierunku?

Z samotności w samotność? A może chcesz zniknąć i dołączyć do rodziny? Być z nimi gdzieś tam, w miejscu, którego istnienie przeczuwamy, choć nie wiemy, czy na pewno istnieje.

Zbieram z ziemi kilka dużych dębowych liści. Zaniosę je Maddie. Może drzewo zdoła ją wydobyć?

Idziemy do Eagle & Child, pubu w białym domku na Saint Giles Street. W środku są głębokie narożne siedziska i zdumiewająco mała lada. Myfanwy Cook

już na nas czeka i zamawia dla nas wszystkich herbatę.

Opowiadam o Maddie. O wypadku i śpiączce. Mówię jej, że łatwiej wrócić, jeśli ma się wokół siebie ukochane przedmioty. Bibliotekarka pije herbatę i przywołuje kelnera.

– Oliver, poproszę gin – mówi. – Albo lepiej podwójny. – Składa ręce i zaczyna opowiadać: – Madelyn przychodziła do biblioteki od najmłodszych lat. Uwielbiała opowieści, najbardziej te o dziewczynkach, które same potrafią wydobyć się z tarapatów. Na przykład *Igrzyska śmierci* albo *Pippi Langstrumpf*. Nie czytała bajek o księżniczkach.

Pani Cook opowiada, że Madelyn woli koty od psów, niebieski od zielonego i że jej rodzice bardzo ją kochają. „Kochali”, poprawia się i zaczyna płakać, ale tak, że łzy płyną do środka. Na zewnątrz tylko ociera oczy i jednym haustem wypija podwójny gin.

Pani Cook mówi nam też, że Madelyn uwielbia francuską tartę Tatin.

– Przepis na nią znalazła we francuskiej książce kucharskiej. Z cynamonem, karmelem i masłem z bretońską solą morską. Piecze się ją do góry nogami.

Naprawdę mówi „z bretońską solą morską” i „piecze się ją do góry nogami”. W tym momencie nie chcę już żyć bez Maddie. Już nie. Przez całe życie.

– Mogę ją odwiedzić w Londynie? – pyta pani Cook.

Odpowiadam skinieniem i patrzę na Eddie. Bez niej to by nie było możliwe.

– Tak – odpowiadam. – Proszę przyjechać. I to jak najszybciej. Maddie jest taka samotna.

– Nie, skarbie! – mówi Myfanwy. – Ma przecież ciebie.

Nie potrafię spojrzeć jej w oczy, czuję jednocześnie szczęście i ból. Mam jeszcze jedno pytanie.

– Wie pani może, czy Maddie lubi coś szczególnego? Co by jej sprawiło radość?

Myfanwy Cook zastanawia się przez chwilę, aż wreszcie mówi:

– Pizama party.

DZIEŃ 35

HENRI

Kiedyś byłem na początku życia.

Kiedyś byłem nieśmiertelny. Teraz jestem prawie martwy.

Zgadza się, taka jest prawda: jestem prawie martwy.

Leżę na plecach pod latarnią uliczną, a z mojego serca wypływają fale krwi.

Lewą dłoń przesuwam po asfalcie i proszę młodego mężczyznę, który przygląda mi się ze zdumieniem, żeby zdjął mi zegarek i podsunął mi go pod oczy. Chcę wiedzieć, która godzina okaże się moją ostatnią. Chcę wiedzieć, o której umieram, pod koniec szarego dnia.

Bez Eddie życie straciło jasne barwy, zgasł jego puls, jakby ostatni jasny październikowy ranek przeszedł w jeden długi szary dzień.

Ten długi szary dzień spędziłem, szukając tego, co prawdziwe. Świat wciąż wydawał mi się niestabilny, jakby migotał, a pod tym migotaniem ukrywało się coś innego.

Ale może to tylko wpływ alkoholu.

Kiedy w Londynie nie ratowało mnie żadne nowe zlecenie, to wydawało mi się, że zdycham w tym wielkim mieście, które zamieniło się w ciasną klatkę. Za dużo piłem, a kiedy spotykałem kobiety, które jednoznacznie dawały mi do zrozumienia, że mogę u nich odetchnąć przez jedną noc, wtedy z nimi nie szedłem.

Co by się stało, gdybym je pocałował? Objął? Rozebrał? Gdyby pozwoliły mi się oglądać?

Mnie, który nie potrafi zatrzymać przy sobie ukochanych osób.

Byłem cały czas w drodze, zawsze trochę wstawiony, żeby stłumić ból, ale nie dość pijany, żeby wreszcie zasnąć i nie śnić. Tam gdzie nie paliły się już latarnie uliczne, tamtej nocy w ciemności czekał na mnie Carl.

– Ej, stary, potrzebuję pomocy – oznajmił. – Jestem Carl, a ty?

– Henri.

– Mam dwójkę dzieci, ale daję w żyłę i moja żona nie chce na to patrzeć, więc przyszedłem tutaj. Pomożesz mi?

Dobrze wiedziałem, że nie chodzi mu o kilka słów pocieszenia ani o miejsce w klinice dla uzależnionych. Dałem mu wszystkie pieniądze.

– Nie masz komórki?

Dałem mu komórkę.

– Cholera, ale szajs. – Rzucił moją motorolę w krzaki.

Naprawdę wyglądał jak zagoniony ojciec rodziny, ale w półmroku miał mordę ćpuna.

– Wciążam, łykam, zapodaję sobie wszystko, jak leci. Powiedz, która godzina? – zapytał podejrzliwie.

Spojrzałem na zegarek.

– Dochodzi trzecia.

– Daj mi zegarek!

– Możemy podejść do bankomatu.

– Zapomnij. Za dużo ludzi. – Podrapał się. Miał zaczerwienione oczy. –

Dawaj zegarek!

– Produkuje się pochodne, które pomagają, ułatwiają odstawienie i...

– Stul pysk i dawaj zegarek!

– Nie. Należał do mojego ojca.

– I co z tego? Zdechł? Dawaj ten pieprzony zegarek albo ci urznę rękę!

Nie dałem mu zegarka, tylko wałnąłem go pięścią w szczękę. Carl zrewanżował mi się pospiesznym ciosem nożem między lewą pachą i klatką piersiową.

Nóż był zimny i kiedy go wyciągał, w pierwszej chwili poczułem ból.

Udało mi się doczołgać pod oświetloną latarnię. Tam znalazło mnie dwoje młodych ludzi z Sussex, którzy zadzwonili po karetkę. Chłopak pokazał mi cyferblat, żebym poznał godzinę mojej śmierci.

Ostatnie, co widzę, to zegarek mojego ojca, który stanął za pięć trzecia.

Potem moje serce się zatrzymuje, kiedy wypłuło resztkę krwi.

DZIEŃ 36

HENRI

Lewą dłonią przesuwam po asfalcie i proszę chłopaka, żeby mi pomógł i zadzwonił po karetkę. Przygląda mi się zdumiony.

Jestem jak zawsze w drodze. Przełykam przez noc, jak dawniej z Eddie, kiedy zatrzymał się czas. Kiedy w te przepływane, przepijane, przebiegane noce spotykam kobiety, nie idę z nimi. Co bym zrobił, gdybym zapuścił się w jakiś nieznaną rejon ich duszy i nie znalazłbym tam tego, co u Eddie?

Jej dobroci.

Jej wielkoduszności.

Tam gdzie nie paliły się już latarnie uliczne, tamtej nocy w ciemności czekał na mnie Carl.

– Ej, stary, potrzebuję pomocy – wyjaśnił. – Jestem Carl, a ty?

– Henri.

– Mam dwójkę dzieci, ale...

– Nie musisz mi nic tłumaczyć. Pewnie chcesz kasę?

– Zgadłeś.

Naprawdę wyglądał jak zagoniony ojciec rodziny, ale jego twarz przypominała mordę ćpuna. Dałem mu wszystko, co miałem w portfelu.

– Wciążam, łykam, zapodaję sobie wszystko, jak leci. Powiedz, która godzina? – zapytał podejrzliwie.

Spojrzałem na zegarek.

– Dochodzi trzecia.

– Daj mi zegarek!

– Możemy podejść do bankomatu.

– Zapomnij. Za dużo ludzi. – Podrapał się. Miał zaczerwienione oczy. –

Dawaj zegarek!

– Produkuje się pochodne, które pomagają, ułatwiają odstawienie i...

– Stul pysk i dawaj zegarek!

– Nie. Należał do mojego ojca.

– I co z tego? Zdechł? Dawaj ten pieprzony zegarek albo ci urżnę rękę!

Nie dałem mu go. On trzymał nóż przy moim brzuchu.

– Razem z ojcem wypłynęliśmy na pełne morze – powiedziałem, patrząc w zaczerwienione oczy Carla.

– I co z tego?

– Daj mi chwilę, żeby się z nim pożegnać. Zrobisz to? Najpierw opowieść, potem zegarek.

Kiwa nerwowo głową.

– Pospiesz się.

Zdjąłem zegarek i mówiłem dalej:

– Tamtego ranka było więcej słońca niż chmur, morze było gładkie jak plama oleju. Sezon na kraby. Małże były jeszcze za małe, homary też. Ojciec zawsze ściągał zegarek i chował go do kieszeni kurtki, którą kładł na siedzisku zamiast poduszki. Potem nadeszły wysokie fale, piętrzyły się pod gładką powierzchnią na dnie morza, wznosiły się na podwodnej rafie i potem opadały. Na skałach wyrastały kilka metrów w górę, unosiły się nad nami i tak gwałtownie uderzały w łódź, że zmyły z pokładu mojego ojca, który stał zgięty w pół, próbując wyciągnąć węćierz.

Carl opuścił trochę nóż. Wciąż trzymałem zegarek, a Carl spoglądał to na zegarek, to na moją twarz.

– Uderzył głową o burtę. Chwyciłem go za rękę i mocno trzymałem. Godzina za godziną. Ojciec półprzytomny unosił się na falach. Z ucha wypływała mu krew. Złamał drugą rękę. Miałem trzynaście lat. Potem przyplływ zaczął się wycofywać. Godzinę przed zachodem słońca nie miałem siły, by go dalej trzymać.

Zamilkłem. Otoczyły mnie wspomnienia.

Miałem wtedy zimne i zsiniałe palce, zdrętwiał mi kark. Czuję, jak silne palce ojca wyślizgują mi się z dłoni.

Potem ojciec tonął, z otwartymi oczami, patrzył na mnie, kiedy połykała go czarna głębia.

Zawahałem się przed skokiem.

Nie potrafiłem pójść za nim, uratować go, zanurzyć się w morzu.

W dole otwarte oczy ojca, patrzące na mnie z ciemności. Siedziałem nieruchomo, z przerażenia zapało mi dech w piersi.

Zostawiłem go.

Jego i siebie, pozbawioną oddechu, beczynną istotę, nie dość silną, by go uratować, nie dość szybką, by wydobyć go z głębin.

Kiedy odzyskałem głos, powiedziałem do Carla:

– Tamtego dnia przyniosłem do domu tylko zegarek i kurtkę. – Podąłem zegarek Carlowi. – Zanim go zastawisz, nakręć go.

Carl patrzył na mnie załzawionymi oczami.

Potem odrzucił moją rękę.

– Idiota – warknął i zataczając się, pobiegł, zniknął w cieniu.

Nadal trzymałem w palcach zegarek.

Kiedy przekuśtykał w ciemności kilka metrów, jego głos jeszcze raz do mnie dobiegł:

– Może to on cię zostawił? A nie ty jego. Ojcowie muszą czasem porzucić dzieci, żeby je uratować.

Założyłem zegarek na nadgarstek. Trzęsły mi się palce.

Spojrzałem na cyferblat. Minęła trzecia nad ranem.

Chwiejnym krokiem dotarłem pod świecącą latarnię, gdzie zwymiotowałem, a potem z powodu osłabienia nie mogłem wstać. Tam znalazło mnie dwoje młodych ludzi z Sussex i zadzwoniło po karetkę.

Lekarka, która trochę później opatruje mnie w szpitalu, radzi, żebym na przyszłość podpisał deklarację gwarantującą mi, że lekarze nie będą mnie ratować na siłę.

– Na przyszłość? Kiedy następnym razem napastnik zada mi cios nożem? Myśli pani, że to mi pomoże?

– Tak, gdyby odniósł pan poważne rany albo na przykład poważnie zachorował...

– Albo ktoś mnie postrzelił. Na przykład w metrze.

Lekarka nie rozumie ironii.

– Tak, na przykład. Gdyby był pan tak ciężko ranny, że trzeba by pana podłączyć do urządzeń podtrzymujących życie, albo gdyby zapadł pan w głęboką śpiączkę. Nie mógłby pan wtedy zdecydować, czy chce pan żyć, czy umrzeć. Każdy ma prawo, by zostawiono go w spokoju. Nie powinien pan pozostawiać tej decyzji przepracowanym lekarzom na stażu. Szczególnie że jest pan potencjalnym dawcą organów.

Dlatego jeszcze tego samego wieczoru podpisuję deklarację, podając w niej nazwisko Eddie. Tylko ona spośród wszystkich znanych mi ludzi wiedziałaby, jaką należy podjąć decyzję.

Teraz jeszcze ona powinna podpisać ten dokument.

Gdyby to było takie proste.

Wpadam na pomysł, że wyślę jej tę deklarację, żeby jej w ten sposób powiedzieć...

No właśnie, co? „Chcesz służyć mi radą w kwestiach medycznych i podjąć decyzję o moim życiu lub śmierci?”

Ale romantyczne. Śmiertelnie romantyczne.

Zamiast tego uciekam z Londynu.

Nigdy nie wysyłam deklaracji, choć się z nią nie rozstaję.

Eddie. Jej odmowa to linia demarkacyjna.

Wracam do Londynu co kilka miesięcy i błąkam się od człowieka do człowieka.

Potem przychodzi e-mail, który wszystko zmienia.

Kochany Tato,

nie znamy się, ale moim zdaniem to się powinno zmienić. Jeśli też tak uważasz, przyjdź 18 maja, w Dzień Ojca i Syna, do Colet Court. To szkoła należąca do Saint Paul's w Barnes, tuż nad brzegiem Tamizy. Będę na Ciebie czekał na zewnątrz.

Samuel Noam Valentiner

Syn chce się ze mną zobaczyć.

Osiemnastego maja jest tak ciepło, że postanawiam pójść piechotą. Szkoła Sama mieści się przy zakolu Tamizy, osiem kilometrów na zachód od centrum miasta. Cztery linie metra jadą do stacji Hammersmith. Przechodzę przez dzielnicę znaną z powieści Charlesa Dickensa, gdzie wśród starych domków z cegły wyrosły nowe biurowce.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka i błagałem, żeby godziny szybciej mijały. Będę żył inaczej niż dotychczas. Powiem Eddie, że ją kocham, od kiedy po raz pierwszy widziałem ją w tańcu. Nie pozwolę, żeby mój syn dziś na mnie czekał. Już nikomu nie każę na siebie czekać. Nigdy więcej.

Mam ochotę biec!

Przez chwilę wszystko wydaje mi się bardziej rzeczywiste, kiedy wchodzę na most Hammersmith pod wysokim portalem. Ciepło słońca. Woda się iskrzy, jakby nadchodzące lato puszczało do nas oko i się do nas uśmiechało. Delikatny, słodki zapach kwitnących drzew.

Oddycham pełną piersią.

Czy Eddie mnie zechce? Czy Sam mnie polubi?

Widzę już kwitnące na różowo młode wiśnie japońskie, rosnące nad brzegiem rzeki przed szkołą Saint Paul's. Zwracają się ku miodowemu wiosennemu słońcu.

Uśmiecham się na widok całującej się pary młodych ludzi. Kilka metrów dalej żebrak opiera się o zieloną balustradę. Ma na sobie znoszony smoking i chyba przygotowuje „stanowisko pracy”, rozkładając w słońcu duży kawałek kartonu.

Na chwilę przystaję na drugim końcu mostu, żeby się nacieszyć ciepłem i jedwabistym powietrzem. Wkrótce poznam mojego syna. Życie jest takie piękne. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?

W górę rzeki, w kierunku Oksfordu płynie statek wycieczkowy. Zbliża się do mostu. Na górny szczebel relingu wspięła się dziewczynka. Wystawiła twarz do majowego słońca, a kiedy fala kołysze statkiem, dziecko traci równowagę. Nie krzyczy. W jej oczach widać tylko bezgraniczne zdumienie.

Widzimy, jak wpada do wody. Całująca się para, żebrak w znoszonym smokingu i ja.

– O mój Boże! – szepcze żebrak.

Para patrzy na mnie. Cała trójka stoi nieruchomo, a dziecko raz po raz znikając pod powierzchnią wody, zbliża się do mostu z czterema krytymi cyną pylonami.

Jej życie wisi na włosku. Wspinam się na zieloną barierkę z kutego żelaza. Czekam, aż pode mną wyłoni się z wody dziewczynka jak małe zawiniątko.

I skaczę.

DZIEŃ 37

SAM

Dziś urodziny Maddie. W szkolnej kuchni upiekłem dla niej ciasto. Madame Lupion, nauczycielka francuskiego, dała mi przepis na tartę Tatin i pożyczyła mi specjalną formę do pieczenia. Tartę łatwiej upiec niż inne ciasto. Do formy włożyłem dużo masła z solą morską i cukier. Podgrzewałem ją, aż składniki się roztopiły i zamieniły w karmel. Potem trzeba do niego dodać pocięte wcześniej na plasterki – to „*Très important!*”, jak twierdziła madame Lupion – porządnie schłodzone, a najlepiej lekko zmrożone jabłka. Ogrzałem je w formie, następnie przykryłem kruchym ciastem i piekłem przez dwadzieścia minut w piekarniku. Po ostudzeniu przewróciłem ciasto „do góry nogami”. I *voilà*. Teraz dopiero rozumiem, co miała na myśli Myfanwy.

Potem zapakowałem ciasto w papier w kolorze morelowym i schowałem do mojej szafki na szkolnym korytarzu.

Najtrudniej było mi zapytać madame Lupion, co robią dziewczyny w czasie pizama party.

– Ale jakie dziewczyny? Osiemnastolatki, czternastolatki, dwunastolatki... – Nie wiem, co odpowiedzieć. Madame Lupion kontynuuje: – To ogromna różnica. Dwunastolatki jedzą ciasto, ale szesnastolatki zdecydowanie wolą wegańskie koktajle. Natomiast osiemnastolatki piją mnóstwo jabłkowego bacardi albo coś równie ohydneho.

Powiedziałem jej, że moja kuzynka, której tak naprawdę nie mam, kończy dwanaście lat.

– Och! Moja córka i jej przyjaciółki obejrzały romantyczny musical, a potem urządziły karaoke. Na torcie umieściły różowe świece. I robiły sobie nawzajem makijaże.

– Aha. – Trochę mnie to zawstydzia.

– Dlaczego o to pytasz, Samuelu?

– Ach, tak tylko – odpowiadam wymijająco. – Chciałbym znaleźć dla niej odpowiedni prezent.

– Jesteś bardzo mądrym chłopcem, mój drogi.

Na szczęście ekspedientki w drogerii przy stacji metra Hammersmith nie pytają, po co mi niebieski cień do powiek, błyszczak do ust o smaku truskawkowym, różowe świece i zabawkowy mikrofon.

W internetowym sklepie iTunes znalazłem kilka melodramatów, których bohaterowie tańczą i się całują. Jeden nosił tytuł *Dirty Dancing*. Nigdy go nie widziałem, ale wydawało mi się, że jest bardzo popularny. Przynajmniej wśród dziewczyn.

W szpitalu Wellingtona czas stanął w miejscu. Skinieniem głowy witam się

z Sheilą, a ona posyła mi niewyraźny uśmiech i z powrotem zamyka się we własnym świecie. Najpierw jadę na drugie piętro.

Już z daleka widzę czarny i dojmujący ból. Tata leży na brzuchu. Dlaczego? Doktor Foss mnie zatrzymuje i podaje mi maseczkę.

– Dziś tylko dwie minuty, Sam. Twój tata znowu złapał zapalenie płuc.

Uginają się pode mną nogi i na moment robi mi się słabo, ale udaje mi się powstrzymać atak paniki.

– Cześć, tato – szepczę, klękam przy łóżku i patrzę na jego twarz. Wciąż jest nieruchoma i pusta, jak dom duchów wypełniony tylko ciemnym cierpieniem. – Tato? Idę do Maddie. Ma dziś urodziny. Mam jej coś przekazać?

Opowiadam mu, co mi się podoba w Maddie. Wyobrażam sobie, że obudzi ją piżama party albo Pippi Langstrumpf. Tata nie zgłasza zastrzeżeń, więc dochodzę do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu.

– Życz mi szczęścia.

Respirator wzdycha miarowo.

Poza tym: nic, nic, nic.

Nic się w nim nie porusza, nawet kiedy opowiadam, co mam w kieszeni. Dla Maddie. Za moimi plecami rozlega się głos Boga:

– Samuelu Valentinerze, przyniosłeś tort?

Kiwam głową.

– Madelyn ma urodziny – szepczę zawstydzony.

Bóg puszcza do mnie oko.

– Zaśpiewaj jej też coś ode mnie. – Gdybyś tylko znał prawdę, myślę. – Dziś twój tata odwiedziło dwóch gości. Młody człowiek o imieniu Ibrahim i Greg, stary przyjaciel i szef twój taty. Znasz ich?

Kręcę głową. Nie znam nikogo takiego. Nasze ścieżki skrzyżowały się dopiero po wypadku.

Przez moment czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość na ojca, który próbuje mi się wymknąć, a tak bardzo mi go brakuje.

Bóg daje mi wizytówkę.

– To numer do Grega. Jest dziennikarzem. Zadzwoń do niego. Zapytaj go o tatę. Obiecuj mi, że go wyprowadzisz z równowagi, okej?

Odpowiadam skinieniem głowy, zakładam plecak na ramię, wyjeżdżam na piąte piętro, przechodzę przez korytarz i stopą delikatnie otwieram drzwi do pokoju Madelyn.

– Cześć, to ja, Sam.

Maddie leży na łóżku z otwartymi oczami. Pokazuję jej tartę.

– Dziś twoje urodziny.

Głupio to zabrzmiało. Czy ona o tym wie? Zbieram się w sobie, żeby zrobić to, czego naprawdę nie lubię.

Śpiewam.

– *Happy birthday to you...* – zaczynam.

Jestem jedynym gościem na jej urodzinach, więc kontynuuję trochę głośniejsze i radośniejsze. Ona patrzy na mnie niewidzącymi oczami. Spoglądam na jej kartę chorego. Za chwilę trzeba zakropić jej oczy.

– Przyniosłem ci tarte aux pommes – mówię. – Tartę z jabłkami. Nazywaną również tartą Tatin. Przepis stworzyły dwie siostry Tatin, Stéphanie i Caroline. Mieszkały w Orleanie. Stamtąd pochodziła też Joanna d'Arc. Pierwszy raz w życiu sam upiekłem ciasto, więc nie rób sobie wielkich nadziei. Udało mi się kupić francuskie masło z solą morską. Jabłka są z Sussex. Mam pokroić? – Maddie nie odpowiada. – A może wolisz najpierw obejrzeć film? – proponuję. – A dopiero później zjeść tartę? Przyniosłem wszystko, czego nam potrzeba.

Wyciągam iPada, potajemnie wykradzionego z nocnej szafki mamy, należąca do niej satynową piżamę w brzoskwińowym kolorze i pantofle, które bardzo chciałyby mieć Malcolm, bo mają olbrzymie noski w kształcie głów Batmana. Szybko się przebieram.

– I jak?

Obracam się, czując pulsowanie w uszach. Wiem, że głupio wyglądam, ale zrobiłbym wszystko, żeby się uśmiechnęła albo przynajmniej przewróciła oczami.

– Ty już masz na sobie koszulę nocną, więc możemy zacząć fantastyczną imprezę piżamową. Najpierw potańczymy czy zrobimy sobie karaoke? A może chcesz rozpakować prezent? – Wyciągam z kieszeni niewielki pakunek. – Nie? No dobrze, położę go na nocnym stoliku. Co? Chcesz trochę poprawić urodę? Okej. Tak się składa, że mam przy sobie wszystko, co potrzeba. – Wyciągam kosmetyki kupione w drogerii. – Pomożesz mi? – proszę Maddie. – Tak? To potrzymaj lusterko.

Opieram je na poduszce i próbuję sobie nałożyć na powieki niebieski cień. Odrobina dostaje mi się do oka, które zaczyna mnie strasznie piec. Nie wiem, czemu kobiety tak się torturują. Wyglądam jak klaun morderca z powieści Stephena Kinga. A błyszczyczek nie smakuje jak truskawki, tylko jak papierek lakmusowy.

– Jak wyglądam? – pytam mimo wszystko. – Jak Kate Winslet, prawda?

Nasłuchuję przez chwilę i wydaje mi się, że Maddie chichocze.

Gdzieś tam.

Być może.

W każdym razie na pewno słyszę w głowie śmiech Scotta.

– Umalować cię? Nie? To nie twój kolor? Co? Błyszczyczek? Daj spokój, w ogóle nie smakuje jak truskawki, przysięgam. – Maddie się upiera. – Wiesz, że aromat truskawkowy produkuje się z trocin? Naprawdę!

Bardzo ostrożnie aplikatorem nakładam jej na wargi trochę błyszczycyku.

Maddie się nie rusza, żebym mógł dokładnie rozprowadzić kosmetyk na jej ustach. Podsuwam jej lusterko.

– Właściwie nie musisz się malować, Maddie.

I tak jesteś bardzo ładna, myślę, ale nie mówię tego na głos.

Na pewno Maddie powiedziałaaby: „Dziękuję, Sam”. Wyobrażam to sobie i czuję zakłopotanie.

– I co teraz? – pytam ją.

„Teraz chętnie obejrzałybym film”.

– Świetnie, Maddie. Może film o tańcu?

„Z wątkiem romansowym?”

– Chyba tak. Tak. Na pewno. To jakiś problem?

„Nie! Cieszę się, że o tym pomyślałeś! Mam nadzieję, że nie jest kiczowaty”.

– Oglądałaś *Dirty Dancing*? Nie wiem, czy jest kiczowaty. Możemy go obejrzeć.

Ostrożnie siadam obok Maddie na łóżku. Znajduję film na iPadzie, włączam go i trzymam urządzenie tak, żebyśmy oboje widzieli mały ekran.

– Widzisz?

Maddie milczy jak zaklęta.

Film się zaczyna.

O Boże.

– Co ona robi? To melony? Maddie?

„Dziewczyny bywają bardzo nieśmiałe, Sam”.

– Ale żeby aż tak?

Film opowiada naprawdę dziwną historię.

– Ten facet jest w porządku, prawda? Ale ubiera się beznadziejnie. Co on ma na głowie? Dziewczynom się to podoba? Co to za imię, Baby?

Większość dziewczyn, które znam – czyli bardzo niewiele – w takiej sytuacji przewraca oczami i mówi z afektacją: „Och, serio?”.

Ale Maddie zachowuje luz. Podoba mi się to w niej.

Potem zaczynają się tańce.

Aha.

Oho.

Coś takiego podoba się dziewczynom?

Co by na to powiedział Scott? „Nie trzeba rozumieć kobiet, żeby je lubić. Nie rozumiemy kotów i hipopotamów, a bardzo je lubimy”.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że ten film jest taki cikliwy.

Tja, Sam. Obawiam się, że będziesz musiał mi to jakoś zrekompensować.

„Potrafisz tak tańczyć jak ona?”

– Nie.

„Och, proszę!”

– Maddie, nie potrafię ani śpiewać, ani tańczyć.

„Proszę, Sam!”

Patrzę na piękną, pozbawioną wyrazu twarz Maddie i nie wiem, czy ona jest gdzieś tam, w środku, ale nie odzywa się, żeby niczego nie zepsuć. Pewnie tak właśnie jest. Długo nie wytrzyma, już ja się o to postaram.

– Okej, zrobię to. Tylko się nie śmieję.

Och, błagam, błagam, zaśmiej się! Zrobię z siebie małą, tylko zaśmiej się choć raz.

Kładę iPada na stoliku przy łóżku, podsuwam wysięgnik pod twarz Maddie i znów puszczam scenę, w której Baby wchodzi po schodach, tańcząc i kręcąc pupą. Próbuję ją naśladować.

– No i jak, Maddie?

Rozciągam ramiona i kołyszę biodrami. Przynajmniej próbuję. Mam na sobie brzoskwińową piżamę, pantofle z głowami Batmana, niebieski cień na powiekach i tańczę do muzyki z *Dirty Dancing*.

Myślę, że Maddie śmieje się do rozpuku.

Coraz bardziej się rozkręcam. W tańcu staję się taki beztroski i radosny. Zakochuję się w Maddie, jakby to ona była pieśnią mojego życia, której chcę bez przerwy słuchać. Ona będzie moją ścieżką dźwiękową.

Nic dziwnego, że nie zauważam, że ktoś staje w drzwiach.

– Hej, Sam. Czy raczej hej, chłopaku podobny do Sama. Pomalowałeś oczy na niebiesko?

Siostra Marion wchodzi, a ja potykam się o pantofle i robię się czerwony jak burak.

– Myśli pani, że w zielonym byłoby mi bardziej do twarzy? – pytam cicho.

– Nie bądź bezczelny. Co wy wyprawiacie?

– Świętujemy urodziny Maddie.

– W taki sposób?

– Właśnie tak świętują dziewczyny.

– Och. Oczywiście. No tak.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, a ja kątem oka przeglądam się w lustrze wiszącym na szafie po lewej stronie i dopiero teraz widzę, że wystarczy tylko trochę się postarać, żeby wyglądać naprawdę idiotycznie.

Marion pokazuje na iPada.

– Co oglądacie?

– *Dirty Dancing*. Film o melonach.

– Naprawdę? Masz kaptcie w kształcie głów Batmana?

– Mhm.

Siostra Marion bierze aplikator, z wprawą zakrapla oczy Maddie i siada po drugiej stronie łóżka, żeby obejrzeć z nami film.

Wracam na swoje miejsce i podnoszę wysoko iPada, choć już po chwili cierpną mi ręce.

Wszystko mi jedno.

Kiedy bohaterowie zaczynają się całować, czerwienię się.

– To bardzo zdrowe – wyjaśnia Marion. – Kiedy ludzie wymieniają się zarazkami, wzmacniają swój system odpornościowy.

– Ohyda – mówię.

Maddie chichocze. Tak mi się wydaje.

Akcja filmu obfituje w dramatyczne wydarzenia.

– Dlaczego on nie powiedział ojcu Baby, że ta tancerka nie z nim zaszła w ciążę?

„Bo wtedy film by się skończył!”

– Aha. Ojej.

Jestem zafascynowany. Nawet w obecności Marion Maddie się do mnie odzywa. Co prawda tylko w mojej głowie. Uważam, że pewna doza szaleństwa nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

„Nie sądzisz, że Johnny jest uroczy?”, pyta Maddie.

– Ja? Nie. Czemu? A ty?

„Ja też nie. Uważam, że ty jesteś uroczy, Sam”.

Bzdury. Maddie nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. Przenigdy. Powinienem przestać sobie wyobrażać, że ona mówi to, co chciałbym usłyszeć.

– Puk, puk, przychodzimy, bo wyczułyśmy tort.

Do sali wchodzi dwie lekarki i Liz, fizjoterapeutka. Wszystkie założyły małe, śmieszne papierowe czapeczki, jak w czasie balu sylwestrowego. Taką samą czapeczkę Liz daje Marion, która natychmiast ją zakłada.

Teraz nie czuję się już jak ostatni idiota.

– Co robicie? Sam, masz na nogach...

– Tak, to Batman. Takie same są z Supermanem.

– Z pewnością – mówi lekarka o ciemnym głosie, a pozostałe chichoczą. Maddie też. Kobiety bywają dziwne.

Siedzimy w piątkę na łóżku i oglądamy *Dirty Dancing*, a pod koniec wszyscy, poza Maddie i mną, cicho pochlipują.

No dobra, przyznaję, że ten film trochę mnie wzruszył.

– Samodzielnie je upiekłeś? – pyta siostra Marion, pokazując na ciasto, kiedy na ekranie pojawiają się napisy końcowe.

Kiwam głową.

– To tarta Tatin! – wykrzykuje Liz z zachwytem.

– A gdzie świeczki?

– Najpierw karaoke – mówię, wyciągając z plecaka różowy zabawkowy mikrofon.

– Ach, jaka szkoda. Robi się ciekawie, a ja muszę iść – mówi z westchnieniem jedna z lekarek, patrząc na swój pager. Liz też się żegna, tęsknie patrząc na ciasto.

– A ja mam akurat wolny wieczór i uwielbiam karaoke – mówi druga lekarka.

Siostra Marion sprawdza odczyty aparatów pomiarowych i po dwóch, trzech minutach oznajmia:

– Zgoda. Tylko wam na to pozwalam. Maddie czuje się nieźle. Trochę się spociała. Dobrze się bawisz, kochanie?

– Pokaż mi listę piosenek – prosi lekarka.

Na jej plakietce widnieje nazwisko Ben Sheerin. Ben? Z zaciekawieniem patrzy na ekran iPada.

– Mam na imię Benny. To zdrobnienie od Benedicty – wyjaśnia. – Nie zmieściłoby się na plakietce.

– Aha. Okej. A ja jestem Sam. Samuel Noam Valentiner. Też by się nie zmieściło.

– Oj, nie.

Doktor Benny przegląda piosenki na iPadzie mojej mamy.

– Nie! Nie wierzę własnym oczom! *Dancing Queen!* – wykrzykuje. – Marion, zna pani to?

– Mam pięćdziesiąt jeden, a nie sto pięć lat, moja droga. Oczywiście, że znam Abbę.

Benny wybiera piosenkę i ustawia głośność.

– Madelyn, robię to tylko dla ciebie – mówi i wyjmuje mi z ręki różowy mikrofon.

Benny i siostra Marion stają przed łóżkiem i śpiewają *Dancing Queen*. Występ jest żenujący, ale na prawdziwym karaoke zrobiłyby furorę. Benny śpiewa główne partie wokalne, a Marion chórki.

Znowu zaczynam tańczyć jak główna bohaterka *Dirty Dancing* i próbuję sobie zrobić fryzurę w stylu Patricka Jakiegoś tam, który gra Johnny'ego. Jestem prawie pewny, że Maddie sika ze śmiechu. Płaszam wokół łóżka, na którym leży dziewczyna o lodowatym spojrzeniu, a my dla niej tańczymy i śpiewamy.

You are the dancing queen...

You can dance, you can jive

Having the time of your life...

Marion wyciąga zapalniczkę, wbija dwanaście świeczek w tartę i je zapala. Mam też zimne ognie w kształcie jedyńki i dwójki. Iskrzą, błyskają i posykują, jakby z nieba wprost do sali spadła gwiazda.

Na stoliku wciąż leży nierozpakowany prezent.

– Zaśpiewajmy jeszcze raz – proponuje ze śmiechem siostra Marion. Jej

mokre od potu rude włosy lepią się do jej sympatycznej, uroczej twarzy.

– Zaśpiewajmy jej jeszcze – proponuje Benny.

Kiedy śpiewamy, siostra Marion wyłącza górne oświetlenie. Stojąc w blasku dwunastu świeczek i zimnych ogni, czuję, że naszej trójce i Maddie przydarzył się mały cud.

W ten sposób świętujemy jej dwunaste urodziny. Kończymy śpiewać.

– Musisz je zdmuchnąć, Maddie – szepczę, podsuwając pod jej nieruchomą twarz moją tartę, na której tańczą płomyki. – Pomyśl życzenie. Jeśli naprawdę czegoś zapragniesz, to się stanie.

Przez krótką chwilę wydaje mi się, że w jej oczach widzę przelatującego kruka, którego czarne pióra muskają jej tęczówki.

Ale Maddie nie zdmuchuje świeczek.

Nic dziwnego.

Przecież oddycha za nią respirator. Tylko jej serce bije trochę szybciej.

– No dobrze – mówię, ukrywając głębokie rozczarowanie. – Zdmuchnę je za ciebie i pomyślę życzenie.

Nabieram powietrza i zdmuchując świeczki, myślę, że któregoś dnia chętnie pokłóciłbym się z Maddie. A potem pogodził. Nie umiem sobie wyobrazić nic piękniejszego niż jej gniewne spojrzenie i scena pojednania, kiedy obejmuję ją tak długo, że musi się zaśmiać.

Ale Maddie na mnie nie patrzy.

Nawet jej największe marzenie nie zdołało wyrwać jej z otępienia.

Kładę na jej stoliku dwa liście dębu.

DZIEŃ 38

HENRI

O świetle delikatnie budzi mnie łagodne światło słoneczne.

Widzę, jak Eddie wkłada palec wskazujący do garnka stojącego na kuchence, żeby sprawdzić, czy mleko do kawy już się podgrzało. Zawsze tak robi, nawet wtedy kiedy na powierzchni wrzącego płynu tworzą się już pęcherzyki powietrza.

Gdy się odwraca, patrzę jej prosto w oczy, jasne jak morze zimą. Patrzę na jej nogi, zmarszczone czoło, usta, kiedy dmucha na gorące mleko. Nie chcę żyć bez niej.

Wyczuwam, że zmierzam do newralgicznego punktu i za chwilę zawisnę nad urwiskiem.

Mam ogromną ochotę odsłonić kołdrę i przywołać Eddie, żeby się obok mnie położyła. Tak bardzo chcę dotknąć jej brzucha i pleców.

– Chodź! – wołam.

Wyczuwam lekki chłód, kiedy na moją twarz pada jej cień, a ona staje boso na białym prześcieradle.

– Kocham cię – mówi. – Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

– Ja też cię kocham, Edwinno Tomlin.

Odczuwam coraz większą ulgę i dopiero teraz uświadamiam sobie, że to właśnie miłość!

Tydzień później postanawiamy wziąć ślub w Bretanii.

Eddie nachyla się i pije ze starego magicznego źródła. Tak nazywaliśmy je w dzieciństwie. Bije nieopodal kaplicy Świętego Samsona, przy drodze numer 127 wiodącej do Trémazan. Woda wypływa wprost z rafy przybrzeżnej. Źródło, które podobno spełnia życzenia dzieci, jest otoczone starym kamiennym murkiem, a obok stoi ociosany menhir. Wokół zółci się janowiec.

– Zróbmy sobie dziecko, Henri – mówi Eddie.

Tak pięknie wygląda w tej białej sukience. Kiedy stoimy w osiemsetletniej kapliczce Świętego Samsona, na skórze Eddie pojawia się gęsia skórka. Drobne wypukłości układają się w misterny wzór.

– Czas płynie tu inaczej – szepcze.

– Rozrzedza się – dodaje. – Istnieją miejsca na świecie, w których dzieją się niezwykle rzeczy.

– Jeśli zagubimy się w różnych czasach, spotkamy się tutaj – szepcze mi Eddie do ucha. – Dobrze?

– Tak – odpowiadam. – Kocham cię. Wybacz mi, jeśli czasem popełnię błąd.

– Przestań myśleć schematami – mówi. – One w niczym nie pomagają.

Trzeba żyć, rozumiesz? Po prostu żyć.

Jeszcze raz pijemy ze źródelka. Morze przybrało dziś turkusową barwę, tu i ówdzie przystroiło się pianą delikatną jak koronka. Wiatr smaga fale Atlantyku, które zderzają się z wodami kanału La Manche, a między te dwie wielkie siły wciska się spienione Iroise. To najpiękniejsze morze na świecie i oglądam je z najpiękniejszą kobietą na świecie.

Następnego dnia jedziemy dalej wzdłuż wybrzeża. Chcę pokazać Eddie wszystko: Le Conquet, Saint-Mathieu, Baie des Trépassés, czyli Zatokę Umarłych, i Île-de-Sein, gdzie czas jeszcze bardziej się rozrzedza, a wszystkie nieprzeżyte życia spotykają się i nic już nie może ich rozłączyć.

Trzymając się za ręce, idziemy ścieżką po porośniętym trawą klifie, po którym przed wiekami chodzili celnicy i szmuglerzy.

Potem wspinamy się na skały.

Jesteśmy sami, nadszedł czas obiadu. Wszyscy siedzą nad talerzami i miskami, cieszą się życiem i jedzą przepyszne lokalne potrawy. Małże à la marinière, homara, wargacza i dorsza.

Całuję ją. Koniuszek jej języka jest delikatny i ciepły. Obejmuję moją pannę młodą i szepczę jej do ucha, że znam miejsca na tym dzikim wybrzeżu, gdzie zobaczą nas tylko pikujące mewy.

Znajdujemy płaski, gładki i ciepły kamień. Eddie kładzie się na nim na plecach i rozchyła dla mnie swoje opalone nogi.

Odwracam się plecami do morza. Słońce ogrzewa moje ramiona i kark.

Jestem w niej tak głęboko, że nie czuję już granicy naszych ciał.

W ustach mam sól i chce mi się pić. Nachylam się, żeby pocałować Eddie, ona przywiera do mnie. Jej łono jest miękkie, ciepłe i śliskie, zaczynam poruszać się w rytmie fal uderzających o klify, jednostajnie, ale nie za szybko.

– Kocham cię – mówię, patrząc w jej otwarte oczy.

– Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym życiu i wszystkich kolejnych.

Patrzy na mnie tak, jakby to ona mnie brała. Bierze mnie. Bierze mnie. Bierze mnie i otacza. Wciąga mnie w siebie, zaprasza do środka, a moja dusza wnika do jej wnętrza. Kiedy tryskam, nagle czuję za plecami wielką ścianę chłodu. Cień spada na mnie z impetem i fala jak ogromna, płaska dłoń zagarnia mnie z całą mocą.

Spadam, płynę, otaczają mnie światła, barwy i głosy, płynę, jakbym wiosłował coraz szybciej w ogromnej rurze, schodzę coraz niżej, spadam, coraz szybciej, spadam i...

DZIEŃ 39

EDDIE

Henri!

Budzę się, gdy odpływają ostatnie fale orgazmu. Leżę na plecach, z dłońmi przy głowie. Podniecenie wzbierało we mnie jak niewidzialna fala, która sunie po morskim dnie, a potem wznosi się ku górze, coraz wyżej i wyżej. W moim ciele coś zapłonęło, nie wiem co, nigdy wcześniej nie miałam orgazmu we śnie. Mam czterdzieści cztery lata i po raz pierwszy wypadam poza krawędź śnionego pożądania prosto do rzeczywistości.

Obok mnie śpi Wilder, a ja czuję w łonie ciepłą, pożądliwą dłoń, która rytmicznie zaciska się i rozluźnia.

Jestem odprężona, na ustach czuję sól. Przespałam się z Henrim. Mówi mi to moje ciało. To nie sen, to rzeczywistość. Wciąż czuję na sobie ciężar Henriego. Czuję go w sobie. Jestem kochana.

Czy Wilder jeszcze śpi? Obudziłam go?

Wypowiedziałam na głos imię Henriego. Mój głos jeszcze dźwięczy mi w uszach. Wyczuwam na moich wargach jego usta, ich ciepło, lekki ucisk, oddech. Zawsze był ciepły jak piec, pełen ognia. Istnieją kamienie, które potrafią przechować ciepło przez tysiące lat.

Senne obrazy rozpływają się jak dym.

I nagle: wydaje mi się, że silny nurt wyrывa go z moich objęć i zabiera mi go.

To nie ma sensu!

Jestem tutaj. W tej rzeczywistości Henri zapadł w śpiączkę i znowu dostał poważnego zapalenia płuc, które coraz bardziej oddala go od życia i zbliża do śmierci, na kraniec ostatniego kręgu.

Strach mnie nie opuszcza, ale próbuję go ukryć przed Wilderem. Wiem, że w każdej chwili mogę przekreślić nasze plany na wspólną przyszłość.

Ale inaczej nie potrafię. Nie chcę nawet próbować.

Żyję w rzeczywistości, w której śpię w jednym łóżku z mężczyzną, który nie wie, że od prawie pięciu tygodni codziennie widuję Henriego. W tym świecie nie potrafię przewidzieć następnego dnia.

Narasta we mnie intensywne, gorzkie przeczucie, że zaprzepaściłam coś bardzo ważnego. Teraz śmiech, piękne miejsca i kolejne dni straciły jakikolwiek sens. Na mojej piersi, na brzuchu i szyi kładzie się przygniatający smutek. Tonę w nieprzeniknym mroku jak w ciemnym, głębokim jeziorze.

Czy Henri umarł?

Słucham oddechu Wildera, który leży obok mnie w ciemności, z nogą na mojej nodze. Przyciskam zaciśniętą dłoń do ust.

Odsuwam nogę Wildera tak ostrożnie, jak tylko potrafię, i wstaję.

Ból staje się nieznośny. Przez wiele miesięcy nie wiedziałam, czy zdołam przeżyć, nie widząc Henriego. Nie dotykając go. Nie mogąc z nim porozmawiać. Bez jego uśmiechu, spojrzenia i dotyku jego rąk.

Nie czując się już kochana.

Zawód miłosny to śmierć, potem długo pozostaje się w letargu.

Idę boso po starych woskowanych deskach do przestronnej kuchni, napełniam dużą filiżankę wodą z kranu i wypijam duszkiem. Woda ma słonawy smak, jak usta Henriego, kiedy mnie całował.

Mój mąż nie żyje.

Nie mam pojęcia, czemu coś takiego przychodzi mi do głowy. Mój mąż? Henri nie jest moim mężem.

Ten dziwny, intensywny sen. Byliśmy małżeństwem, nasze życie potoczyło się inaczej.

Kapliczka z czerwonymi drzwiami stała na zielonym klifie. Patronem tego nadmorskiego kościółka jest święty Samson. Tam mieliśmy się spotkać, gdybyśmy się zagubili. Taka była umowa.

Pojutrze Wilder wyjeżdża do Ameryki na tournée promocyjne swojej nowej książki zatytułowanej *Już wkrótce*. Opowiada o ludziach, którzy bez zapowiedzi zniknęli ze swojego życia. On ich odnalazł i opowiedział ich historie. To rozdierające serce opowieści o końcach i początkach.

Profesor w trakcie kolacji wychodzi z domu i zaczyna żyć w leśnej głuszy w Kanadzie. Kobieta w czasie wakacyjnej podróży pociągiem twierdzi, że idzie do toalety, ale wysiada na pierwszej stacji. Golfista idzie do lasu po zgubioną piłeczkę i nigdy nie wraca. Chora dziewczynka ucieka nocą ze szpitala, żeby zobaczyć morze.

Czuję ulgę, że Wildera nie będzie przez kilka tygodni. Będę mogła spać w szpitalu, przy Henrim. Nareszcie, nareszcie, nareszcie. Nie chcę przegapić momentu, kiedy się obudzi. Ale i tak dręczą mnie wyrzuty sumienia, że planuję spędzić czas z Henrim jak z potajemnym kochankiem.

DZIEŃ 40

SAM

Coś się zmieniło.

Zauważam to tuż po wyjściu z windy na piątym piętrze.

Na końcu korytarza skumulowały się niepokój, lęk i irytacja. W pokoju Madelyn zajmują się nią Benny, Dmitri i jeden z „gazowników”.

Siostra Marion ma maseczkę chirurgiczną i rzuca mi przez ramię spojrzenie, które mówi: „Tylko ciebie tu jeszcze brakowało”. Ale wyprasza mnie bardzo spokojnym tonem:

– Sam, możesz poczekać na zewnątrz?

– Co się dzieje?

– Poczekaj na zewnątrz.

– Co się dzieje z Maddie? Co z nią? Siostrzo Marion? Siostrzo Marion!

Nie odpowiada, a Benedicta i Dmitri szybko i sprawnie podłączają do ciała Maddie kolejne aparaty. Przygotowują wenflony i umieszczają je na grzbiecie jej dłoni i obojczyku. Nagle Madelyn zaczyna przypominać mojego ojca, stale nadzorowana przez maszyny, pochwycona w sieć urządzeń kontrolnych. Jedno z nich mierzy poziom saturacji krwi, a jego sygnalizator migocze znacznie szybciej niż u mojego taty. Krew Maddie zawiera o wiele za mało tlenu.

Zamknęła oczy, jest blada i spocona.

– Od kiedy ma problemy z oddychaniem? – pyta anestezjolog, którego widziałem już na intensywnej terapii, jak kontroluje głębokość śpiączki farmakologicznej.

– Dwadzieścia pięć minut – odpowiada pielęgniarz. – Właśnie robimy wymaz i biopsję. Ośrodkowe ciśnienie żyłne wciąż spada.

– Mamy najwyżej godzinę, żeby podać jej właściwy antybiotyk i sześć godzin na ustabilizowanie krążenia. W przeciwnym razie... – Benedicta urywa, widząc mnie w drzwiach. Jej zdenerwowanie wypełnia całe pomieszczenie.

Marion delikatnie wypycha mnie na korytarz.

– Mogę do niej podejść? Błagam.

– Sam, nie ma mowy. Mamy tu sytuację kryzysową, rozumiesz?

Tak, niestety rozumiem aż za dobrze. „Sytuacja kryzysowa” to katastrofa.

Rozsuwają się drzwi windy, z której wychodzi doktor Foss, a za nim Bóg.

Wizyta tego drugiego to zły znak, bardzo zły znak.

Przygląda mi się zaledwie przez pięć sekund, mijając mnie i wchodząc do pokoju Madelyn. Ale w ciągu tych pięciu sekund zaczynam rozumieć, co się tak naprawdę dzieje.

Wydarzenia rozgrywają się teraz w zwolnionym tempie, krew zamarza mi w żyłach i odnoszę wrażenie, że Bóg przez tysiąc lat mówi do mnie, że zupełnie nie

wie, co zrobić, bo nigdy wcześniej nie zajmowali się takim przypadkiem jak Maddie.

– Mamy bardzo niewiele czasu na wybór właściwej terapii – oznajmia doktor Saul swojemu zespołowi. – Proszę podać antybiotyk o szerokim spektrum i środek przeciwgrzybiczny. Niech farmaceuta przygotowuje świeży antymikrobiotyk. Proszę podnieść jej łóżko, nie powinna leżeć płasko. Infuzja dożylna z krystaloidami. Na początek trzydzieści mililitrów, musimy podnieść ciśnienie żyłne. Wynik posiewu? – pyta na koniec cicho i spokojnie.

– Jeszcze nie przyszły wyniki.

– Usunęliście krew z cewnika? To jedna wielka pożywka dla bakterii.

– Tak, ale wynik jest negatywny.

– Siostrzo Marion, cukier w moczu?

Siostra Marion kręci głową. Jest blada z przerażenia.

– Podejrzewam, że to infekcja pęcherza – wtrąca się doktor Foss.

– Badanie moczu tego nie potwierdza, doktorze Foss. A jak wyglądają jej zęby?

– Dobrze. USG nie wykazało, że ognisko choroby jest zlokalizowane w jamie ustnej. Na razie nie potrafimy ustalić przyczyny posocznicy – odpowiada doktor Benedicta.

– Czemu, do cholery, tak długo trwa badanie krwi? Pobieramy płyn mózgowo-rdzeniowy! – Bóg mówi podniesionym głosem.

Siostra Marion ostrożnie przewraca Maddie na bok i dezynfekuje skórę w okolicy kości ogonowej. Doktor Foss zakłada gumowe rękawiczki i grubą igłą robi nakłucie poniżej krzyża. Napęlnia płynem trzy próbówki. Bóg uważnie obserwuje procedurę, a potem podnosi jedną z próbek i patrzy na nią pod światło.

– Przejrzysta – mówi. – A więc to nie zapalenie opon mózgowych.

– Może zrobimy tomografię? – proponuje doktor Foss.

– Nie wytrzyma transportu – odpowiada Bóg. – Niby skąd w jej organizmie wzięłoby się ciało obce wywołujące stan zapalny? Pacjentka leży tutaj od pół roku.

– Może przemieścił się jakiś odłamek, który utkwił w ciele w czasie wypadku?

Bóg zastanawia się przez chwilę i w końcu kiwa głową.

– Ale musimy ją najpierw przetransportować i ustabilizować. Niech farmaceuta się pospieszy. Sam podam lek. Proszę się zabierać do roboty!

– Proszę pana! – wołam do Boga, kiedy wychodzi z pokoju.

Odwraca się. Ma głębsze niż zazwyczaj zmarszczki, a jego dwukolorowe oczy są zaczerwienione. Posyła mi lodowate spojrzenie.

– Valentiner, czego chcesz? – pyta cicho.

– Prosiłem... prosiłem Maddie, żeby przekazała mojemu tacie, jeśli go

spotka, że...

Milknę. Bóg jest zmęczony.

– Co, Valentiner? Co ma mu przekazać?

– Że wiem, że chciał się ze mną spotkać.

Bóg kiwa głową. Przesuwa po twarzy dłonią, która zatrzymuje się na jego wargach. Taki gest, żeby powstrzymać się przed wypowiedzeniem słów cisnących się na usta.

– Valentiner, lubię cię, ale teraz zachowujesz się jak dziecko, którym zresztą wciąż jesteś. To nie twoja wina. Madelyn ma posocznicę, zakażenie krwi. Nie wiemy, jak do tego doszło. – Dotyka lekko mojego ramienia. – Sam – dodaje bardzo cicho. – Madelyn i twój tata przebywają każde w swoim świecie. Bardzo daleko. Rozumiesz? Nie istnieje miejsce, w którym mogliby się spotkać, choć takie wyobrażenie mogłoby nam dodać otuchy.

– Nie?

– Oczywiście, że nie.

Kiedy patrzę na odchodzącego Boga, pieką mnie oczy.

Słyszałem krzyk mojego ojca.

Czuję, że Madelyn czegoś szuka i właśnie dlatego przestała się izolować.

Wiem to, choć nie uda mi się tego udowodnić.

Może skończę jako wariat. Może już dawno zwariowałem. Wiem, że synidioci często wpadają w obłęd, bo nie potrafią – nie potrafimy – poradzić sobie z intensywnością życia. Z natłokiem odczuć i wrażeń.

Po chwili Dmitri i Benedicta przewożą korytarzem Maddie na ruchomych noszach. Idą szybko w kierunku windy i znikają za drzwiami. Winda połyka Maddie, a na panelu nad drzwiami zapala się dwójka.

Intensywna terapia.

Podchodzi do mnie siostra Marion.

– Idź do domu, Samuelu – mówi łagodnie. – Oni się zaopiekują twoją dziewczyną.

Moją dziewczyną.

Tak. Maddie to moja dziewczyna.

– Co teraz będzie? – pytam szeptem.

– Spróbują ustalić przyczynę zakażenia krwi. Jest wiele możliwości. Bakterie, grzyby, ciało obce, wirusy, zapalenie opon mózgowych...

Z niepokojem spogląda na duży zegar wiszący na ścianie.

Jej niepokój narasta.

– Dlaczego muszą się spieszyć? – pytam, czując wzbierającą jasnoczerwoną panikę.

Mięśnie szczęki siostry Marion tężeją.

– Posocznica w szpitalu jest poważniejsza niż zwyczajne zakażenia. Tu jest

mnóstwo zarazków, grzybów i bakterii opornych na antybiotyki. Doktor Saul musi w ciągu pół godziny zastosować odpowiednią terapię i wybrać antybiotyk, który zwalczy przyczynę stanu zapalnego, jednocześnie nie niszcząc doszczętnie systemu odpornościowego Maddie. Rozumiesz?

Pół godziny? A jak podejmie niewłaściwą decyzję? Och, nie, błagam, nie!
Antybiotyki zabijają też dobre komórki. Uczyliśmy się o tym na biologii.

– Doktor Saul to ekspert. Naprawdę.

– Ona... umrze?

– O tym zadecyduje następne sześć godzin. I noc.

Tylko sześć godzin i jedna noc.

Za sześć godzin muszę być w domu.

Za sześć godzin mama weźmie prysznic i napije się wina.

Nie mogę teraz stąd wyjść!

– Zawsze się bałam, że stanie się coś takiego – mówi siostra Marion, bardziej do siebie niż do mnie. – Że Maddie podejmie decyzję.

– Jaką decyzję? – pytam.

– Wybierze drogę, Sam. Odejdzie albo wróci do nas.

Mam ochotę powiedzieć: „Nie, to niemożliwe!”. Ona uciekła, opuściła miejsce, w którym przebywała przez tyle miesięcy. Sama, otoczona nieprzenikalną warstwą. Teraz wraca do swojego „ja”, ale nie idzie prostą, tylko okrężną drogą.

Ale może się myłę.

Może się oszukuję, myśląc, że Maddie zanurzyła się głębiej tylko po to, by za chwilę do mnie wrócić. Chcę zobaczyć, jak jej spojrzenie się zmieni, kiedy spojrzy na mnie i po raz pierwszy mnie zobaczy.

Tak się boję, że nie polubi mnie tak jak ja ją.

Ale jeszcze bardziej boję się, że już nigdy nie otworzy oczu.

Nie mogę teraz wrócić do domu.

Ściemnia się.

Mój telefon wibruje, ale nie odbieram.

Scott przysłał mi wiadomość na WhatsAppie. W odpowiedzi błagam go, żeby skłamał i powiedział mojej mamie, że jestem u niego.

Telefon znowu wibruje. Mama zostawia mi wiadomość. Życzy mi i Scottowi, żebyśmy się dobrze bawili w kinie.

Jeśli Maddie odejdzie, odejdę razem z nią.

Nikt nie wie, gdzie jestem.

Nikt nie wie, gdzie jest Maddie.

Jakby się przygotowała do całkowitej transformacji.

HENRI

... już nie tonę. Zatrzymałem się?

Pęd. Szum. Głosy. Kolory.

Nie wolno odwracać się plecami do morza. To zasada numer jeden.

Siadam, nade mną rozpościera się niebo, jak czarna kopuła, która mnie przykrywa. Boli mnie klatka piersiowa, na skórze okrywającej żebra i obojczyki pojawiają się siniaki.

Każdy oddech sprawia mi ból.

Czuję się, jakbym przeciskał się przez bardzo długą rurę z ostrymi spawami w środku.

Zniknął horyzont, niebo i morze połączyły się ze sobą. W górze w ciemności świecą nieruchome gwiazdy, w dole, w mrocznej głębinie gwiazdy pulsują, jakby poruszały się na morskich falach w rytmie bicia serca. Słyszę zbliżający się przypływ, który w ciemności otacza mnie i unosi.

I nagle wszystko do mnie dociera.

Wszystko.

Kropla po kropli, jak palący kwas, wżera się we mnie świadomość, że tonę w Morzu Umierających.

Znowu.

Znowu to morze, łódź i nieskończoność! Już tu byłem! Znowu uderzam wiosłami o fale. Lodowata dłoń wnika w moją obolałą, posiniaczoną klatkę piersiową i ściska mnie za serce.

Może już mnie grzebią, bo nie zauważyli, że jeszcze żyję?

Próbuję sobie przypomnieć, co było wcześniej, myśli zderzają się i stają sobie na drodze.

Gdzie byłem, zanim się tutaj znalazłem? Gdzie? Kim byłem? Czy raczej kim jeszcze byłem?

Nagle wszystko do mnie dociera.

Wszystko.

Żyłem tak wiele razy. Zostałem uwięziony między światami, w pętli nieskończonych powtórzeń. Ojciec miał rację od samego początku, ale ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak niebezpieczne są wędrówki w strefie między życiem i śmiercią.

Jako mężczyzna, duch, demon. Jako nikt.

Trzeba było od razu przejść przez drzwi.

Może to właśnie piekło. Tak, to na pewno piekło. Przeżywanie kolejnych wariantów tych samych wydarzeń, ciągle powroty do początku, te same i nowe błędy i znowu powrót na start. I za każdym razem zapominam, że już kiedyś to

wszystko przeżyłem.

Jakie życie mam za sobą? Jaki cholerny świat zostawiłem?

Świat, w którym Sam się nie narodził?

W którym Eddie, moja żona, umiera w swoje czterdzieste czwarte urodziny? Bo się pokłóciliśmy, a ona pijana jechała nadmorską drogą. Często piła whisky, bo przeze mnie była nieszczęśliwa. Siedziała w samochodzie, który zjechał z urwiska, szybował przez chwilę w kierunku nieba, a potem zaczął spadać i wreszcie rozbił się o skały. Czy to był najlepszy z możliwych światów, w którym mój ojciec nie umarł i mógł wziąć na ręce swoją wnuczkę, Madeleine Winnifred Skinner, której drugie imię daliśmy na cześć babci Eddie.

A może zdarzyło się to w świecie, w którym powiedziałem Eddie, że jej nie kocham i nigdy nie zobaczyłem mojego syna?

Jak mogłem zmarnować sobie życie, ze strachu powtarzając w kółko „nie”? Odmawiałem w najmniej odpowiednich momentach, a kiedy trzeba było powiedzieć „tak”, mówiłem „nie wiem”. Gdybym tylko potrafił się zorientować, kiedy należy powiedzieć „tak”!

Krzyczę z rozpacz, bo ani razu nie zorientowałem się, co robię źle. Osuwam się na kolana i zwijam się w kłębek.

Dopada mnie pragnienie. Pić. Chcę oranginę, wodę albo zimną colę. Tak bardzo chce mi się pić.

Gdybym spał, obudziłbym się, patrząc na własne dłonie. Podnoszę ręce, choć wiem, że tak naprawdę nie istnieją, że są zupełnie nieruchome, a może w ogóle ich nie ma. Nikną w ciemności, stają się niewidzialne.

Fale zbliżają się do małej niebieskiej łódki, powarkując jak wielki, zirytowany pies.

Rozkołyszmy tę łódkę! Przewróćmy ją!

Pobawmy się!

Wszystko mi jedno. Niech morze mnie pochłonie!

Jednak fale zostawiają mnie w spokoju. Morze się rozjaśnia jak okiem sięgnąć. Znowu widzę unoszące się na falach postacie, w dziwnych pozach, na szeroko rozstawionych nogach, z rozpostartymi ramionami. Wyglądają, jakby spały na stojąco. Wyłaniają się z przepastnej głębin, podtrzymywane przez delikatne, ale mocne nici. Niektóre są nagie, inne są ubrane w koszule powiewające na wietrze. Mają zamknięte oczy.

Kim są? To umarli mieszkający w morzu od stuleci, zostali tu, kiedy ich statki zatoniły.

– Nie, oni śnią – mówi dziewczyna.

Siedzi na czarnej skale, która wyrasta za mną jak kamienna ściana. Odślonił ją odpływ. Dwa razy dziennie zakrywa ją woda, dlatego do jej boków przywarły czarne muszle. Za kilka godzin poziom wody znowu się podniesie.

Dziewczyna ma oczy jak błękitne kryształy i piękne blond włosy. Ma około jedenastu lat, a smutek w jej oczach łamie mi serce.

– Jak się tu znalazłaś, dziecko?

– Umieram – oznajmia dziewczynka. – Tak jak ty.

– Nie – odpowiadam zdecydowanie. – Nie umierasz. Ja też nie. Możemy jeszcze wrócić. Tak długo, jak jesteśmy na morzu, możemy wrócić.

– Znasz drogę? – pyta takim tonem, jakby zdawała sobie sprawę, że nic nie wiem. Ani skąd się tu wziąłem, ani jak wrócić.

Kręcę głową. Moje serce bije mocno. W jego zagłębieniach i komorach czai się strach. Boję się, że nie uratuję tego dziecka, tak jak nie potrafiłem ochronić własnego.

– Chodź, pomogę ci zejść ze skały – mówię do dziewczynki.

Wstaję i wyciągam do niej rękę. Łódka się kołysze.

Mała się nie rusza, tylko patrzy na mnie z góry.

– Dotknął cię kiedyś duch? – pyta mnie.

– Chyba nie – odpowiadam. – Chodź! Skacz! Złapię cię.

Ona patrzy na morze.

– Moja matka mnie dotknęła – mówi. – Zaraz po tym, jak umarła, próbowała mnie pogłaskać. Jej duch. Tutaj. – Dziewczynka pokazuje na policzek. – Czułam, że ona znika, rozprasza się, unoszą ją wiatr i morze. Staje się stronami czytanej przeze mnie książki, muzyką, do której tańczę. Tak wygląda umieranie. Stajesz się tym, co kochasz.

– Nie umierasz – powtarzam bezradnie. – Chodź! Znajdziemy drogę.

Posyła mi dziwny, smutny uśmiech.

– Co najbardziej kochasz? – pyta mnie.

Nigdy nie potrafiłem kochać, ale teraz tak bardzo Kocham życie! Tak bardzo mi go brakuje.

– Umarli nie wiedzą, czy przebywają w krainie życia, czy śmierci. Ostatecznie między tymi światami nie ma żadnej różnicy. Śmierć przypomina sen, w którym nie zdajesz sobie sprawy, że śniesz – szepcze dziewczynka.

– Chodź – powtarzam, wyciągając do niej rękę. – Proszę, chodź. Nie musisz umierać.

Patrzy na mnie tymi pięknymi, krystalicznymi oczami i krzyczy donośnym głosem:

– Chcę umrzeć! Ale to takie trudne. Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie potrafię. Nie wiem, jak to zrobić.

Zakrywa dłońmi swoją piękną twarzyczkę i płacze, a jej wąskie ramiona się trzęsą. Chcę ją pocieszyć, ale nie dosięgam nawet do jej stóp, a skała jest śliska i wysoka. Mogę tylko stać w mojej małej, rozkołysanej łódce i patrzeć na płaczące dziecko, które chce umrzeć.

– Przez całe życie byłam tancerką – mówi przez łzy, nie odsłaniając twarzy.
– Tańczyłam Klarę w *Dziadku do orzechów*. – Trzęsie się od płaczu. – Pewnego razu, kiedy tata nie pojechał autostradą, tylko inną drogą, w czasie pikniku wpadłam do rowu i złamałam nogę w kostce. Nie mogłam dłużej tańczyć Klary. To było takie piękne lato, tata mnie wszędzie nosił na rękach. W innym życiu byłabym dorosła, miałabym dzieci i męża o imieniu Sam. Samuel.

Samuel!

Serce pęka mi na tysiąc kawałków.

Dziewczynka powoli odsłania twarz, jasną i czystą, jakby obmyły ją łzy.

– Mam dla ciebie wiadomość od Sama. On wie, że chciałeś do niego przyjść. Czekał na ciebie. Widzi ciebie i mnie.

Dziewczynka wstaje i nabiera powietrza. Z gracją baletnicy skacze ze skały w ciemną wodę, na której powierzchni kołyszą się gwiazdy. Wciąga ją toń, spada coraz niżej ku śpiącym w głębi cieniom.

Nagle widzę, jak z ciemności wyłania się jeszcze jeden cień, który niczym syrena pod pływa do dziewczynki.

Klękam na dnie kołyszącej się łodzi, próbując odpędzić cień.

– Odejdź! Zostaw ją! – wołam.

Widzę, jak cień łapie dziecko za stopę i wciąga je głębiej, jego długie, ciemne palce chwytają łydki dziewczynki. Włosy długie jak wodorosty oplatają jej ciało. Widzę, jak dziecko wije się i wyrывa, ale cień trzyma je coraz mocniej. Razem spadają w ciemną toń.

Mała już nie próbuje się uwolnić.

Spogląda na mnie.

Ma otwarte oczy, jak mój ojciec, kiedy zabierało go morze. Patrzył na mnie tak wymownie, kiedy wciągała go ciemna woda. A ja nie zrobiłem nic, zupełnie nic.

Moje serce krzyczy ze strachu. Ale nie mam wyboru.

Nabieram powietrza i skaczę na główkę do wody.

Jest lodowata, słona i tak dobrze znana.

W cichej i ciemnej głębinie coś na mnie czeka, podnosi głowę i przygląda mi się, kiedy próbuję dosięgnąć dziewczynki.

Po raz pierwszy chwytam mnie skurcz w łydce, jakby ścisnęła ją zimna, mocna dłoń. Czuję ogromną moc morskiego prądu, który kieruje się w stronę Atlantyku i płynie tysiące kilometrów dalej.

Dziewczynka patrzy na mnie, widzę jej twarz i oczy jak dwa morza, które łączą się z wodami oceanu. Czai się w nich rozpacz, jakby zupełnie nie spodziewała się takiego obrotu spraw. Wygląda tak, jakby chciała wrócić w kierunku niknącego nad naszymi głowami światła, majaczącego nad falami. Czuję piekący ból w płucach i pulsowanie w głowie.

Drugi skurcz.

Nie wystarczy mi sił.

Zanurzam się coraz głębiej. Kiedy już nie czuję stóp, nóg, brzucha i twarzy, istota, która trzyma dziecko w żelaznym uścisku i ciągnie je w dół, odwraca się i patrzy na mnie.

Rozpoznaję ją.

Patrzy na mnie, a jej spojrzenie jest jak światełko pulsujące w ciemności. Po chwili zbliża się prąd. Nie mogę zejść niżej, potrzebuję powietrza, muszę wracać do światła! Tylko na chwilę, potem spróbuję jeszcze raz, do skutku!

Płynę w górę i już widzę światło tańczące na falach. Płuca bolą mnie tak, jakby za chwilę miały eksplodować. Potrzebuję powietrza! Zaraz się wynurzę, wyciągam rękę w górę i z całych sił poruszam nogami. Zaraz nabiorę powietrza, moje palce już prawie rozrywają fale. Nagle uderzam o przezroczystą powierzchnię.

Panika!

Próbuję nie otwierać ust, ale robię to mimowolnie, potrzebuję powietrza. Połykam wodę, morze mnie wypełnia.

Eddie! Pomóż mi, błagam!

EDDIE

Wilder chce, bym mieszkała w jego świecie. Omawia ze mną swoje teksty, pozwala mi je czytać. Przedstawił mnie swojej matce, dla której deklaracja miłości to za mało. Ona okazuje uczucia. Z radością prasuje synowi koszulę, karmi go, mówi mu, jaka jestem piękna i miła i co jej się podobało w jego ostatniej książce. Istnieją ludzie, którzy we wszystko, co robią dla innych, wkładają miłość, jakby do każdego daru potajemnie, z łobuzerskim uśmiechem dołączali kopertę pełną uczucia.

Pozwalam się wciągnąć w ten związek. Czasem zapominam, kim naprawdę jestem. Upajam się życiem Wildera, chłonę je, chodzę z nim na spotkania z ludźmi, których zawsze unikałam: wydawcami, którzy urzędują w pięciopiętrowych biurach przy Victoria Embankment, a ich firmy mają filie w Nowym Jorku, Berlinie i New Delhi, z sędziami występującymi w telewizji, z dziennikarzami, z których zdaniem liczy się opinia publiczna. Ludźmi, którzy są ważniejsi i bardziej znani ode mnie. W ich towarzystwie mogę się ukryć i chłonąć życie. Dzięki nim przestaję myśleć o zapaleniu płuc Henriego, wywołanym przez bakterie z cewnika, o skurczu jego stopy, o manuskryptach, które czytam zbyt pobieżnie i o Samie, o którego się martwię, bo tak szybko dojrzał.

Mój świat wewnętrzny nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Na zewnątrz uważnie słucham, robię zaciekawioną minę i kiwam głową w odpowiednich momentach.

W środku myślę tylko o Henrim.

Nauczyłam się rozpoznawać na ulicy ludzi noszących w sobie dwa światy. Patrzą, ale nic nie widzą. Już nie dostrzegają piękna świata, absorbują ich tylko ich własne zmartwienia, cały czas pozostają w swoim wewnętrznym świecie. Kiedy udaje mi się spojrzeć im prosto w oczy, na chwilę przestaję się wstydzić, że ja też noszę maskę. Moje ciało jest tutaj, ale moje myśli i uczucia są cały czas w szpitalu.

Z przyklepionym uśmiechem piję lodowate francuskie wino i udaję, że, ach, jakże interesuje mnie ta bardzo grzeczna rozmowa.

Nagle wyczuwam jego obecność. Jest tak blisko. Słyszę go!

„Eddie! Pomóż mi, błagam!”

Jak za sprawą magii przez chwilę go widzę. Stoi za stołem, na końcu pokoju, w cieniu lampy. Jego twarz wykrzywia bolesny grymas.

Panika. Ogromna panika. Henri uderza o szklane wieko trumny.

Nie, Edwinno. Nie. Jesteś przemęczona i dlatego słyszysz głosy. Nie zwracaj na nie uwagi.

„Eddie! Pomóż mi, błagam!”

Znowu słyszę Henriego tak wyraźnie. Nie jestem pijana, wypilałam zaledwie

łycek wina. Muszę stąd natychmiast wyjść.

– Wybaczcie – rzucam, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że rozlega się pisk, kiedy nogi przesuwają się po parkiecie.

Przeraźliwy dźwięk drewna pocierającego o polakierowane klepki. Cichną rozmowy przy długim stole nakrytym białym obrusem, w elegancko urządzonej jadalni w domu wydawcy Wildera. Pan domu, który przed chwilą raczył wszystkich zabawnymi anegdotami, pisarze, którzy dzielili się przemyśleniami, i krytycy z wyczelowanymi bon motami teraz patrzą na mnie. Pewnie spodziewają się, że zdarzy się coś ciekawego, i jednocześnie są oburzeni, że im przeszkodziłam.

Wilder siedzi nachylony do swojego wydawcy, relacjonując mu pomysł na książkę. Teraz jednak odwraca się w moją stronę.

– Wszystko w porządku, Eddie?

Wdech. Wydech!

Wilder podnosi nakrochmaloną serwetkę, która spadła na podłogę, kiedy wstałam.

– Edwinno? – pyta zaniepokojony.

Muszę stąd natychmiast wyjść. Krok za krokiem, poza obszar ciepła i radości, oświetlony przez stojące na stole świece. Spokojnie. Panując nad sobą. Żeby sobie nie pomyśleli, że jestem pijana, wściekła albo szalona.

Oddychać. Wdech. Wydech.

Moje szpilki stukają głośno o parkiet, za głośno, wszyscy w milczeniu odprowadzają mnie wzrokiem. Wyczuwam na sobie ich spojrzenia i nagle mi się wydaje, że za bardzo się wystroiłam.

W przedpokoju przyspieszam kroku, wyciągam z garderoby moją skórzaną kurtkę i wybiegam z mieszkania. Nie wsiadam do windy, zbiegam po schodach, czuję tylko gładką balustradę pod dłonią. Biegnę. Nie mogę już dłużej! Nie mogę siedzieć obok Wildera. Ukradkiem rzucić okiem na ten cholerny telefon, czekając na wieczorną wiadomość od siostry Marion. Zapalenie płuc. Niewydolność nerek. Gorączka. Co wieczór pisze, jaką Henri ma temperaturę i zawsze czekam na wiadomość, że opuścił strefę na granicy ze śmiercią i zbliża się do nas. Do tej pory.

Dziś Marion spóźnia się już czterdzieści pięć minut.

A jeśli Henri nie żyje?

Kiedy zbiegam z trzeciego piętra domu w Kensington i pędzę przez korytarz wykładany białymi i czarnymi kafelkami, słyszę stukot obcasów i dochodzący z góry głos Wildera:

– Eddie!?

Z trudem otwieram ciężkie, prawie trzymetrowe drewniane drzwi, oddycham głęboko i do moich płuc wnika chłodne londyńskie rozwibrowane powietrze, pachnące wilgotnym asfaltem i deszczem.

Wilder. Nie zasłużył sobie na to. Nie wolno mi go okłamywać i upajać się jego życiem tylko po to, żeby na chwilę zapomnieć o innym mężczyźnie.

Takiego faceta nie powinno się traktować jak zastępcę kogoś lepszego.

Tak bardzo bym chciała, żeby wziął mnie w ramiona, a ja wtedy wyznałabym mu całą prawdę.

Minęło dopiero czterdzieści dni. Niektóre kobiety tkwią w takiej relacji latami. Nie wiem, jak to wytrzymują, ale najwyraźniej jakoś im się udaje.

Wilder. Pomóż mi.

Nie. Nie mogę tego od niego wymagać.

Dzwonię domofonem do mieszkania gospodarza przyjęcia.

Nie widzę kamery, ale wiem, że ukrywa się za czarną, wypukłą osłoną obok głośnika. Wilder na pewno mnie obserwuje.

Już słyszę jego głos.

– Eddie, co się stało?

– Ja...

Muszę cię zostawić. Taka jest prawda. Ale nie umiem.

Każdej nocy potrzebuję uścisku twoich ramion. Potrzebuję cię, jesteś moim kochankiem, dzięki któremu potrafię znieść mojego męża, Henriego. To chore? Kocham cię i nie kocham?

Uczucie, które żywiłam do Wildera, było jasne i dobre. To był nowy początek. Inny mężczyzna. Wywoływał we mnie inne emocje niż Henri. Nie kochałam go tak dziko i szaleńczo.

Ale moje uczucia były szczerze i dobre.

A potem wrócił Henri.

Mniej więcej. Raczej mniej. A jednak było go więcej niż poprzednio. Nagle odezwały się we mnie sprzeczne emocje. Dwa rodzaje, dwa kolory, dwa kalibry.

Tak?

– Edwinno?

– Wilder.

Kochany, dobry Wilder. Tak bardzo chciałabym z tobą być.

Tak bardzo jestem związana z Henrim.

Nigdy nie chciałam mieć dwóch mężczyzn.

– Potrzebujesz mnie? – pyta Wilder.

Jego ciepło. Jego bliskość. Jego mądre, życzliwe oczy, twarz ze zmarszczkami mimicznymi, która patrzy na mnie z tyłu plakatów na przystankach autobusowych, od kiedy dostał drugą ważną nagrodę literacką. Jego dłonie, których dotyk sprawia mi tyle przyjemności. Uczucie, że jesteśmy po tej samej stronie życia.

A jednak.

Patrzę prosto w kamerę. Moje oczy odbijające się w czarnej pokrywie są

o wiele jaśniejsze niż w rzeczywistości. Widzę w nich tysiąc białych kłamstw.

Tylko z tego powodu kręcę głową.

Cisza.

– Zdarzają mi się takie chwile – mówi Wilder spokojnie. – Trudno znieść towarzystwo innych ludzi. Zachowywać się. Wtedy trzeba wyjść, żeby się nie udusić. W przeciwnym razie człowiek zaczyna się wściekać, bo wszyscy wymagają od niego, żeby się opanował, dopasował, był grzeczny... zachowywał się. – Wdech, Eddie. Wydech. – Jakoś im to wytłumaczę. Powiem, że ludzie zajmujący się zawodowo literaturą mają swoje dziwactwa. Boże, oni właściwie tego od nas oczekują!

Moje ciało chce biec, ruszać się. Jest mi zimno, ale właśnie tego chcę, dzięki temu nie zasnę i będę pamiętać o oddychaniu.

W ciemności w głośniku rozlega się głos Wildera:

– Mogę bez ciebie żyć, Edwinno Tomlin – mówi. – Ale nie chcę. Chcę z tobą iść przez życie, teraz, rano. Tak długo, jak tylko się da. Kocham cię.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy po raz pierwszy wyznaje mi miłość, patrzy na mnie, ofiarowując mi swoje „ja”, choć nie widzę jego twarzy.

Powinam teraz spojrzeć prosto w obiektyw i powiedzieć, że też go kocham.

W tej chwili to on na to zasługuje.

A ja w ogóle na to nie zasłużyłam.

Całuję swój palec wskazujący i środkowy prawej ręki i bez słowa dotykam nimi kamery.

Biegnę, biegnę i w pewnym momencie łapię taksówkę.

Przez całą drogę powrotną płaczę.

Nienawidzę Henriego.

Kocham Henriego.

Kocham Wildera.

Muszę pozwolić mu odejść.

Nie mogę.

Nie mogę zostać z pustymi rękami, bez miłości, niekochana. Nie dotykając i nie będąc dotykana.

W domu siadam na krześle Henriego i biorę telefon. Zaczęłam nawet potajemnie pić, od kiedy w tajemnicy codziennie chodzę do szpitala Wellingtona.

Tylko troszeczkę, myślę, choć dobrze wiem, że sama siebie okłamuję. Bez przerwy. Na wszystkich frontach. Tymczasem moje drugie „ja” nie opuszcza szpitala i kieruje wszystkie uczucia i całą uwagę na Henriego, czekając, żeby wreszcie się odezwał.

Ale on nic nie mówi. Nic, nic, nic.

Nie mam pojęcia, co on robi za murem ze skóry i ciszy. Nienawidzę tego na wpół umarłego człowieka. Gdyby żył, tobym go zabiła.

Naciskam jedynekę. Szybkie wybieranie. Telefon wybiera siedmiocyfrowy numer i po chwili w słuchawce rozlega się szorstki głos:

– Dobry wieczór, pani Tomlin. Nie może pani zasnąć? Henri też nie – mówi siostra Marion.

Żyje!

Odczuwam taką ulgę, że nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa i zaczynam płakać.

– Pani Tomlin, co się dzieje? Wszystko w porządku? Czemu pani płacze?

– Myślałam, że umarł – szepczę, kiedy odzyskuję głos.

– Nie, nie. Ależ nie. Tak szybko się nie umiera. Henri to wojownik, nie podda się bez walki. Jeszcze nie skończył. Dobrze, że ma panią. Że pani o nim myśli. Myśli też potrafią dać siłę. Będzie pani przy nim przez kolejnych czternaście nocy?

– Tak, oczywiście – odpowiadam.

– Doskonale. To mu dobrze zrobi.

Nie pytam, co siostra Marion miała na myśli, mówiąc: „Jeszcze nie skończył”. Nie mam pojęcia, jak dalej postępować. Muszę połączyć telefon stacjonarny z komórką, żeby Wilder w czasie podróży nie zorientował się, że nie ma mnie w domu. Co powiem Rolphowi, Andrei i Poppy?

Książki. Targi książki.

Życie, umieranie.

Sam.

I Madelyn.

Czuję się tak, jakbym przeskakiwała nad wodą z kamienia na kamień, nie widząc wokół stałego lądu. Jakbym z trudem żonglowała kilkoma piłeczkami. Kiedy się potknę i pierwsza z nich wypadnie mi z ręki, nad pozostałymi też przestanę panować.

Sam jest taki dzielny. Muszę go wspierać.

Nie mogę pod wpływem alkoholu się rozsypać i powiedzieć synowi Henriego, że czasem nie daję rady! Już nie mogę tak dalej, naprawdę, nie wytrzymam dłużej ani chwili.

Wdech. Wydech.

Wstaję i idę dalej.

Jednym haustem wypijam whisky. Siostra Marion mawia czasem, że Henri zbliża się do niej nocą, jakby otaczał go gumowy kokon, kiedy jego funkcje życiowe są stabilne, a ona odczytuje jego „architekturę snu”.

To kolejne pojęcie, którego można się nauczyć, kiedy dociera się do granicy między życiem i śmiercią. Architektura snu.

Brakuje mi mnie samej. Ale przy Henrim wiem, kim jestem. Jak to wyjaśnić?

Słyszę, że ktoś idzie na górę po krętych schodach.

– Muszę kończyć – szepczę do słuchawki.

– Henri jest dziś w nocy bardzo niespokojny – mówi zatroskanym tonem siostra Marion. – Wyleczyliśmy zapalenie płuc, złamane kości się zrastają. Ale i tak podałam mu środek przeciwbólowy i uspokajający. Dziś wygląda na... nieszczęśliwego. – Tak bardzo bym chciała przeniknąć do jego świata. Siostra Marion kontynuuje: – Widzę to w jego ciele. Po tylu latach... Nie wiem, czy pani to zrozumie. Po tylu latach czuwania nad śniącymi potrafię odgadnąć, co czują, patrząc na ułożenie ich ciał. Henri wydał mi się taki nieszczęśliwy, jakby... sama nie wiem. Coś się stało? – Kroki rozbrzmiewają coraz bliżej. – Eddie? Wszystko w porządku?

Wilder staje u szczytu schodów ze zdumioną miną.

– Tak, piję whisky.

Rozłączam się i kładę telefon na stole.

Wilder podchodzi do mnie powoli i patrzy mi w oczy.

– Eddie. Eddie – powtarza szeptem, odsuwając mi kosmyki włosów z twarzy. – Powinniśmy porozmawiać o Henrim – dodaje jeszcze ciszej.

SAM

Na scenie panuje ciemność. Przez zamknięte drzwi prowadzące na widownię dobiegają głosy. Brzmią jak pobrzękiwanie szkła.

Kiedy idę w stronę sceny między rzędami czerwonych składanych krzeseł, zapalają się kryształowe kinkiety na ścianach i w łukowato sklepionych łóżach.

Przechodzę wzdłuż kanału dla orkiestry, balansując na krawędzi, a potem po wąskich czarnych schodkach dostaję się na scenę. Przemykam przez szparę w spuszczonej kurtynie, wchodzę w kulisy, a potem wąskim korytarzem idę do garderoby.

Wiem, że ona tu jest.

Wyczuwam ją.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Wzdłuż ściany ciągnie się rząd luster z bocznym oświetleniem. Przed każdym z nich stoi krzesło obite skórą.

W garderobie kłębi się tłum kobiet i dziewcząt, które właśnie się czeszą, malują i ubierają. Nie zauważają mnie, kiedy przechodzę wzdłuż obrotowych krzeseł. W lustrach mnie nie widać.

Maddie siedzi na samym końcu, jakaś kobieta ją czesze i układa jej włosy w kok. Madelyn ma makijaż, jej oczy zrobiły się ogromne.

– Cześć, Sam – wita mnie cicho.

Jej oczy patrzą z lustra prosto w moje serce.

– Cześć, Maddie – odpowiadam.

W tym momencie uświadamiam sobie, że śnię.

Wreszcie kobiety bez słowa pomagają Maddie założyć kostium. Kiedy wychodzi z garderoby na ciemny korytarz, mija ją biegnący Dziadek do Orzechów.

– Zatańczę partię Klary – wyjaśnia Maddie. Słyszę jej głos, choć ona nie otwiera ust. – Wiesz, o czym opowiada *Dziadek do orzechów*? Klara ma dwanaście lat, już nie jest dzieckiem, ale jeszcze nie kobietą. Żyje między światami. Tak jak ja, Samuelu. Rozumiesz? Ja też utknęłam między światami.

Maddie szybkim krokiem idzie przede mną przez ciemny korytarz prowadzący na scenę. Widzę, jak ciężko oddycha, wyczuwam jej rozedrganie i pulsujący w niej strach.

Wąskie przejście ciągnie się w nieskończoność. Gubimy drogę, Maddie zaczyna biec, przytrzymuje ogromne falbany sukienki, które w ciemności zahaczają o ściany.

Biegnę za nią, jej strach pozostawia na ścianach ślady. Srebrzyste, połyskliwe ślady.

Maddie wygląda tak, jakby nie biegła na scenę, tylko z niej uciekała.

– W tej sztuce Klara zasypia i we śnie po raz pierwszy w życiu tańczy na

pointach. Tak bardzo jej się to podoba. Chce jak najszybciej dorosnąć i przestaje wierzyć w to, że lustra mają dusze. Ale to prawda, Sam. Każda rzecz ma duszę i dlatego zawsze może powrócić.

Nie jestem tego pewien, ale jej rozpacz otacza mnie tak mocno, że mogę odpowiedzieć tylko:

– Tak, oczywiście, Maddie!

Znowu biegniemy, ja za nią, droga coraz bardziej się zapętla, znaleźliśmy się w labiryncie. Pędzimy przez korytarz, gong rozbrzmiewa raz, potem dwa razy.

– Muszę znaleźć scenę! – krzyczy zrozpaczona Maddie.

Przystaje i bije pięściami w ścianę. Patrzy na mnie.

Nasłuchuję. Zamykam oczy i słyszę dochodzący z oddali szum głosów na widowni. Chwytam Maddie za rękę.

– Chodź – mówię.

Pozwala mi się poprowadzić. Idzie za mną, tańcząc na koniuszkach palców, jak Klara z *Dziadka do orzechów*. Czuję, że boli ją to tak, jakby szła po tłuczonym szkle.

Głosy widzów słychać coraz wyraźniej. Zbliżamy się do sceny. Dostrzegam snop światła przecinający ciemność, unoszą się w nim drobinki kurzu. Już widzę czerwoną aksamitną kurtynę, muzycy w kanale stroją instrumenty, kierownik sceny trzyma linę, gotowy do odsłonięcia kurtyny, by Maddie mogła zacząć występ...

Nagle Maddie przystaje.

– Sam – mówi zdyszana ochryłym głosem i mocno ściska moje dłonie. – Tak bardzo się boję.

– Czego, Maddie?

– Wyjść – szepcze i w jej oczach widzę panikę.

– Wychodź, no już!

Stoimy blisko siebie na skraju sceny. Słyszę widzów po drugiej stronie kurtyny, setki ściszonych głosów, prowadzone półszepcetem rozmowy. Czuję promieniujące od nich ciepło. Reflektory na scenie cicho pomrukują. W powietrzu wyczuwam oczekiwanie.

– Widziałem, jak tańczysz. Jesteś piękna, dasz radę – mówię do Maddie.

– Nie, nie potrafię. Nie wyjdę!

Próbuje się odwrócić i uciec z powrotem do ciemnego labiryntu, ale trzymam ją mocno.

– Nie potrafię. Puść mnie. – Znowu próbuje mi się wyrwać.

– Dlaczego? Czego się boisz?

– Będą mnie wytykać palcami. Wyśmieją mnie. Powiedzą: „Ona nic nie umie!”. Uznają, że jestem brzydka.

Patrzy na mnie i z jej oczu wypływają dwie łzy, które zostawiają długie, srebrnoniebieskie ślady na jej białej, delikatnej skórze.

Dociera do mnie, że Maddie nie mówi o tańcu. Chodzi jej o całkiem inny występ i o zupełnie inne „światła rampy”.

– Czego się najbardziej boisz? – pytam.

– Samotności. Odeszli wszyscy, którzy mnie kochali. Nie został nikt.

Z rezygnacją osuwa się na podłogę, na granicy między światłem i ciemnością.

Wystarczyłby jeden krok. Malutki krok w stronę światła i ciepła.

Żeby wrócić do życia.

Wyczuwam w niej ogromną tęsknotę. Maddie tak bardzo pragnie wrócić na scenę i zatańczyć, zobaczyć, jak podnosi się kurtyna, tańczyć, żyć, śmiać się, zatracić się w muzyce, świetle i falach.

Chce żyć. Ale boi się życia bardziej niż śmierci.

– Jestem przy tobie, Maddie – mówię cicho. – Usiądę w pierwszym rzędzie, będę oglądał twój występ i bił brawo. Nikt nie powie, że jesteś brzydka. Lubię cię. Jestem przy tobie.

Ciągnę ją za jedną rękę, potem za obie, ale ona ani drgnie. Kuli się na tyłach sceny. Reflektor jej szuka, a kiedy snop światła dotyka jej ramienia, ona gwałtownie cofa się jak oparzona. Podnosi głowę i widzę jej twarz zalaną łzami. Widzę cierpienie w jej oczach i pęka mi serce. Czuję jej rozpacz, tęsknotę i osamotnienie.

– Co się stanie, jak ty też odejdziesz? – pyta Madelyn.

– Nigdy nie odejdę.

– Każdy kiedyś odchodzi.

Wstaje i oddala się pospiesznie, potykając się w ciemności. Kontury jej ciała się zamazują, biały kostium rozplywa się w mroku, jej ramiona i nogi zamieniają się w cienie zwiewne i delikatne jak piórko i po chwili Maddie znika.

– Nie odejdę! – wołam ściszym głosem. – Słyszysz? Maddie? Maddie! – krzyczę. – MADDIE! Nie odejdę!

Ale ona mnie nie słyszy.

Nie słyszy mnie. A może po prostu mi nie wierzy.

Świt wrywa mnie ze snu. Nie chcę od niej odejść, chcę przy niej zostać, spać przy niej, już zawsze, a jednak...

DZIEŃ 41

SAM

Coś wypycha mnie w górę z szemrzającej, obcej głębi. Budzę się we własnym łóżku. Serce bije mi tak mocno, że czuję pulsowanie w gardle i skroniach.

To nie był sen.

Strach Maddie, jej głos, jej dłonie.

We śnie nie czuje się takiej bliskości. To się działo naprawdę.

Odkrywam kołdrę, ciepło natychmiast się ulatnia, wstaję, choć najchętniej bym do niej wrócił. Jakie mam lekcje dziś rano? Po apelu jest literatura. Mogę się spóźnić. Przecież na apelu nie sprawdzają obecności.

Dziadek do orzechów. Muszę znaleźć ten balet i posłuchać muzyki.

Patrzę na zegarek. Jeszcze wcześniej. Mama zajmuje się Malcolmem i na pewno nie zauważy, że wychodzę wcześniej niż zazwyczaj.

Właśnie zakładam plecak na ramię i ruszam do drzwi.

Odzywa się telefon.

Mama wychodzi z kuchni, widzi mnie, zatrzymuje mnie gestem, odbiera i po chwili mówi:

– Ach, madame Lupion!

Dociera do mnie, że o czymś zapomniałem. Przeoczyłem coś. Nie wziąłem czegoś pod uwagę. Mama słucha i po chwili odpowiada:

– Co? – Milczy przez chwilę. – Nie, ja nie... Ach. Ach, nie. Nic mu nie jest, był u Scotta i... Co? Tak, oczywiście.

Odkłada słuchawkę i dopada mnie, kiedy stoję przed drzwiami.

– Samuelu! – syczy.

Steve, który przed chwilą brał prysznic, zbiega po schodach.

– Co się dzieje? Co słyhać, stary?

W jej oczach błyskają gniew, uraza i rozczarowanie.

– Zupełnie zapomniałam, że masz cukrzycę i trzy razy w tygodniu chodzisz na hemodializę.

– Co? – dziwi się Steve. – Jak to?

– Nie wiedziałam też, że mój syn chodzi na terapię bólu! – mama mówi coraz głośniejsze. – A już zupełnie sobie nie przypominam, żebym pisała ci z tego powodu zwolnienia ze szkoły i nie wiedziałam, że zaważyłeś egzaminy do Saint Paul's! Siadaj. – Pokazuje na krzesło w kuchni. – Siadaj, proszę.

Steve idzie za nami wolnym krokiem. Spogląda pytająco na mnie i na mamę.

Siadam. Matka nigdy na mnie nie patrzyła z takim potępieniem. Mój wstyd nabiera czerwonej barwy.

Do kuchni wchodzi Malcolm.

– Sam? Mamo? – pyta, ale ona odgania go gestem.

– Musisz mamie wszystko wyjaśnić – domaga się Steve.

– Nie masz prawa mi rozkazywać – wyrywa mi się.

– Och. Co to ma znaczyć? – obrusza się Steve.

W kuchni panuje głucha cisza. Słyszą tylko tykanie kuchennego czasomierza. Po chwili zaczyna pomrukiwać lodówka.

Mama jest tak spięta, jakby zaraz miała zacząć krzyczeć. Albo mnie uderzyć. Tymczasem robi coś, czego bym się nigdy nie spodziewał.

Przysuwa sobie krzesło, siada i bierze mnie za ręce.

– Samuelu! Kocham cię, od kiedy przyszedłeś na świat. Czasem zachowujesz się dziwnie i oddalasz się ode mnie, od kilku lat coraz bardziej. Ale i tak cię kocham. – Po policzkach płyną jej łzy. – Wierzę, że potrafisz wyjaśnić swoje postępowanie.

Teraz ja też zaczynam płakać. Od jak dawna nie trzymaliśmy się za ręce? Ostatni raz, kiedy byłem mały.

– Samuelu, powiedz mi, co cię skłoniło do... – szuka odpowiednich słów, że zapytać, dlaczego sfałszowałem jej podpis pod zwolnieniem z lekcji – ... takiego postępu? Czemu przestałeś chodzić do szkoły i oblałeś egzaminy? Proszę, wyjaśnij mi to.

Czeka, trzymając mnie za ręce, jej ciepło i troska otulają mnie i koją.

– Boisz się któregoś z kolegów? Ktoś cię nęka? A może...

– Co? – Naprawdę zabiła mnie z tropu. – Nie!

Z ulgą wypuszcza powietrze z płuc.

A mnie dopadają wstyd i potworne wyrzuty sumienia.

Ale nie z powodu moich kłamstw.

Głupio mi, bo podejrzewałem mamę, że nie kocha mnie tak bardzo jak ja ją i potrafiłaby mnie porzucić. Nawet nie przyszło mi do głowy, że się o mnie tak bardzo martwi.

– Boisz się egzaminów? – pyta Steve, co tylko pogarsza sytuację.

Kręcę głową.

– Chodziłem do szpitala do taty – odpowiadam.

– Och – wzdycha mama.

Opada na oparcie krzesła. Puszczą moją dłoń, ale natychmiast ją łapie.

Znowu słyszą tylko tykanie czasomierza, szum w piecyku gazowym, pomruki lodówki i kapanie wody w ekspresie do kawy. Malcolm stoi w drzwiach i podsłuchuje z szeroko otwartymi oczami. W powietrzu unosi się zapach wody kolońskiej Steve'a. W oczach mamy widzę zaniepokojenie w jaskrawych kolorach. Gniew, ból, bezradność.

Patrzemy na siebie i wydaje mi się, że to nasza pierwsza naprawdę szczerą rozmowa, choć nie wypowiadamy ani słowa. Nasz dialog toczy się w absolutnej ciszy. Dociera do mnie, jak bardzo ją zraniłem. Nie dlatego, że kocham tatę. Bo ją

oszukiwał. Dlatego jest wściekła, ale próbuje mi tego nie okazać. Ścisną trochę mocniej moją dłoń, jakby z trudem się powstrzymywała przed krzykiem i płaczem. Ale panuje nad sobą.

Dla mnie.

Dla siebie.

Nagle mama robi się bardziej spięta, wstaje, nabiera głęboko powietrza i spokojnie wypuszcza je z płuc.

Patrzy na mnie i posyła mi niewyraźny uśmiech, w którym smutek miesza się z bólem, a rezygnacja z z troskaniem.

– Kiedy spotkałam go po raz pierwszy na paryskim lotnisku, wydał mi się najbardziej aroganckim tytkiem na świecie. – Wciąż na mnie patrzy, ale jej spojrzenie przenika mnie na wskroś, jakby zaglądała teraz w odległą przeszłość. – Dwa dni później znaleźliśmy się w Sudanie. Zostaliśmy ostrzelani przez chłopca walczącego w armii. Miał wtedy tyle lat co ty teraz, Sam. Tamtego dnia zrobiłam zdjęcie, za które później dostałam nagrodę. Przedstawia naszyjnik z muszelek, cały we krwi naszego kierowcy. – Teraz mama znowu mnie dostrzega. Podnosi rękę i z nieskończoną czułością głaska mnie po twarzy. – Potem nie sfotografowałam już nikogo – mówi szeptem. – Nigdy. – Łza płynie po jej policzku, który kiedyś przystawiała do mojego czoła, gdy chorowałam, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę. Jak mogłam o tym zapomnieć? – Twój ojciec uratował mi życie. Osłonił mnie własnym ciałem. Wiesz, jak czuje się ktoś, komu się wydaje, że jego życie dobiegło końca? – Tak. Właśnie tam jest teraz mój tata. – Ludzkie życie potrafi się zmienić tylko pod wpływem dwóch uczuć: strachu i miłości. A ja tak bardzo bałam. I wcześniej nigdy nie kochałam. Stojąc oko w oko ze śmiercią, nie miałam się na kim wesprzeć. – Mama śmieje się przez łzy. – Kiedy wspominał twój tata, zawsze przypomina mi się tamten moment, bo wtedy uświadomiłam sobie, że w moim życiu częściej się boję, niż kocham. Zawsze miałam mu to za złe. Wstydę się. Nawet teraz. Chciałam żyć tak, by jak najmniej ryzykować.

Dopiero po chwili zadaję jej pytanie:

– A teraz?

– Teraz jest dokładnie na odwrót. W moim życiu jest znacznie więcej miłości niż strachu.

Steve wzdycha głęboko.

– No to mi ulżyło, Mariefrance – szepcze.

– Jak on się czuje? – pyta mnie mama spokojnym tonem, patrząc mi prosto w oczy.

– Nie najlepiej – odpowiadam cicho. – Właściwie fatalnie. – Teraz ja z trudem nad sobą panuję. Najchętniej rzuciłbym się mamie w ramiona, ale wiem, że takiego natężenia emocji mogłaby nie wytrzymać. – Nosi bransoletkę ode mnie – szepczę. – Zapadł w śpiączkę i nikt nie wie, czy się obudzi.

– O, chol... – urywa Steve, który jest wyraźnie przejęty.
– Dlatego tak często go odwiedzałeś – dopowiada mama, pochlipując.
Mógłbym jej opowiedzieć o Maddie i Eddie.
Mógłbym dodać, że ostatnio uświadomiłem sobie trzy rzeczy.
Że się zakochałem.
Że nie przestanę chodzić do szpitala.
I że naprawdę chcę zostać pisarzem.

Nie, nie chcę. Muszę. Nie mam innego wyjścia, ale dopiero niedawno to do mnie dotarło.

Nie znam innego sposobu, żeby jakoś poradzić sobie z życiem. Z ludźmi. Z barwami, emocjami, krajobrazami i pomieszczeniami, które potrafię odczytać.

W Oksfordzie znalazła mnie moja historia. Zawsze tak jest. To historie nas znajdują.

Nie zamierzam chodzić do szkoły. Nie mogę siedzieć w Colet Court, kiedy Maddie tak bardzo chciałaby żyć, ale się poddaje. Nie mam zamiaru uczyć się matematyki, francuskich słówek i fizyki, kiedy mój ojciec usiłuje wrócić do świata żywych.

Muszę iść do Maddie, żeby jej powiedzieć, że doskonale ją rozumiem i zawsze przy niej będę.

Malcolm przysiadł na schodach w holu. Przywołuję go do nas gestem. Zrywa się i przychodzi do kuchni, mama go obejmuje i przytula. Steve położył dłoń na stole, obok ręki mamy. Ich małe palce się splotły.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – pyta mama matowym głosem.

– Bo macie siebie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ty, Malcolm i Steve. Macie siebie nawzajem.

Siedzą przede mną i zupełnie bezwiednie trzymają się za ręce. Do oczu mamy znowu napływają łzy. Zasłania usta dłonią.

– Nie przypuszczałam, że tak na to patrzysz – mówi.

Otwiera ramiona. „Chodź!”, krzyczą do mnie jej puste ręce. Bardzo powoli wstajemy oboje i przytulamy się do siebie. Nawet nie zauważyłem, jak bardzo urosłem. Mam tyle samo wzrostu co mama. Teraz oboje wiemy, że wszystko się zmieni.

W tym momencie dociera do mnie, że zawsze mamy jakiś wybór. Nic się nie dzieje tak po prostu. Każdy podejmuje decyzje. Można skłamać albo powiedzieć prawdę. Można zachować się jak dupek albo nie.

Steve klaszcze.

– No dobra! Zawiozę cię teraz do szpitala, a potem do szkoły, okej? Powiemy dyrektorowi, że w tym roku chcesz sobie zrobić przerwę w nauce. Koniec kłamstw, dobrze? Mariefrance? Samuel?

Przytakuję.

– Zaczekam na zewnątrz, Steve – mówię.
Mój głos już się nie łamie. Słyszę jego spokojny, głęboki ton.
Zielony.
Ciemnozielony.

HENRI

Szyba jest szara, jak z dymnego szkła i nieskończenie wielka. Ciągnie się w nieskończoność w górę i w dół, w prawo i w lewo. Jak okiem sięgnąć nie widać jej krawędzi.

Nie wiem, co się przed chwilą stało. Nie przypominam sobie, co mnie obudziło i kiedy otworzyłem oczy. Wyczuwam w dole falującą, ciemną głębię. Jakaś siła pcha mnie w górę i przyciska mnie do szklanej tafli. Nie wiem, co to za szyba i skąd się tu wzięła.

Nie wyczuwam jej pod palcami, ale rozciąga się tuż nade mną jak napięta, przezroczysta folia albo jak wieko trumny. Coraz mocniej do niej przywieram. Tak bardzo chce mi się pić. Brakuje mi powietrza!

Oddycham, wiem to, czuję. Wnika we mnie powietrze, a potem coś je ze mnie wysysa, ale oddechy są zbyt płytkie. Mam za mało tlenu.

Wtedy ich widzę!

Po drugiej stronie szyby.

Cienie.

Teraz zamieniły się w kobiety i mężczyzn w niebieskich i fioletowych spodniach i koszulach. Poruszają się tak dziwnie.

– Hej! Błagam, dajcie mi pić! – Nikt mnie nie słyszy. – Hej! – wołam. – Tutaj! Błagam.

Nie zwracają na mnie uwagi.

Przede mną rozciąga się ruchomy krajobraz z ludzi i cieni. Na krótką, niespokojną chwilę obraz się wyostrza i wtedy widzę lampy jarzeniowe, ściany i maszyny. Nie widzę błękitnego światła dziennego ani czerni grudniowej nocy.

Ktoś porusza moimi rękami i nogami. Tak mi się przynajmniej wydaje. Widzę własną dłoń, rozpoznaję ją, bo na nadgarstku mam czerwoną opaskę. Próbuję poruszyć palcem wskazującym.

Nie mogę. Nie czuję własnego ciała. Jakbym składał się wyłącznie z wody i ciemności, w których krążą w kółko strzępy myśli.

Nagle nabieram powietrza do płuc. Wyczuwam zapach urządzeń elektrycznych i dym we włosach kobiet i mężczyzn. Słyszę szelest ich myśli. Jestem jak pogrążona w ciszy wyspa, otoczona przez morze obcych myśli.

Obce myśli muskają mnie i pomrukują. Pochodzą od ludzi, którzy się nade mną pochylają.

Nie wiem, co tu robię, to nie ma najmniejszego sensu...

Ale dziś wieczorem mógłbym tu zostać.

Nie wytrzymam kolejnego wieczoru bez jej spojrzenia.

A może zamiast warzyw podam sałatkę? Tak, sałatkę, to kalorie ujemne.

A może lepiej czekoladę?

Za dużo pracuję, to się musi skończyć...

Przeszywa mnie kłujący ból, czuję go w całej klatce piersiowej, paraliżuje mi serce, płonę, płonę, płonę.

Chcę krzyczeć z bólu. Cierpię, bo gdzieś zniknęło moje ciało i głos, coś rozrywa mnie na strzępy. Nie mogę przebić tafli.

Na pewno to tylko sen, zaraz się obudzę.

Obudzić się. Muszę się obudzić.

Nagle otacza mnie zapach łagodnego, letniego wieczoru na bretońskim wybrzeżu. Jaśmin, gryczane naleśniki, sól, karmel.

Moja ukochana!

Na moment ból słabnie.

Zaraz się obudzę obok Eddie.

Moja ukochana. Eddie, Eddie, Eddie.

Mam w sobie tyle miłości i tak ogromną tęsknotę, która przeradza się w dojmujące uczucie utraty i nieznośny wstyd.

Kiedyś z nią byłem.

Zacząłem nowe życie.

Nieśmiertelny.

A teraz stoję na skraju śmierci.

Och, nie. To nie sen. Faktycznie stoję na skraju śmierci!

To rzeczywistość.

Na pewno rzeczywistość?

Strach szeleści.

Zmęczenie byczy jak ociążały trzmiel.

Niepokój migocze jak świetlówka.

Co to jest?

Gdzie jestem?

Leżę w łóżku, tu, w świecie, z którego powoli znikam, tracę głos i władzę w rękach, w nogach, w całym ciele. Ludzie po drugiej stronie szyby nie zwracają na mnie uwagi, choć do nich krzyczę. Jakbym był zupełnie niewidzialny.

Jak się tutaj znalazłem?

Nagle wyrasta przede mną wspomnienie. Otwierają się potężne drzwi, muszę zboczyć z drogi, którą podążałem...

„Kocham cię”, powiedziała Eddie. „Kocham cię, pragnę, na zawsze i jeszcze dłużej, w tym i każdym kolejnym życiu”.

„A ja ciebie nie”, odpowiedziałem.

To ja zniszczyłem ten związek. Ja.

Eddie, której oczy pokrył szron.

Wciąga mnie ciemna, cicha toń. Chce mnie zabrać.

– Nie – krzyczę. – Nie!

Wcale nie mam dość tej kobiety, nigdy nie przestanę jej kochać! Muszę jej powiedzieć, że skłamałem. Muszę!

Każde uderzenie serca sprawia mi ból. Już tylko on się we mnie odzywa, kiedy zaczynam gorzko płakać ze strachu, bo dopada mnie przerażająca pewność, że ugrzęzłem na dobre w tym koszmarze, w którym żyję bez ciała, cierpiąc bez końca.

– Tutaj! – krzyczę z całych sił. Ktoś musi mnie w końcu usłyszeć. – Błagam! Jestem tutaj!

Nikt nie nadchodzi.

Płaczę, choć moich oczu nikt nie widzi i nie płyną mi łzy. Krzyczę, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Nagle zbliża się do mnie jakieś dziecko. To ta dziewczynka, która chciała umrzeć.

Wyczuwam ją. Jest tutaj.

Blisko. Tak blisko!

Też próbuje zbliżyć się do tafli, jest głębiej ode mnie. Walczy, ale słabnie.

Powinienem był ją odnaleźć.

Wciąż jest na pełnym morzu.

Zagubiona wśród czasów i snów.

Gdzie ona jest?

I gdzie ja jestem?

EDDIE

Pomieszczenie, zwane tutaj „pokojem rodzinnym”, znajduje się na tym samym piętrze co sala Henriego, ale w innej części oddziału. Panują tu warunki tak spartańskie jak w klasztornej celi. Wąskie łóżko, stolik nocny. Biurko, krzesło, stół z dwoma taboretami. Widok wynagradza jednak wszystkie niewygody. Widzę słońce zachodzące nad dachami Londynu. Ognista poświata rozświetla grafitowe chmury.

Widzę migające światła startującego samolotu.

Może na jego pokładzie siedzi Wilder?

Kiedy trzy godziny temu zegnał się ze mną, żeby ruszyć zatłoczonymi ulicami na lotnisko, powiedział:

– Rozumiem, dlaczego tak postępujesz. Zrobiłbym dokładnie to samo. Dokładnie to samo. Problem polega tylko na tym, że nie jestem tobą, tylko mężczyzną, który cię pragnie i chce z tobą spędzić życie. Nie potrafię się tobą dzielić, Edwinno Tomlin. Z nikim. Nawet z facetem pogrążonym w śpiączce.

Postawił mi ultimatum.

Szczerze powiedziawszy, na jego miejscu postąpiłabym tak samo. Dokładnie tak samo.

Wyrozumiałość: tak.

Całkowite oddanie? Pod jednym warunkiem – Wilder będzie numerem jeden. A nie tym drugim.

– Chciałbym po powrocie usłyszeć od ciebie, czy swoje serce chcesz oddać tylko mnie.

Z walizki, z którą przyjechałam do szpitala, wyciągam butelkę whisky. W małej łazience z prysznicem znajduję kubek zawinięty w folię. Odpakowuję go i nalewam alkohol do przezroczystego naczynia.

Wilder wyciąga do mnie ramiona, żeby mnie objąć i mówi:

– Eddie, wybacz, że postawiłem ci ultimatum. To było głupie. Zapomnijmy o tym, dobra?

Powiedziałam Wilderowi, że nie musi mi stawiać ultimatum.

– Nie mogę oddać mojego serca tylko tobie – odpowiedziałam.

Wypowiadając te słowa, miałam ochotę krzyknąć: „Zostań! Zostań mimo wszystko!”. Ale było już za późno, nie potrafiłam już nad sobą zapanować i jeszcze raz wszystkiego przemyśleć, przytulić Wildera i wycofać swoją deklarację.

Czy mogłam postąpić inaczej? Musiałam zwrócić mu wolność.

Wilder zasłużył sobie na to, by jego kobieta kochała tylko jego.

Piję. W lustrze widzę, jak bardzo jestem zmęczona. Przybyło mi zmarszczek. Moja cera poszarzała. Z oczu zniknął radosny błysk. Zgubiłam się, krążąc między

Henrim i Wilderem, między dawnym i terażniejszym życiem.

Kiedy odpowiedziałam Wilderowi, pocałował mnie, ale na jego ustach wyczułam gorycz, przerażenie i konsternację.

Na głowie ma jasne włosy, na piersi ciemne, prawie czarne, a tam w dole jasnobrązowe. Nago wygląda zupełnie inaczej niż Henri. To zupełnie inny człowiek. Żyje tu i teraz, a nie wczoraj czy pojutrze. Niczego nie ukrywa. Potrafi wprost wyznać mi miłość. Bez ogródek powiedział:

– Jak sobie życzysz. Jak sobie życzysz. W takim razie nasze drogi się rozchodzą?

Odpowiadam skinieniem głowy. Jego oczy błysnęły, kiedy się odwracał.

Jeszcze jeden porządny łyk.

Nie jestem piękna. W niewłaściwym świetle wyglądam jak skrzat zmęczony robotą, a we właściwym jak młody Irlandczyk.

Choć brak mi urody, Wilder mnie pokochał.

Nie mogłabym z nim zostać, póki tliłyby się we mnie resztki uczuć dla Henriego. To by było nie fair. Zresztą nie umiałabym zaskarbić sobie jego uczuć!

– Powodzenia, moja dziewczyno. Postaraj się go odzyskać.

Wzrusza mnie to, że nazwał mnie „swoją dziewczyną” i że dobrze życzy Henriemu, rywalowi, który nad nim zatriumfował bez walki.

Żałuję, że wyjawiałam Wilderowi tylko część prawdy.

Wyciągam z walizki świecę, zapalam je i gaszę zbyt jasne górne światło.

Podchodzę do okna. Ogień w chmurach zgasł, nad Londyn nadciąga noc.

W filmie albo powieści Wilder z miłości do kobiety poświęciłby się i przystałby na to, żeby ona zajmowała się ukochanym mężczyzną pogrążonym w śpiączce. Podbiłby serca wszystkich czytelniczek.

Ale rzeczywistość to nie film. Już wiem, czemu nie wydają babskich czytań, tylko fantastykę naukową i opowieści o dystopiiach. Przecież miłości nieodłącznie towarzyszą zwątpienie i niepewność. Uczucia zmieniają się wraz z nami. Nie wiem, czy kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, potrafiłabym kochać tak jak teraz. Ten, kto chciałby prawdziwie pisać o miłości, potrzebowałby na to mnóstwo czasu. Co roku musiałby publikować powieść o losach tej samej pary. Może wtedy udałoby mu się zarejestrować wszystkie zmiany, jakim ulegają uczucia, kiedy trzeba sprostać codziennej rzeczywistości. Może uchwyciłby wszystkie barwy, jakie przybiera relacja dwojga ludzi, kiedy nadciągają burzowe chmury.

Piję taliskera pachnącego karmelem, ziemią i eterem. Jak radzą sobie ci, których bliscy zapadli w śpiączkę? Pozostają im naiwnie „wierni”? Brakuje im seksu, dotyku, śmiechu, wspólnych chwil, w których życie staje się tak cudownie słodkie? A może umierają po kawałku, bo tracą odwagę, by żyć? Rezygnują z życia i zamieniają się w zatroskanych pielęgniarzy? A może zostaje im choć trochę siły?

Dopijam whisky. Czuję pieczenie w gardle.

Szczotkuję włosy, idę do kaplicy, odnajduję w sobie odwagę i czułość, a potem idę do mężczyzny, który nawet nie wie, że go kocham.

– Co u Maddie? – pytam doktora Fossa, który stoi na podwyższonym stanowisku pośrodku sali intensywnej terapii, patrząc przez ramię lekarzowi siedzącemu przed monitorem.

Spogląda na mnie, zaciskając usta.

– Obawiam się, że nie ma powodów do optymizmu – odpowiada cicho i rozgląda się, jakby sprawdzał, czy nie słyszy go Samuel. – Wciąż gorączkuje. Nie udało nam się ustalić przyczyny stanu zapalnego. Jedna nerka nie pracuje. Do tego doszło zapalenie płuc. Źle to wygląda.

Tylko nie Maddie, modlę się w myślach. Błagam, tylko nie ona.

Teraz Henri i Maddie leżą obok siebie na intensywnej terapii, na łóżkach C7 i C6.

– A Henri?

– Bez zmian, pani Tomlin. Funkcje życiowe się ustabilizowały, ale nadal brak jakichkolwiek oznak świadomości.

Doktor Foss przygląda mi się badawczo, jakby wyczuł ode mnie zapach whisky.

Podchodzę do łóżek. Położyli Henriego i Maddie obok siebie, żeby Sam mógł przy nich czuwać. Pozwolili mu też nocować w najmniejszym „pokoju rodzinnym”. Kasa chorych nic o tym nie wie, bo chorym, którzy nie mają krewnych, nie przysługuje dodatek na noclegi dla odwiedzających. Doktor Saul zlekceważył jednak zasady. Zrobił to dla Sama i Maddie. Za jego dobroć przez sekundę kochałam go z całego serca.

– Tylko niech pani mnie nie weźmie za dobrego człowieka, pani Tomlin. Nie znoszę dobrych ludzi.

– Bez obaw, nie wyświadczę panu tej przysługi.

Zaśmiał się, a ja bezwiednie mu zawtórowałam. Obawiam się, że nadejdzie jeszcze dzień, w którym się polubimy.

Maddie opiekuje się państwo. Ono nie przesiaduje całymi dniami przy jej łóżku i nie dodaje jej otuchy, jak Sam swojemu ojcu. Nie przynosi jej światła, piękna i ciastek.

Maddie zrobiła się taka wątpa i słaba. Jej łóżko przykrywa klosz z przezroczystej folii. Filtr czyści powietrze. Czytałam trochę o posocznicy. To zatrucie krwi, jedna z najczęstszych przyczyn śmierci w szpitalu.

Patrzę na wymizerowaną twarz dziewczynki, z jej ust wystaje rurka, jej wyczerpane ciało się skurczyło. Nikt nie wie, czemu jej stan tak nagle się pogorszył. Wszyscy wokół starają się ją wspierać w samotnej walce. Z powodu skurczu jej głowa coraz bardziej odchyła się w tył, nogi się naprężają, a całe ciało

wygina się w kształt litery C. Wszyscy pracujący na oddziale ze wzruszeniem i smutkiem patrzą, jak Sam w ochronnym stroju, maseczce i lateksowych rękawiczkach siedzi u stóp Maddie i cicho jej czyta, coś jej opowiada albo po prostu trzyma ją za rękę całymi godzinami.

Podchodzę do Henriego i nie potrafię powstrzymać głośnego westchnienia. Otworzył oczy!

– Henri – szepczę. – Henri.

Tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Rozpiera mnie radość. Ale śmiech więźnie mi w gardle, kiedy widzę jego pusty wzrok wbity w ścianę, jakby mnie w ogóle nie zauważał.

– Doktorze Foss! – próbuję zawołać, ale z moich ust wydobywa się tylko ochryply szept.

Bezwiednie sprawdzam puls Henriego. Wyczuwam tętno, jego ręka jest ciepła.

Podchodzi do mnie doktor Saul. Wyciąga latarkę lekarską i świeci nią Henriemu prosto w oczy. Na sam ten widok przechodzą mnie ciarki. Lekarza odwraca się do mnie.

– Żrenice nie reagują na światło. Nie widzi nas.

– Ale otworzył oczy.

Kłękam i patrzę w twarz Henriego.

Tak dawno go nie widziałam, a on nawet teraz mnie nie dostrzega. Nie mogę tego znieść.

– Spójrz na mnie! – szepczę błagalnie. – Jestem przy tobie. Nie odejdę. Ty też nie odchodź. Henri, mój ukochany, mój najdroższy.

– Nie słyszy pani.

– Skąd pan to wie?

Doktor Saul daje znak doktorowi Fossowi. Nie wzrusza ich widok ludzi na granicy śmierci, przywykli do niego.

– Co dwadzieścia sekund badamy spontaniczne fluktuacje aktywności kory słuchowej w reakcji na impulsy zewnętrzne i wewnętrzne – informuje mnie doktor Saul.

– Co to znaczy?

– Robimy wszystko, żeby nie przegapić momentu, w którym pan Skinner odzyska świadomość. Stale go monitorujemy. Jeśli tylko nas usłyszy albo zobaczy i zechce się z nami skontaktować, to raczej tego nie przeoczymy.

– Raczej, ale nie na pewno.

Doktor Saul wzdycha. Obaj lekarze nachylają się nad Henrim, mówią coś do niego, badają go i uważnie mu się przyglądają. Nienawidzę, kiedy tak kręcą głowami i posyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia, zupełnie mnie ignorując. Ale i tak widzę, że doktor Foss i doktor Saul kapitulują.

Wracam pamięcią do chwili, kiedy siedzieliśmy z Henrim naprzeciwko siebie przy moim kuchennym stole. Po moim mieszkaniu chodził bez butów, siadał zawsze na tym samym krześle, jego bosa stopy dotykały drewnianej podłogi. Minęło tyle lat, a ja wciąż nie lubię, kiedy ktoś zajmuje jego miejsce. Czasem siadam naprzeciwko jego krzesła i wpatruję się w nie przez kilka minut.

– Henri – mówię i dotykam jego wspaniałych dłoni, które kiedyś były takie czułe i ciepłe.

Teraz wyczuwam, jak bardzo są napięte. Rozmasowuję mu palce i poruszam nimi tak, jak poinstruowała mnie Liz, fizjoterapeutka. Próbuję rozluźnić ścięgna i stawy.

Doktor Saul i doktor Foss, cynik i gentleman, kontynuują obchód.

Dzisiaj nie potrafię się zmobilizować do rutynowych czynności. Chciałabym powiedzieć Henriemu, kim jest, jak się tu znalazł i co tutaj robię. Ale wydaje mi się to takie absurdalne. Dlatego mówię mu o tym, co mnie wzrusza, tu i teraz.

– Henri, Madelyn czuje się coraz gorzej. Tak bardzo się boję o nią, o Sama, o ciebie i o siebie samą. Tu obowiązują pewne reguły. Powinam mówić do ciebie spokojnie, żeby nastrajać cię optymistycznie. Ale ty mnie nie widzisz, chociaż otworzyłeś oczy. Może jednak mnie dostrzegasz? Spróbuj uścisnąć moją dłoń, proszę. Ci idioci, twoi lekarze, nie dowiedzą się o tym. Będziesz mógł dalej robić ich w konia. – Jego dłoń ani drgnie. – Możesz też mrugnąć. Raz oznacza tak, dwa razy to nie.

Henri nie mruga.

Przypomina mi się nasz pierwszy pocałunek. Wcześniej spędziliśmy razem tylko dwie noce. W czasie pierwszej nie zamieniliśmy ani słowa. Za drugim razem rozmawiały nasze dłonie i spojrzenia. Nigdy nie zapomnę, jak nasze ręce się dotykały, splatały i tańczyły. Nawet uprawiając seks z innymi mężczyznami, nie doświadczyłam takiej intymnej więzi jak tamtej nocy, kiedy leżeliśmy na moim łóżku, trzymając się za ręce.

W tych drobnych gestach kryła się cała nasza przyszłość. Nasze palce już planowały kolejne pieszczoty. Pożądanie, czułość. Uwodzenie, podniecenie, zbawienie.

Trzeciej nocy się pocałowaliśmy. Szliśmy przez miasto już po tym, jak codzienny gwar na ulicach ustąpił miejsca polewaczkom, a w barach, gdzie jeszcze niedawno los tańczył z żądzą w alkoholowym upojeniu, teraz gasła ostatnia szansa na szczęście, a obsługa wystawiała krzesła na stoliki.

Tamtej nocy spacerowaliśmy po Victoria Embankment nad Tamizą i przechodziliśmy przez most Golden Jubilee. Oparłam się o balustradę, odwrócona plecami do rzeki.

– Nigdy nie stawaj tyłem do morza – powiedział Henri poważnym, spokojnym głosem.

Staął przede mną i położył dłonie na poręczy, zamykając mnie w swoich ramionach. Kiedy się zbliżył, poczułam ciepło jego ciała. Tak długo czekałam na ten moment.

– Nie stoję tyłem do morza. Widzę je w twoich oczach – powiedziałam.

Wtedy mnie pocałował tak namiętnie i czule, że poczułam, jak otwierają się przed nami wrota do nowego świata. Nasze ciała dotrzymały umowy zawartej przez nasze dłonie, odpowiedziały na pytania, które zeszłej nocy stawiały nasze palce.

Teraz jego dłoń nie odpowiada, kiedy przyciskam ją do mojego policzka i czoła. Jego oczy to puste okna, widzę przez nie, że w środku nikogo nie ma.

Nie chcę płakać. Nie płaczę.

Udaje mi się nad sobą zapanować.

Ciemność się zbliża, wnika do wielkiego magazynu dryfujących duchów i wije się wokół stożków światła padającego na każde z łóżek. Wokół nas wyczuwam dusze, które powoli odrywają się od ciał, jak iskierki, które wzbijają się w powietrze i szybują przez chwilę.

Patrzę na Henriego i opowiadam mu o naszym pierwszym spotkaniu. Relacjonuję każdy miniony dzień. A potem opowiadam mu o czasie spędzonym z ojcem. O tym, jak mi śpiewał i jak kiedyś poszliśmy na łąkę, na której trawa tak urosła, że sięgała mu do piersi, a mnie zupełnie zakryła. Kiedy padało, tata śpiewał, a ja tańczyłam.

– Jesteś niezniszczalna, moje dziecko. Duszy nie można unicestwić.

Nie rozumiałam sensu tych słów, ale czułam, co tata ma na myśli.

Codziennie jeden stopień, Edwinno, jeden krok, w ten sposób przemierzysz całą drogę.

Wyobrażam sobie, że jestem latarnią morską, która zamiast światła wysyła słowa, wspomnienia i pieśni, żeby wyprowadzić Henriego z ciemności między światami.

DZIEŃ 43

HENRI

Przywieram do szyby, choć tracę siły. W dole słyszę szum i bulgot falującej toni, z której się wynurzyłem. W mroku czai się śmierć, ale jest dalej, niż się spodziewałem.

Czuję bicie mojego serca, jakby stało się coś, co pobudziło je do działania.

Dzieje się coś dziwnego. Wydaje mi się, że koniuszki moich nerwów wydłużyły się niczym czułki meduzy i przeniknęły przez szybę na drugą stronę.

Tam jest zupełnie inaczej.

Inaczej? Niż wczoraj? Niż przed rokiem?

Zniknęło migoczące szmaragdowe światło, ucichły nerwowe szepty, ulotnił się elektryczny zapach urządzeń pomiarowych. Nie ma już cieni, których myśli o kolacji i diecie docierały do mojej bezludnej wyspy, nie słyszę cichego odliczania kropel i nazw leków. Ale coś tam się porusza, jak piórko na wietrze.

To myśli! Ale one nie mają sensu, należą do...

... *dryfujących duchów*.

Kto to powiedział?

Moje niewidzialne czułki, cienkie jak niteczki, wciąż badają świat po drugiej stronie. Nagle wyczuwam rozmiary pomieszczenia, w którym się znajduję. Jest duże, większe niż zwyczajny pokój.

W tej wielkiej hali rozlega się westchnienie, jakby ktoś żegnał się z ukochanymi ludźmi i rzeczami.

Z czasem.

Z życiem.

Przypominają mi się drzwi na wyspie.

I łagodna twarz kobiety, która pod wodą obejmuje dziewczynkę.

Słyszę płacz dziecka.

Dziewczynki na skale.

Madelyn.

Tak miała na imię? Skąd to wiem?

Słyszę coś jeszcze, jakby z niewidzialnego drzewa spadały mi pod stopy kasztany, pękając na ziemi.

Scott chce studiować psychologię i specjalizować się w badaniu psychoz.

Kto to jest Scott?

Madame Lupion ma zeza i kuchnię pełną zeszytów z odręcznie zanotowanymi przepisami, między innymi na tartę Tatin, którą piecze się do góry nogami, z karmelem, w specjalnej, płytkiej formie.

Nie mam pojęcia, kim jest madame Lupion, ale mój dziadek Malo miał taką formę na tartę Tatin.

Byli tu Greg, Monica i Ibrahim, który zrobił sobie tatuaż i należy do Amnesty International. Jako adwokat broni praw człowieka.

Jakbym kartkował książkę, którą sam napisałem, choć zupełnie tego nie pamiętam.

Wreszcie zauważam, co jeszcze się zmieniło po drugiej stronie szyby. Światło. Łagodne, niewyraźne. Moja klatka piersiowa kurczy się i zaciska, każde uderzenie kamiennego serca sprawia mi ból.

Jestem sam! Zupełnie sam! Panika. Chcę krzyczeć, chcę...

Słyszę kobiecy głos.

– Spokojnie, panie Skinner. Wszystko w porządku, wszystko w porządku. Jestem siostra Marion. Ciii, wszystko w porządku. Niech pan oddycha, jak gwiazdy, nic panu nie grozi. Tu jest pan bezpieczny.

Siostra Marion?

Nie widzę kobiety, do której należy ten znajomy głos z chrypką. Pachnie papierosami. To przyjemny zapach, przywodzi na myśl dom.

Moje serce się uspokaja, już nie miota się jak oszalały ptak, który wpadł do wody, nie domaga się, by je usłyszano.

– Hej, Henri – mówi cicho siostra Marion.

– Hej – odpowiadam.

Słyszysz mnie?

– Panie Skinner, co wieczór zapoznają się z architekturą pana snu. Jestem pewna, że się pan obudził, ale mówienie sprawia panu jeszcze trudność.

Tak! Tak!

W moich żyłach płynie przyjemnie chłodna krew, a czarny, głęboki ból słabnie, tli się jeszcze jak płomyk świecy.

– Dochodzi wpół do czwartej – informuje mnie siostra Marion łagodnym głosem.

Zapach dymu przypomina mi wieczory spędzane w dzieciństwie przy kominku. Bardzo długo w naszej nadmorskiej wiosce domy nie miały centralnego ogrzewania. Zimą palono w piecach drewnem, a zapach dymu ulatniał się dopiero późną wiosną, rozpraszany przez wiatry zapowiadające lato.

Siostra Marion mówi coś jeszcze:

– Madelyn, kochanie.

Maddie, myślę. Jesteś tu?

Jak tu spokojnie. To nierzeczywiste pomieszczenie to ostatnia stacja mojej drogi. To sufit. A to moje ciało bez granic.

Odpywam.

Lecę pod fioletowym niebem. Pode mną morze. Nade mną szyba.

Strefa szyby.

Lecę i lecę, całymi dniami, w nieskończoność, czuję, jak sypią się ze mnie

iskry, rozpływam się, wypełniam sobą bezkresną przestrzeń i...

– Dzień dobry, panie Skinner.

Kamienieję ze strachu, niebo wydaje niski pomruk.

Dzień dobry? Dzień dobry, panie Skinner?

Słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Czy za szybą jest ktoś, kto mnie słyszy?

– Panie Skinner, jestem pańskim lekarzem. Nazywam się doktor John Saul. Jestem neurochirurgiem. Wykonałem u pana kilka operacji. Doznał pan stłuczenia mózgu. Pękła panu śledziona. Miał pan złamaną rękę, nadgarstek i pięć żeber.

Co?

– Nazywa się pan Henri Skinner. Od czterdziestu trzech dni leży pan w szpitalu imienia Wellingtona w Londynie. W Anglii, kraju należącym do Europy, choć większości jego obywateli się to nie podoba. Europa to kontynent na planecie Ziemia. Jest dwa tysiące piętnasty rok, koniec czerwca, dochodzi siódma rano. W mieście jest pełno turystów. Ludzie przyjeżdżają tu z miejsc, w których my spędzamy urlopy. Okropność.

– Co się stało? – pytam jeszcze raz.

Lekarz mówi dalej. Nie odpowiada na moje pytanie.

– Dwadzieścia dziewięć dni temu doszło u pana do zatrzymania akcji serca, zapadł pan w śpiączkę i przez kilka minut był pan w stanie śmierci klinicznej. Przeżył pan dwa zapalenia płuc i początki zakrzepicy.

Byłem martwy?

Nagle wszystko pojmuję.

Ojciec. Morze. Wyspa. Drzwi. Umarłem i w drodze do krainy śmierci utknąłem... Jak to nazwał mój ojciec?

Między światami.

– Jeśli pan mnie słyszy, ale nie może pan mówić, proszę dać mi jakiś znak. Teraz uścisknę panu dłoń i będę bardzo zobowiązany, jeśli spróbuje pan zrobić to samo.

– Tu jestem!

Lekarz nie odpowiada.

Och nie, nie, nie, nie! On też mnie nie słyszy!

Nie czuję jego dotyku. Rozpaczliwie błędę po omacku we własnym odrętwiałym ciele. Nie wyczuwam uścisku jego dłoni. Wytężam wszystkie siły, by wyobrazić sobie zaciskającą się pięść.

– No dobrze. Najwyraźniej nie lubi pan czułych powitań. Ale i tak zrobił pan postępy.

Postępy? Co to ma znaczyć? Ile razy ścisnął mi dłoń?

Przecież powiedział, Henri. Każdego ranka, przez dwadzieścia dziewięć dni.

Ale czemu jestem w Londynie? To niemożliwe. Przecież mieszkałem

w Paryżu. Miałem dziecko. Ożeniłem się z Eddie. Mieszkaliśmy... mieszkaliśmy...
gdzie my mieszkaliśmy?

Nie, było inaczej.

A może?

Śpiączka. Powiedział, że zapadłem w śpiączkę. Doktor Saul.

Wzbiera we mnie strach jak morską wodą wypełniająca powoli głęboką, zatęchłą celę więzienną. Wsysa mnie cicha głębia, przywieram do szyby, byle nie zasnąć, nie oddalić się. Nie chcę znowu utonąć. Szyba ciemnieje, jakby po drugiej stronie ktoś spuścił roletę, zasłaniając światło.

Nagle widzę twarz. Usta się poruszają.

– Panie Skinner, wypowiadam pańskie imię tak często jak natrętny telemarketer, żeby zbadać aktywność pańskiej kory słuchowej.

Tak, do cholery! Jestem tu! Tutaj! Błagam, wyciągnijcie mnie stąd, obudźcie mnie, do diabła, obudźcie mnie! Zróbcie coś, błagam! Tu jestem!

– Nazywa się pan Henri Malo Skinner. Malo to imię pańskiego dziadka, rodowitego Bretończyka. Urodził się pan na północno-zachodnim krańcu Bretanii i dorastał pan nad morzem Iroise.

Przecież wiem. O Boże, wiem, gdzie się urodziłem!

Ale jego niewiele to obchodzi. Nie słyszy mnie. Znowu powtarza, że zapadłem w śpiączkę. Chcę go wyprowadzić z błędu.

Tu jestem.

Przecież jestem tutaj!

Mówi o jakimś dokumencie, na mocy którego moją opiekunką została Edwinna Tomlin.

Eddie! Gdzie ona jest?

Lekarz prosi mnie, żebym uścisnął jego dłoń, podniósł rękę, zmarszczył nos, mrugnął albo przełknął ślinę.

Nie dam rady.

Twierdzi, że mnie lekko uszczypnął, ale nic nie poczułem.

Mówi, że bardzo tego nie lubi, ale nie ma innego sposobu. Nie wiem, o co mu chodzi. Jeszcze raz mnie przeprosza.

– Proszę mi wybaczyć. Trochę pan krwawi – wyjaśnia. – Badania bywają czasem brutalne.

Może jestem sparaliżowany!

Doktor Saul mówi dalej:

– Przychodzę do pana dziesięć razy w ciągu dnia i co cztery godziny w nocy. Już trzy razy badaliśmy pana skanerem mózgu, ale urządzenie nie zarejestrowało aktywności świadczącej o tym, że odzyskuje pan świadomość.

Dupek. Kup sobie lepszy sprzęt.

– Panie Skinner, jest panu bliżej do nas niż do starego znajomego, pana

śmierci. Niech pan do nas wraca. Jesteśmy na wyciągnięcie ręki. U nas będzie pan bezpieczny.

Mam ochotę powiedzieć: „Śmierć nie jest moim znajomym. Poza tym to kobieta. Jak można tego nie wiedzieć?”

Śmierć to kobieta!

Wyczuwam, że doktor Saul przygląda mi się w zamyśleniu, jakby udało mi się coś mu przekazać. Może wyczuł mój gniew. Powinienem wściec się jeszcze bardziej.

Doktor Saul przywodzi mi na myśl poorany brzdami, olbrzymi kamień w morskiej kipieli, znużony, od tysiącleci smagany wiatrem i wytrawiany przez słoną wodę, ale wciąż nieugięty. I bardzo, bardzo samotny.

– Tu jest pan bezpieczny – powtarza samotny doktor Saul.

No nie wiem. Czuję się tak, jakby zabetonowano mnie na pustej ulicy, jakby całe moje ciało znalazło się pod grubą warstwą asfaltu.

Doktor Saul odchodzi.

Nasłuchuję dźwięków dobiegających z za szyby. Wyciągam czułki. Wyczuwam bardzo wyraźnie czyjaś obecność. Ten ktoś, oddalony od granic mojego ciała, jest bardzo spokojny i uważny.

Czy to doktor Saul?

A może to siostra Marion, której chłodne palce działają jak balsam?

Co mnie tak obserwuje?

Szukam dalej. Znajduję dziewczynę, która leży bardzo blisko, tuż obok.

Jest w ciężkim stanie. Ale już nie chce umrzeć. Walczy. Próbuje z całych sił podążać w stronę życia, ale jakaś siła trzyma ją w żelaznym uścisku. Ona już nie chce umierać!

Z wszystkich stron nadciąga usłużna ciemność, okrywa mnie spokojem, chce mnie ze sobą zabrać, daleko stąd, jest taka miękka, sływa na mnie słodki sen, który ze sobą przyniosła. Bronię się. Nie! Chcę otworzyć oczy, szeroko, uścisnąć rękę doktorowi Saulowi, zmiażdżyć ją. Chcę go poprosić, żeby nie odchodził i powiedzieć mu, że już kilka razy zbliżyłem się do szyby, na krótką chwilę, i że chcę się obudzić, błagam! Chcę go poprosić, żeby pomógł temu dziecku, ta mała sama sobie nie poradzi. Ale ktoś wyłącza światło i...

NOC 43

HENRI

Kiedy następnym razem dryfuję w stronę szklanej tafli, powietrze jest inne, świeższe, chłodne jak woda gruntowa, unosi się w nim gęsta, ciemna mgła. Wyczuwam, że w pomieszczeniu panuje noc, ma inny ciężar niż dzień.

Obok mnie szepcze kamień nazywany doktorem Saulem:

– Minęła druga.

Szuka mnie.

Ręce, oczy, ciśnienie krwi, puls, USG. Szuka i szuka.

Nie znajduje.

Opowiada, że pod moją „nieobecność” podejrzewano u mnie zespół Guillaina–Barrégo, wywołujący krótkotrwałe paraliż, a także polineuropatię, inne schorzenie neurologiczne, które uniemożliwia poruszanie się. Ale to nie moje ciało odmawia posłuszeństwa.

Tylko mój mózg.

– Pański syn powiedział kiedyś, że mózg to kościół zbudowany z myśli. Lubię Samuela, ma w sobie wielkość, której przeciętny śmiertelnik nie osiągnąłby, nawet żyjąc sto lat.

Mój syn! Jest tutaj? Jak wygląda? Co robi? Jak żyje?

Tego doktor Saul mi nie opowiada.

Podejrzewam, że ten lekarz nigdy nie wychodzi ze szpitala. Pewnie znalazł sobie pokoik na tym zapomnianym przez wszystkich oddziale i śpi tam na łóżku polowym.

Światło kłuje moje źrenice, czuję oddech doktora Saula. Pachnie świeżością i jest tak ciepły jak jego ciało. Zazdroszczę mu, że może tak po prostu wstać i wyjść. Widzę go jak na końcu tunelu, sto metrów nade mną, ma twarz małą jak pinezka.

Krzyczę.

– Gdzie jest Eddie!? – wołam. – Co się dzieje z Madelyn?

– My lekarze powinniśmy pracować w przestrzeni wolnej od poczucia winy, panie Skinner. Nie powinniśmy rozpamiętywać popełnionych błędów. Akurat. Im jestem starszy, tym więcej mam błędów na koncie. Niektóre z nich leżą tutaj, na oddziale, inne na cmentarzu. Nie ma niewinnych neurologów. Skinner, jest pan tam? Słyszysz mnie pan?

Tak. Ale czemu ten idiota mnie nie słyszy?

Twą twarz doktora Saula znika w oddali. Świat po drugiej stronie szyby zaczyna się poruszać, wiruje, rozwiewa się jak dym.

Jak przez mgłę widzę mojego ojca. Siedzi w oddali na łóżku, poznaję go po swetrze w paski, jeansach i bosych stopach.

Umieram?

Kręci głową.

– Tylko czekam – odpowiada.

Ci, którzy nas kochają, będą zawsze na nas czekać.

– Henri – mówi ojciec. – Wiesz, że to ja cię zostawiłem, a nie ty mnie?

Nie wierzę mu.

Zapaść w śpiączkę to jakby zostać żywcem pogrzebanym. Nikt nie wie, że jestem tutaj. Tutaj, TUTAJ!

A jeśli nigdy mnie nie usłyszą?

Pomyślą, że umarłem i pogrzebią mnie żywcem?

Już nie mogę. Już nie mogę. Już nie mogę.

DZIEŃ 44

HENRI

Jakaś dłoń głaska moją rękę. Czuję, że coś ucieka z tego wielkiego pomieszczenia. Porusza się szybko i jest lekkie jak piana. Przez chwilę krąży między łózkami i aparatami. Raz po raz uderza w okno, coraz bardziej niecierpliwie, jak ćma próbując wydostać się na zewnątrz.

Po chwili pospiesznie przychodzą ludzie, lekarze, pielęgniarze, otaczają kołem łóżko, z którego zniknęło to, co najważniejsze. Mógłbym im powiedzieć: „Przyszliście za późno. To tylko pusta łupina, w środku nie ma ziarna”.

Wyczuwam zapach dymu. To oznaka, że w pobliżu jest siostra Marion.

– Przed chwilą minęłam go na korytarzu – mówi.

To prawda, ale nikt jej nie słucha. Powoli wychodzi na korytarz, bo nikt jej nie potrzebuje przy łóżku umarłego, i po chwili pomieszczenie wypełnia się świeżym powietrzem. Marion otworzyła okno, a to, co tak rozpaczliwie próbowało wydostać się na zewnątrz i dotknęło mnie w przelocie, z ulgą opuszcza salę. Głęboko wdycham powietrze, które pachnie tak osobliwie, jakby po całej nocy na ulicach Londynu przesiąkło miastem. Zapach piwa, odległe echo muzyki, woń ludzkich ciał stłoczonych w metrze, cynamon i słonawe, mętne i brunatne wody Tamizy.

Wokół wywożonego z sali martwego ciała tańczy jeszcze kilka iskier.

Widzę to wszystko, ale nigdy nie zdołam o tym opowiedzieć.

Miałem mnóstwo czasu na myślenie. Teraz mogę mu się wreszcie poświęcić bez reszty. W końcu składam się z samych myśli i z pragnienia.

Może nigdy nie przedostanę się na drugą stronę tafli. Ani dzisiaj, ani jutro. Nigdy. Pogrzebany żywcem we własnym ciele. Skazany na wieczną tułaczkę między światami. Między strefą szyby, jak nazwałem obszar na progu rzeczywistości, i światem, w którym coś gna mnie od jednej wyspy do drugiej, każąc mi na nowo podejmować życiowe decyzje, żebym naprawił błędy popełnione przez zaniechanie. To coś daje mi szansę przekonać się, jak by to było, gdybym postąpił inaczej, gdybym dokonał innego wyboru, odszedł albo został, pocałował ją albo uciekł, powiedział „tak” zamiast „nie”.

Tak długo szukałem właściwej drogi życia, ale jej nie znalazłem. Żadna nie okazała się idealna, bez względu na to, co robiłem.

Tam, na zewnątrz, gdzie z godziny na godzinę coraz wyraźniej widzę i słyszę prawdziwych ludzi, choć oni nie reagują na moje wołanie, rozciąga się jeszcze jedna kraina. Tamten świat po drugiej stronie majaczy w oddali jak fatamorgana, powoli wyłania się z mgły. Nie dostrzega go nikt, nawet siostra Marion, która zdaje się bardziej wrażliwa niż inni. Jej myśli słyszę najwyraźniej. Marion nazywa umarłych „innymi”.

To trafne określenie. Ja nazywam ich czasem „wiedzami”.

Jednym z nich jest mój ojciec. Czuwa nade mną. Zobaczyłem go dopiero teraz, gdy stanąłem u progu śmierci. Pewnie obserwuje mnie od wielu dekad, choć wcześniej go nie zauważałem.

Wprawdzie wyczuwałem jego obecność w kluczowych momentach mojego życia, ale nie dopuszczałem do siebie myśli o tym, że tata chce dodać mi odwagi. Nie wierzyłem, że czasem na chwilę pożycza moje ciało, żeby jeszcze raz biec do utraty tchu, czuć zapachy i dotyk miękkiej dłoni na policzku.

Widzów można spotkać na każdym kroku. To ci, którzy nie chcą się rozstać z żywymi. Dają o sobie znać w nagłych rozbłyskach, kiedy w słońcu iskrzą się wody oceanu, lśni chromowana karoseria przejeżdżającego samochodu i migoczą lampy w tunelu metra.

Najwyraźniej widzimy ich tuż przed zaśnięciem. Spotykamy ich też w niejasnych, szalonych, ulotnych snach. Wydaje nam się, że to wytwory naszej wyobraźni, ale tak naprawdę to właśnie inni.

Zastanawiam się, czy tylko umarli potrafią przeniknąć do snów żywych. A może wystarczy stanąć u progu śmierci?

Wyczuwam obecność czworga innych, którzy coraz częściej gromadzą się wokół łóżka Madelyn. Przechadzają się po sali, nasłuchują, czekają na iskry, oddech, wieści ze świata. Czasem znikają, jakby wymykali się na zewnątrz, żeby zaczerpnąć londyńskiego powietrza. Wyobrażam ich sobie na tyłach autobusu albo pociągu, gdzie zazwyczaj są wolne miejsca. Ludzie z jakiegoś powodu prawie nigdy tam nie siadają.

Muszę lepiej zrozumieć ten obszar między światami.

Pomiędzy. *Bar-khord*.

Wszędzie i nigdzie.

Kiedyś napisałem artykuł o stuletnim Persie, który na początku lat siedemdziesiątych przygotowywał dzieci króla Iranu do sprawowania władzy. Uczył je, jak zachowuje się prawdziwy szach.

W mrocznym labiryncie mojej pamięci wciąż słyszę głos starca, który z leciutką ironią odpowiada oksfordzką angielszczyzną na moje pytania.

Rozmawiałem z nim tak ostrożnie, jakbym próbował pogłaskać kobrę. Zapytałem go, skąd bierze się tak ogromny kontrast między monarchią brytyjską i arabską.

Użyłem określenia *the clash, the culture clash*, zderzenie kultur.

Długo się zastanawiał. Jego twarz o szlachetnych rysach ginęła w półmroku, jaki panował na dziedzińcu jego domu w historycznym centrum Teheranu.

Wreszcie odpowiedział:

– Angielszczyzna, tak jak wszystkie języki z kręgu zachodniej kultury chrześcijańskiej, opisuje zetknięcie się dwóch przeciwieństw jako konflikt. *The*

clash. Zderzenie, cięcie, atak. Wrogość i agresja. Taki sposób mówienia podsyca lęki i przesady. Czy jest coś piękniejszego niż klarowne, czarno-białe opozycje?

Napił się herbaty miętowej i powoli podniósł szklankę, patrząc, jak załamują się w niej promienie słońca. W to upalne popołudnie na ocienionym dziedzińcu przez bambusowe zadaszenie sączyło się niebieskie, jasne światło.

– Persowie zetknięcie się dwóch przeciwieństw określają mianem *bar-khord*. Opisuje ono sytuację, w której w miejscu spotkania i zjednoczenia dwóch sił powstaje coś nowego. Nie chodzi o zderzenie przeciwieństw, takich jak ciało i metalowa karoseria, ale o płynne połączenie. Rozumie pan? W tej międzystrefie panuje ciągły ruch, przeciwieństwa nie dążą do konfliktu, tylko stają się źródłem czegoś nowego. Z opozycyjnych sił rodzi się coś, co jest od nich zupełnie odrębne, tak jak dziecko, które jest kimś innym niż ojciec i matka. Prawda? – Skinąłem głową. – *Bar-khord* to na przykład ta herbata. Z połączenia gorącej wody i mięty zrodziła się poezja, która dodaje otuchy. Do *bar-khord* dochodzi, kiedy miesza się krew dwojga ludzi albo kiedy uchodźcy w obcym kraju odnajdują ojczyznę i miłość. To nie wojna ani pokój, ale nowe życie i nowy początek. – Napił się herbaty. – Najwyższą formą *bar-khord* jest umieranie. Kiedy śmierć styka się z życiem, powstaje... – urwał. – Jak pan sądzi, efendi? Co powstaje między bytem i niebytem?

– Strach – odpowiedziałem.

Bar-khord. Między bytem i niebytem. Znalazłem się właśnie tam, gdzie życie i śmierć tworzą coś nowego.

Co powstaje, kiedy zaczyna się umieranie?

Wydaje mi się, że kiedy rozwiążę tę zagadkę, osiągnę zbawienie.

Wydarza się cud.

Czuję, jak ona idzie przez salę, mijając widzów.

– Patrz, znowu przyszła – mówią inni.

Ogarniają mnie wdzięczność i radość. Czuję jej zapach, budzą się moje wspomnienia, ona się zbliża i nagle...

Szary dzień nareszcie się kończy.

– Eddie – szepczę. – Najdroższa!

Piękna, dumna Eddie patrzy na mnie tak, jakby nie słyszała mojego głosu. A może tylko udaje? Milczy, żeby mnie ukarać?

Czy to złudzenie?

Szczęście ustępuje miejsca zwątpieniu i panice.

Eddie siada, a świat wokół się zmienia, traci ostre kontury, nabiera ciepła. Przenika mnie błogi spokój.

To nie złudzenie. To naprawdę Eddie.

– Cześć, Henri – mówi ciemnym, miękkim głosem.

– Cześć, kochanie – odpowiadam.

Mam ochotę chwycić ją za ręce i przyciągnąć do siebie, przytulić ją do mojego zlodowaciałego, płonącego serca. Chcę ją poczuć, przyjrzeć się jej, zobaczyć jej usta, kiedy mówi, śmieje się i pozwala mi się całować. Pragnę, by nasze spojrzenia się spotkały jak dawniej. W jej oczach są ogień i dobroć, mądrość i przychylność, czułość i wielkoduszność.

Nigdy nie była surowa ani dla mnie, ani dla innych. Wściekała się tylko na siebie.

Tylko jeden raz okazała mi gniew. Nic nie zdołało przebić jej pancerza.

– Wybacz mi, błagam. Kocham cię. Kocham cię.

Jej wzrok szuka moich oczu, ale nie potrafię odwzajemnić jej spojrzenia, choć próbuję z całych sił.

– Kocham cię – powtarzam. – Teraz i w każdym kolejnym życiu.

Nic.

Słyszę szelest jej strachu, który toruje sobie do mnie drogę po niewidzialnych nitkach.

Nie widzi mnie.

Patrzy na mnie, a ja na nią, ale nasze spojrzenia się nie spotykają i nie rozpoznają.

Chciałbym podnieść rękę, pogłaskać Eddie i otrzeć łzy, które płyną jej po policzkach.

O Boże, nawet nie wiem, czy mam jeszcze rękę.

– Henri, nie wiem, czy był już u ciebie doktor Saul, więc na wszelki wypadek powiem ci, kim jesteś i jaka jest prognoza pogody. Dziś z nieba leje się żar. Najchętniej poszłabym z tobą popływać, ale Liz jest na urlopie i... – Kim jest Liz? – ... dlatego przejmuję jej obowiązki. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy poćwiczyli twoje ręce i nogi?

Moja ukochana, dziękuję ci. A więc mam ręce i nogi.

Eddie zabiera się do pracy i choć nic nie czuję, to mam wrażenie, że leżę w gorącej kąpieli, otoczony jedwabistą pianą i słodkim, delikatnym zapachem olejku. Tu jest tak bezpiecznie.

Eddie śpiewa *Lullaby of Birdland*, a potem szeptem wyjaśnia mi, co robi. Myje mi stopy, próbuje rozruszać moje kości, zgina mi nogi w kolanach, porusza moimi dłońmi i ramionami, a na koniec wykonuje, jak twierdzi, najtrudniejsze ćwiczenie. Ostrożnie obraca moją głowę w prawo i w lewo. Śpiewa przy tym, jakby chciała głosem namalować dla mnie przepiękny ogród. Promienie słońca oświetlają wierzchołki drzew, liście rzucają cienie jak cętki, jest ciepło, a rosnące na rabatkach kwiaty i krzewy jaśminu wydzielają intensywną woń. To wszystko niesie ze sobą jej śpiew.

Jestem w jej rękach.

To najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

– Najdroższa – szepczę.

Chcę zapytać: „Jak się tutaj znalazłaś? Jednak mnie nie zostawiłaś?”.

Nachyla się nade mną i mówi szeptem:

– Muszę cię pocałować, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Z całych sił próbuję zmusić ciało do posłuszeństwa. Próbuję wykonać choćby najmniejszy ruch, mrugnąć albo zgiąć palec u ręki czy nogi. Chcę jej przekazać, że ją słyszę i że nie mam nic przeciwko jej pocałunkom. Potrzebuję ich, żeby przeżyć.

– Jesteś tu, Henri? – pyta.

TAK!

Znowu patrzy mi prosto w oczy, a ja próbuję się skupić, żeby przeniknąć przez szklaną tafłę.

Błagam. Błagam, Eddie. Nie widzisz mnie?

Wzdycha z rezygnacją. Czuję, jak na chwilę poddaje się zwątpieniu, ale nagle nabiera nowych sił.

Nie poddaje się. Ona nigdy się nie poddaje, choć czasem nie wierzy we własne siły.

Wszystkie opowieści, które przeczytała, odsłoniły przed nią to, co w życiu fantastyczne, niewiarygodne, ale jak najbardziej rzeczywiste. Potrafi sobie wszystko wyobrazić, to co piękne i to co straszne. Nigdy nie odwraca wzroku.

– Pamiętasz tego wstawionego sommeliera w hotelu w Szwajcarii?

Tak. Pod koniec, nalewając nam drogie wino, nie trafiał do kieliszków. Może był nieszczęśliwy?

– Jak byś zareagował, Henri, gdybym ci powiedziała, że czasami mi się śnisz? Wiem, że to coś więcej aniżeli sny. – Teraz jestem jak naelektryzowany. – Kilka dni temu śniło mi się, że jedziemy nad morze, do małej kaplicy. – Kaplicy Świętego Samsona? – My... – Czuję na sobie jej ciepły oddech, który otula każde słowo. – Kochaliśmy się na skałach. A potem...

Chcę krzyknąć: „Wiem, potem nadeszła fala. Przeżyłem to! Śniłaś moje życie, Eddie?”.

Nagle się rozpraszam, bo wyczuwam obecność jeszcze jednej osoby.

Moje czułki zwijają się w jeden gorący kłębek.

Wiem, kto to jest.

Samuel Noam.

Mój syn!

Ma piękną duszę. Tak wiele odziedziczył po Malo.

Widzę, jak pod jego skórą rośnie wspaniały i mądry mężczyzna, który kiedyś zajmie miejsce chłopca.

– Cześć, Ed. – Sam ma głęboki głos. Witają się z Eddie, robiąc żółwika. Mój syn zbliża się do mnie. – Cześć, tato! – Patrzymy sobie prosto w oczy. Nie, on

mnie nie widzi, tak jak Eddie. Mimo wszystko odpowiadam mu.

– Cześć, Samuelu.

Na jego widok przepelniają mnie uczucia, wzbiera we mnie szczęście, sympatia, duma i rozpacz. Noszę to dziecko w moim sercu. Nagle moje pełne błędów i pomyłek życie nabiera sensu, bo pojawił się w nim Sam. Mimowolnie zrobiłem coś dobrego. Widzę go i chcę go otoczyć miłością, ochronić, dotknąć. Wtedy opuści mnie rozpacz.

Mój syn. Muszę wrócić do świata żywych, żeby zobaczyć, jak dorasta! Chcę poznać jego sposób myślenia i towarzyszyć mu w dalszej drodze.

Nagle coś zwraca uwagę Sama i jego wzrok się koncentruje. To ten moment? Tak, zobaczył mnie!

– Cześć, tato – powtarza o wiele ciszej. – Wróciłeś.

Kiedy mi się przygląda, w jego oczach jaśniej bezgraniczna radość. Patrzy na Eddie siedzącą po drugiej stronie łóżka i z jego ust wydobywa się ledwie słyszalny głos:

– Wrócił, Eddie. Tata wrócił.

SAM

Nie mogę patrzeć, jak próbują go wybudzić, czy raczej doprowadzić do stanu, który uważają za „przytomność”.

Przebył bardzo długą drogę z najdalszych krańców życia aż do progu świadomości.

Nie może mówić ani się poruszać, jak owad uwięziony w bursztynie. Ale ja czuję, że wrócił. Ciepło pulsuje pod jego skórą i promieniuje na zewnątrz.

Trzeba było siedzieć cicho.

Teraz co chwilę ktoś go męczy. Chcą, żeby zaczął samodzielnie oddychać i coraz częściej odłączają go na chwilę od respiratora. Pokazują mu różne przedmioty. Tak mocno ściskają i ugniatają mu mięśnie łydek, że na jego skórze zostają czerwone ślady.

Doktor Foss stoi u wezłowania łóżka i próbuje go przestraszyć. Znienacka klaszcze. Wszyscy się podrywają, poza Henrim i Maddie. Wkładają mu do ręki miękkie piłeczki do masażu, szczoteczkę do zębów, ale on ich nie chwytą. Każą mu mrugnąć, spojrzeć w lewo, powiedzieć, jak ma na imię, albo pytają, ile jest jeden plus zero.

Słyszę w głowie głos Scotta: „Na takie pytania nie odpowiedziałbym nawet wtedy, gdyby zadała mi je Claudia Cardinale”.

Tata leży nieruchomo. Jego powieki ani drgną. Jego puls nie przyspiesza. Jego palce się nie poruszają.

– Tak mi przykro, tato – mówię cicho.

Doktor Foss zmienia pozycję i wyciąga długopis z kieszeni kitla. Wiem, co zamierza zrobić. Widziałem, jak w ten sposób badał innych pacjentów na oddziale. Chce wbić tacie ostrą końcówkę pod paznokiec dużego palucha u nogi i kciuka.

Wyczuwam czarny ból, który go obezwładnia. Tata cierpi, bo nie potrafi zrobić tego, o co go proszą. Musi zapanować nad innym bólem. Doskwiera mu pragnienie. Wścieka się! Pieni się w nim jasnoczerwony gniew, kiedy się nad nim pastwią.

Teraz ciągną go za język. Od samego patrzenia cierpnie mi skóra, a Eddie wstrzymuje oddech.

Rozpacz taty ma dziwny, atramentowy odcień i płynie, jak łzy mieszające się z tuszem.

Ale to nie z powodu badań tak cierpi.

Boli go to, że Eddie go nie czuje.

Stoi pod ścianą, zasłaniając usta jedną dłonią, a drugą trzymając na brzuchu. Wpatruje się w ojca.

Siedzę na podłodze przy łóżku Maddie i głaskam jej dłoń. Lateksowe

rękawiczki mi tego nie ułatwiają.

Podłączono ją do respiratora, a nad ranem przestała funkcjonować jej nerka.

– Był tutaj, Maddie – szepczę. – Patrzył na mnie tak, jak...

Jak jeszcze nikt do tej pory. Nikt. Jakbym był najważniejszym człowiekiem na świecie. Jakby całą swoją wiedzę, umiejętności i siły spożytkował na to, by mi przekazać, jak bardzo jest ze mnie dumny. Ze mnie, Maddie!

Nie mógłbym tego powiedzieć na głos. Nie potrafiłbym tego ubrać w odpowiednie słowa.

Te cholerne łzy spływają mi do ust. Są słone, gorzkie.

Bardzo gorzkie, bo to nieznane wcześniej, wspaniałe uczucie trwało tak krótko.

Nie wiedziałem, jak cudownie czuje się ktoś, kto tak wiele znaczy dla innych.

Dla mojego ojca jestem całym światem!

Nie znajduję w sobie siły, by zapanować nad emocjami, dlatego płaczę gorzkimi łzami i trzymam Maddie za rękę. Wyobrażam sobie, że to ona chwyta moją dłoń i ociera mi łzy. Dawniej w takiej sytuacji spaliłbym się ze wstydu.

Dawniej. Siedem tygodni temu, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

– Niech pan przestanie! – domaga się Ed, spokojnie, ale kategorycznie.

Teraz pielęgniarki przytrzymują rękę i nogę taty, żeby Foss mógł przeprowadzić test na ból.

– Pani Tomlin, żeby zbadać funkcje motoryczne, trzeba dostarczyć bodźców, pod wpływem których tonus zginaczy...

– Niech pan tego nie robi, doktorze Foss. Mydli mi pan oczy medyczną gadaniną, a tak naprawdę chce pan mu zrobić krzywdę. Proszę natychmiast przestać. – Eddie podchodzi do niego tak zdecydowanym krokiem, że doktor Foss bezwiednie się wycofuje. – Niech go pan zostawi w spokoju. Natychmiast! Dość tego.

Fossy wzdycha.

– No dobrze, jeżeli pani sobie tego życzy. – Wsuwa długopis do kieszonki kitla. – Nie chcemy przeoczyć momentu, w którym... – urywa, kiedy Eddie posyła mu mordercze spojrzenie.

– Pacjent może odzyskać przytomność, ale nie panować nad motoryką – syczy Eddie. – Może sprawia mu pan ból, a on nie może się bronić. Jako jego opiekunka zabraniam panu dalej go męczyć. Ma pan jeszcze coś w zanadrzu?

Doktor Foss spogląda na doktora Saula, który rzuca na mnie okiem i mówi:

– Nasza klinika słynie ze skąpstwa. Ale może nadeszła pora, żeby wykorzystać nasze monstrum.

Ma na myśli specjalny tomograf rezonansu magnetycznego, który bada aktywność mózgu w poszczególnych ośrodkach. Maszyna kosztowała dwa miliony

funtów i uważa się ją za jedyny w Anglii przyrząd do czytania myśli. Wiem od doktora Saula, że tylko on i trzech innych neurologów potrafi przeprowadzać badanie tak, że jego wyniki można uznać za wiarygodne.

– Monstrum zagląda do wnętrza mózgu – wyjaśnił. – Zadajemy mu pytania. Na przykład: „Co panu dzisiaj tak wesoło?”. A potem obserwujemy aktywność kory przedczołowej. Można też podać pacjentowi środek fluorescencyjny, żeby zmierzyć zużycie glukozy. Jeśli mózg domaga się substancji odżywczych, to można z dużym prawdopodobieństwem podejrzewać, że pacjent też ich potrzebuje. Potrafimy nawet stymulować wyobraźnię motoryczną. „Teraz gra pan w tenisa! A teraz skacze pan na jednej nodze! Proszę sobie wyobrazić, że zaciska pan pięść!” Wtedy światełka migoczą. Niestety nikt jeszcze nie rozszyfrował tych sygnałów. Nie wiemy, czy stanowią reakcję na konkretny bodziec. Może to tylko nic nieznaczący szum. Maszyna jest od nas znacznie mądrzejsza.

Teraz jednak Bóg poleca Dmitriemu:

– Proszę przygotować pana Skinnera.

Potem gestem zaprasza mnie i Eddie do swojego gabinetu.

Wstaję bez pośpiechu.

Eddie odgarnia tacie z czoła włosy, które urosły mu wokół blizny pooperacyjnej. W tym czułym geście skrywa się tyle emocji. Miłość. Strach. Bezgraniczny smutek.

Eddie patrzy na mnie.

– Chodź do nas – prosi cicho, wyciągając do mnie rękę nad klatką piersiową taty.

Zdejmuję jednorazową rękawiczkę, chwytam dłoń Eddie i prawą rękę ojca. Lewą ściska Eddie.

Stoimy tak przez chwilę, a kiedy Eddie orientuje się, że zostaliśmy sami, szepcze:

– Powiedz, co u ciebie? Dajesz sobie radę?

Doskonale wiem, co ma na myśli.

Ale nie potrafię jej tego wyjaśnić.

W głowie słyszę głos Scotta, który tonem rasowego psychologa poradziłby mi pewnie: „*Mon ami*, nie masz innego wyjścia, jak tylko od czasu do czasu wejść w kontakt ze światem. Wyjaśnij jej to za pomocą obrazów. To przemawia do wyobraźni”.

A więc próbuję stworzyć obraz.

Wszystkie wrażenia zmysłowe, kolorowe liczby, pachnącą muzykę, aromaty, obrazy, wielobarwny ból, wściekłość, kłamstwa, emocje, a nawet echo w budynkach potrafię wzmocnić tak, jak gdybym poruszał odpowiednim pokrętelem wieży stereo.

– Jest z nami? – pyta Eddie.

Patrzę w otwarte, nieruchome oczy taty. Jest, czuję go, tak jak czasem wyczuwa się czyjaś obecność za drzwiami. Atmosfera się zagęszcza, robi się cieplej.

– Tak – odpowiadam.

Z ust Eddie wrywa się westchnienie. Na jej twarzy niedowierzanie miesza się z całkowitym oddaniem.

– Słyszysz mnie? – w głosie Eddie pobrzmiwają tęsknota i zwątpienie.

– A jak sądzisz?

Może ona też potrafi wzmacniać odbierane od świata sygnały. Może każdy to umie, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia.

Eddie patrzy na tatę i coś w niej pęka.

– Och, Henri – szepcze z zaciśniętym gardłem. – Och, Henri, Kocham cię.

Podnosi jego dłoń do swoich ust i ją całuje.

Elektroencefalograf rejestruje trzy intensywne impulsy.

Eddie patrzy na mnie ze smutkiem i nadzieją.

– Wybacz, Sam, pewnie masz mnie za wariatkę, kiedy cię proszę o tłumaczenie simultaniczne.

Jej cichy, smutny śmiech sprawia, że mam ochotę krzyknąć: „Chętnie to dla ciebie zrobię!”, byle tylko ją pocieszyć.

– Jak to możliwe, że go czujesz? – pyta jeszcze raz Eddie.

– Nie umiem tego wyjaśnić.

– I co czujesz?

Patrzę na tatę i znowu słyszę dalekie echo morskich fal.

– Miłość – mówię szeptem. – Płomienie. Pragnienie.

Eddie puszcza moją dłoń i sięga po pudełko leżące za jej plecami. Ostrożnie zwilża tacie usta i dziąsła. Tymczasem ja próbuję jeszcze bardziej się otworzyć. Do oporu przekręcić gałkę wzmacniacza.

Z trudem wytrzymuję to napięcie, bo teraz wyczuwam nie tylko ojca, ale wszystko wokół. To znacznie więcej, niż może znieść przeciętny człowiek.

W każdym łóżku na sali aż kłębi się od emocji. Ktoś zgubił drogę. Ktoś inny panicznie boi się śmierci. Kogoś trawi wysoka gorączka. Wyczuwam zmęczenie i podenerwowanie, jakby w całym pomieszczeniu ktoś rozciągnął struny albo gumowe taśmy, z których każda oznacza inną emocję: niepokój, napięcie, strach.

– Sam? – mówi Eddie troskliwie. – Sam, już w porządku. Przestań, rozluźnij się.

Eddie dotyka mojego ramienia. Gwałtownie wciągam powietrze do płuc. Za długo wstrzymywałem oddech, teraz robi mi się słabo. Muszę jej wszystko powiedzieć.

– Widzę, jak zmienia się padające na niego światło. Ciemnieje, jaśnieje, nabiera kolorów. Po tym poznaję, jak on się ma. Gdyby mówił, w tonie jego głosu

wyczułbym, że coś ukrywa. Teraz widzę po jego ciele, że wrócił. To tak, jakby... – Szukam właściwego porównania. – Jakby igła gramofonu dotknęła płyty. Nawet jeśli nie rozbrzmiewa jeszcze muzyka, to wiadomo, że maszyna zaczęła działać. Czasem kiedy siedzisz z kimś w zupełnej ciemności, to nawet jeśli go nie widzisz, wyczuwasz napięcie.

Eddie patrzy na mnie z niedowierzaniem. Pewnie zastanawia się, czy sobie to wszystko wymyśliłem, żeby się pocieszyć i nie stracić nadziei.

– On chce żyć!

– Ale czy to wystarczy, żeby żyć? Na pewno? – pyta bez ogródek znużonym tonem, pokazując na jego wyczerpane, bezradne ciało.

W ojcu coś się kotłuje. Jakby raz po raz próbował przecisnąć się przez kraty.

Eddie ma rację. Tata ma pustą twarz i znikomy puls. Może rzeczywiście się oszukuję?

Nie. To nieprawda.

Czuję obecność ojca tak wyraźnie, jakbym z nim rozmawiał.

– Chodź – mówi Eddie. – Pogadamy z doktorem Saulem. Zobaczymy, co da się zrobić.

EDDIE

– Ryby nie zaplatają warkoczy – mówi doktor Saul. – Ważki piszą wiersze.

Wypowiada dziesięć nonsensownych zdań, żeby wywołać reakcję w tych ośrodkach mózgu Henriego, które powinny się aktywizować, gdy mózg natrafia na dysonans poznawczy albo musi rozwiązać zagadkę. Najwyraźniej jednak mózg Henriego nie ma ochoty na szarady, bo doktor Saul raz po raz kręci głową.

– Dzień dobry, panie Skinner, jestem pańskim lekarzem. Nazywa się pan Henri Malo Skinner, od czterdziestu czterech dni przebywa pan w szpitalu imienia Wellingtona w Londynie. Zapadł pan w śpiączkę, panie Skinner. W tej chwili badamy pana za pomocą tomografu rezonansu magnetycznego, który mierzy aktywność środkowego rejonu pańskiej kory przedczołowej.

Sam stoi obok mnie. Uważnie obserwuje aparat zwany monstrum, w którego brzuszysku zniknął jego ojciec. Wokół głowy taty wiruje pierścień z kamerami, z których każda rejestruje obraz mózgu pod innym kątem. Czekamy, aż w ciemności zapali się światełko.

– Proszę sobie wyobrazić, że stoi pan na polu golfowym i próbuje uderzyć piłeczkę – mówi doktor Saul.

– To nie ma sensu – odpowiada Sam i trudno się z nim nie zgodzić.

Gdyby Henri wyobraził sobie teraz, że robi zamach kijem, odpowiedzialne za tę czynność rejonu mózgu powinny się aktywizować. Tomograf zarejestrowałby takie samo pobudzenie wyobraźni motorycznej jak u zdrowych ludzi, którzy śnią na jawie, że znaleźli się na polu golfowym.

– Proszę w myślach zacisnąć pięść – prosi lekarz. – A teraz niech pan sobie wyobrazi, że porusza pan palcami u nóg.

Potem każe Henriemu zwizualizować grę w tenisa, w piłkę nożną i taniec.

Elektrody przymocowane do głowy i klatki piersiowej Henriego rejestrują wszelkie cielesne odruchy. Doktor Saul liczy na to, że nawet jeśli badanie obrazowe nie wykaże żadnej aktywności mózgu, to może przynajmniej uda się skłonić organizm do reakcji.

Tak. Ja chcę tylko, żeby doktor Saul, doktor Foss i ich cholerne monstrum upewnili mnie, że Henri wciąż żyje. Wierzę Samowi, ale nie ufam samej sobie. I nie wierzę, że lekarze nas słuchają.

Nic nie wskazuje na to, że Henri wyobraża sobie jakikolwiek ruch. Może nie reaguje, bo nie dociera do niego nawet to, że zapadł w śpiączkę.

– Panie Skinner? Panie Skinner?

Test fal theta. Obserwuję doktora Saula wpatrzonemu w monitory.

Podchodzi do nas siostra Marion.

– Jeśli nie ma reakcji, to znaczy, że nic się nie dzieje – mówi cicho. – Po

zakończeniu tego badania na dwadzieścia cztery godziny podłączymy pana Skinnera do aparatury pomiarowej. Mam do niej większe zaufanie niż do tego czytnika myśli. On obserwuje pana Skinnera przez godzinę. To tyle co nic. W tym czasie pan Skinner może być gdzieś indziej.

– A co u Maddie? – pyta Sam.

– Walczy, Samuelu. Walczy.

– Chce żyć, ale brakuje jej odwagi – wyjaśnia Sam.

– Poznałeś ją tak dobrze, że potrafisz to sobie wyobrazić? – pyta czule siostra Marion.

– Nie. Sama mi to powiedziała – odpowiada Sam.

– Ach tak?

– Tak. We śnie – zapewnia ją Sam z całą powagą.

Z takim samym przekonaniem pisarze opowiadają mi o swoich pomysłach na nową powieść. Mówią spokojnym i pewnym tonem. Zawsze słucham ich z ogromnym zainteresowaniem, kiedy twierdzą, że w snach odwiedzają nas bratnie dusze, a czasem umarli. Nie stukam się w głowę, kiedy opowiadają o machinach snów, świadomym śnie i sennych podróżach w czasie. Nie nazywam ich wariatai. Razem z Poppy, Rolphem i Andream często rozmawiamy o tym, co przeczy zdrowemu rozsądkowi. Już dawno przestałam się dziwić, słysząc niewiarygodne historie. Dzięki literaturze można zwiedzać nieznanne światy. Pisarze muszą z odwagą stawić czoło temu wyzwaniu. Kto jak nie oni potrafi przekraczać granice wyobraźni, zastanawiając się, „co by było, gdyby”?

Ale teraz ogarnia mnie zwątpienie.

Rzeczywistość to nie opowieść dla fanów fantastyki.

Monstrum pomrukuje, doktor Saul stawia pytania, a respirator osiem razy na minutę włacza powietrze do płuc Henriego.

Tak wygląda rzeczywistość.

Od sześciu tygodni Henri nie oddycha samodzielnie. Teraz zaczynamy czekać na cud. Tak bardzo go potrzebujemy. Ale cuda zdarzają się bardzo rzadko.

– Śniła ci się? – pyta siostra Marion. – Kiedy?

– Tamtej nocy, kiedy zachorowała na posocznicę.

– Opowiedz mi ten sen. Wiesz, że sny to środek komunikacji i...

– Przyniosę sobie herbatę – rzucam z irytacją i wstaję.

Dłużej tego nie zniosę. Nie mogę słuchać, jak siostra Marion podsycza złudne nadzieje Sama.

– Nie chce pani posłuchać, pani Tomlin?

Nie. Serce mi pęka, kiedy patrzę na tego chłopca, który w tym świetle do złudzenia przypomina swojego ojca.

W milczeniu przyrzekam sobie, że będę zawsze chronić Sama. Przed czym? Może przed złudzeniami. Tak, właśnie, nie chcę, żeby się łudził, że cuda zdarzają

się wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebujemy.

– Henri nigdy się pani nie śni, pani Tomlin? – pyta siostra Marion głosem ochrypłym od palenia.

Światłówki nad naszymi głowami szemrają jakoś inaczej.

Jak to określił Sam? Jak się zorientował, że Henri jest tak blisko, widzi nas i chce nam coś powiedzieć?

To tak, jakby...

... jakby igła gramofonu dotknęła płyty.

Doskonale znam to uczucie. Jakby cały świat potajemnie zaczerpnął powietrza. Jakby cała uwaga orkiestry skierowała się na czubek batuty dyrygenta.

Nie przyznam się do tego, że we śnie kochałam się z Henrim. To był tylko wyraz mojej tęsknoty. Nic więcej.

A jeśli się mylę?

– Śnił mi się mój nieżyjący ojciec – odpowiadam niechętnie. – Kiedyś zdarzało się to częściej, teraz rzadko.

Siostra Marion kiwa głową.

Kiedy tylko widzę ojca, uświadamiam sobie, że śnię. Zawsze tak jest, kiedy tracimy kogoś, kto był dla nas całym światem. W naszym życiu pojawia się pęknięcie, w którym znika beztroski śmiech. Bez tego kogoś rozpadamy się na drobne kawałki i zaczynamy dostrzegać różnicę między rzeczywistością i snem. Może dopiero śmierć bliskich umożliwia nam wkroczenie do krainy między światami.

Bardzo rzadko zdarza mi się słyszeć głos ojca na jawie, jak wtedy, kiedy w szpitalnej kaplicy trzymałam w ramionach Sama. Wtedy tata poradził mi, żebym znalazła miejsce i wyśpiewała je.

Dwukrotnie wydawało mi się, że on jest mną. Raz w czasie jazdy na motorze. A drugi raz w Kornwalii, gdzie ciepłe powietrze pachniało świeżością, choć czuło się w nim nadchodzącą już jesień. Morze śpiewało, świat był piękny. Wtedy wydawało mi się, że w moje ciało wstąpił duch ojca, żeby móc rozkoszować się tym pięknym dniem, poczuć ciepło życia, zapachy, pracę mięśni, bicie serca. To trwało najwyżej pięć minut.

Ale pomimo intensywności tego doświadczenia uznałam, że udało mi się na chwilę skutecznie oszukać samą siebie.

Ludzie, szukając pociechy, wyobrażają sobie niestworzone rzeczy i uznają je za rzeczywistość.

– Pani Tomlin, słyszała pani kiedyś o doświadczeniach pośmiertnych?

– Przedśmiertnych?

– Nie, pośmiertnych. Śnił się pani ojciec. Nigdy nie czuła pani jego obecności albo zapachu? Nie słyszała pani jego głosu? Doświadczenie pośmiertne to pewien rodzaj komunikacji. Staje się udziałem tych, którzy utracili bliską osobę.

Mam ochotę krzyknąć: „Nie! To brednie!”.

Tylko sobie wyobrażałam, że Henri mnie woła. „Eddie, pomóż mi!” Pijackie omamy!

– Nie – odpowiadam. – To tylko nasz mózg nas oszukuje. Próbujemy ukoić ból, wyobrażając sobie, że słyszymy i czujemy obecność lub zapach naszych bliskich. Dusza potrafi się sama uleczyć. Ale tak naprawdę w mojej obecności Henri ani razu nie dał najmniejszego znaku życia. Rozumie pani? Doświadczenie pośmiertne? Sny? Może pani sobie darować te bajeczki.

Mój głos dźwięczy mi w uszach. Nawet doktor Saul podnosi głowę, choć jest zamknięty w kabinie z pleksiglasu.

Doświadczenie śmierci. Sny. Za wiele ezoteryki. Za mało gwarancji. Za wiele ran i za mało cudów.

Wstaję, wychodzę na korytarz i staję przed automatem z napojami. Mam ochotę tłuc pięściami w ścianę albo we własną głowę. Chcę, żeby wrócił do mnie Henri! I tata! Chcę odzyskać swoje życie. Słyszę łagodny głos mojego ojca:

– Eddie, kochanie. Eddie.

To wyobraźnia płata mi figle.

To tylko wyobraźnia.

Przechodzi mi ochota na herbatę. Po cichu wracam pod oszklone drzwi i staję oparta o ścianę, żeby nie widzieli mnie siostra Marion i Sam.

– No i Maddie nie dała rady wyjść na scenę. Bardzo chciała, ale powstrzymał ją strach. Przed życiem. Zapewniłem ją, że jej nie zostawię. Nie wiem, czy jej to wystarczy. Może nie dałem jej dostatecznego powodu, by żyć.

– Sam, właśnie dla kogoś takiego jak ty warto wyzdrowieć.

– Czy tacie coś się śni? – pyta Sam łamiącym się głosem.

Marion wzdycha.

– Od lat pracuję w tym szpitalu. Często słyszę rozmowy neurologów, którzy uparcie wykluczają taką możliwość. Uważają, że w czasie śpiączki pacjent traci dostęp do tego poziomu świadomości, na którym możliwe są sny. Inaczej mówiąc, machina snów stoi beczynn timer. Ale... – Wytężam słuch. Ale co? – Ale po przebudzeniu, które zdarza się częściej, niż się powszechnie uważa, pacjenci opowiadają o bardzo bogatych przeżyciach. Czasem mają halucynacje, których źródło dobrze znamy. Odgłosy aparatury, światła, zastrzyki, rozmowy lekarzy i inne wrażenia zmysłowe są przetwarzane w mózgu limbicznym, odpowiedzialnym za odczuwanie emocji. Tam powstają sensowne obrazy. Respirator zamienia się w łódź podwodną, a pikający elektrokardiograf w ciężarówkę albo automat do gry.

Cisza. Monstrum pomrukuje.

– Przeprowadzimy teraz ostatnią serię testów na poziom glukozy – oznajmia doktor Saul przez mikrofon.

Siostra Marion kontynuuje, zniżając głos:

– U niektórych w cyklu snu nie występuje faza REM. To oznacza, że ich oczy nie poruszają się pod zamkniętymi powiekami.

– Nic im się nie śni – mówi Sam.

– To nieprawda! – protestuje siostra Marion. – Tę teorię obalono. Ustalono bowiem, że można śnić w każdym stadium snu. Ale...

– Ale? – pytam na głos, podchodząc do nich.

– Ale rodzi się pytanie, czy zgodnie z obecnym stanem wiedzy medycznej ktoś taki jak Henri, pogrążony w śpiączce tak głębokiej, że jego świadomość oddala się od poziomu snu, może mimo wszystko śnić. Jego mózg wydaje się przecież zupełnie beczynny. Ale o czym w takim razie opowiadają ci, którzy wrócili do świata żywych? Rozumie pani? Jeśli w śpiączce człowiek nie śni i nie odbiera bodźców z otoczenia, to gdzie przebywa? O czym opowiadają pacjenci po przebudzeniu, jeśli nie mają dostępu do rzeczywistości i nic im się nie śni?

Próbuję się zastanowić nad tym, co właśnie usłyszałam. Czego doświadczają ludzie w śpiączce, jeśli nic im się nie śni? Z zamyślenia wyrzywa mnie trzeszczenie głośnika. Doktor Saul chyba zapomniał wyłączyć mikrofon. Nagle rozlega się jego głos:

– Fossy, zdziwię się, jeśli Skinner da jakiś znak życia przed moim przejściem na emeryturę.

Siostra Marion ostrzegawczo macha do niego ręką, ale on tego nie zauważa. Mówi dalej, nawet nie przeczuwając, że chcąc nie chcąc, słyszemy każde jego słowo:

– Nigdy nie dojdzie do siebie, bez względu na to, co sobie myśli jego syn. Jeśli elektroencefalograf przez dwadzieścia cztery godziny nie zarejestruje żadnych oznak aktywności mózgu, będziemy musieli rozważyć możliwość przerwania terapii. Spróbuję nakłonić panią Tomlin, by wyraziła zgodę na odłączenie respiratora i sondy z pokarmem.

– Tak – odpowiada Fossy. – Życie samo w sobie nie ma wartości. Liczy się jego jakość.

W jednej chwili twarz Sama traci chłopięce rysy. Kiedy wstaje, wygląda tak dorośle.

– To nieprawda – szepcze, zaciskając dłonie. Patrzy na mnie dziko. – Eddie! To nieprawda! Nie możesz się na to zgodzić! Tata żyje, wrócił do nas!

Siostra Marion otwiera drzwi do kabiny z monitorami. Doktor Saul podnosi głowę i wtedy uświadamia sobie, że wszystko słyszeliśmy.

Widzę zawstydzienie w jego niebieskich oczach. Patrzy na Sama i wbija wzrok w podłogę.

– Przykro mi, Samuelu.

Sam podbiega do tomografu, kiedy jego ojciec wysuwa się z wnętrza

aparatu.

– Nie martw się, tato – mówi, nachylony nad Henrim. – Wiem, że wróciłeś. Nie odłączają cię, słyszysz? Nie pozwolę na to. Nie bój się, jestem przy tobie i wiem, że ty też jesteś z nami.

Ale Henri nie reaguje. W jego oczach nie tli się najślabsza iskra, jego serce bije powoli, a ciało wydaje się zupełnie bezwładne. Nikt nie wie, gdzie jest Henri. Może nawet on sam tego nie wie. Patrzę na siostrę Marion i nie widzę w niej ani cienia fanatyzmu religijnego. Patrzę na Sama, który dzięki synestetycznej wrażliwości czuje więcej i potrafi zajrzeć pod podszewkę widzialnej rzeczywistości.

A jeśli oboje mają rację, a ja z premedytacją próbuję ignorować prawdę?

Myślę o ojcu i na wszelki wypadek wypowiadam na głos jego imię. Podobno kiedy wypowiada się imię zmarłego, on nas dotyka.

– Edward Tomlin.

I wtedy dzieje się coś niesamowitego. Ojciec zjawia się przy mnie na dwie sekundy. Trzy, cztery, pięć.

Wyraźnie czuję, że stoi obok mnie, po lewej stronie.

Po stronie serca.

Może to złudzenie. A może niemożliwe stało się możliwe. Wszystko mi jedno.

– Sam – mówię spokojnie. – Masz przy sobie telefon?

Chłopiec, który stał nachylony nad Henrim, teraz się podnosi. Ma na twarzy bolesny grymas.

Kiwa głową.

– Proszę, daj mi go. Muszę sprawdzić, czy gdzieś w Bretanii nad brzegiem morza znajduje się kaplica Świętego Samsona.

DZIEŃ 45
WIECZÓR

EDDIE

Czuję się jak panna młoda. Jednocześnie ogarnia mnie panika i rozpiera radość. W głowie i w ciele poszukuję wątpliwości, które powstrzymałyby mnie przed powiedzeniem „tak”. Wciąż mam ich wiele, ale żadna z nich nie skłania mnie do tego, by powiedzieć „nie”.

Leżę w świeżej białej pościeli w skromnie urządzonym szpitalnym pokoju rodzinnym, gotowa do snu.

Nie mogę zasnąć. Akurat teraz. Od siedmiu tygodni padam ze zmęczenia, a teraz, kiedy nie mam nic pilnego do roboty i mogłabym odpocząć, przewracam się z boku na bok.

Naprawdę spotkałam Henriego w kaplicy. To nie był sen, tylko...

Nie umiem tego nazwać ani wyjaśnić.

Istnieje kapliczka, której patronuje święty Samson. Ten kościółek z kamienia, z czerwonymi drzwiami i kolorowymi witrażami w oknach stoi nad samym morzem, przy drodze numer 127 prowadzącej do Trémazan. Nieopodal znajdują się półwysep Saint-Laurent i kamieniste wyspy, na których żyją dzikie konie. Pobliski kanał du Four to najniebezpieczniejszy na świecie przesmyk morski. Niedaleko nad brzegiem Iroise znajduje się gmina Landunvez, między miejscowościami Por-spoder i Portsall, na terenie zwanym niegdyś Pays de Léon, Lwią Ziemią. To rodzinne strony Henriego.

Najpierw za pomocą komórki Sama, a potem swojego laptopa zwiedzam ojczystą ziemię Henriego. Oglądam zdjęcia i mapy, czytam wpisy na blogach. Henri pochodzi z dzikiej krainy. Postanawiam, że kiedyś się tam wybiorę razem z nim, by na własne oczy zobaczyć te krajobrazy.

Na klifach żółcą się kwiaty janowca. Na południu latarnia Świętego Mateusza strzeże drogi do portu Brest. Słońce igra na spienionych turkusowych falach, przezroczystych jak szkło butelkowe w najszlachetniejszym odcieniu szmaragdu. Szum wody hipnotyzuje i rzuca czar. Ci, którzy dają się skusić, znikają w morskiej kipieli.

Ja też chcę zniknąć, rozpląnąć się w ciemności. Mam ochotę wskoczyć do głębokiego morza snów, by spotkać się z Henrim. Wszystko mi jedno, czy można to racjonalnie wyjaśnić. Mniejsza o nazwy.

Moje serce galopuje. Nie czuję zmęczenia. Nie chcę pić, żeby zmusić się do snu. Nie zależy mi na pijackich przywidzeniach.

Nie mogę zasnąć.

Przewracam się z boku na bok. Wstaję, szczerzej zasuwam zasłony, wciskam zrolowany ręcznik w szczelinę pod drzwiami, żeby całkowicie wyciemnić pokój. Liczę od stu do jednego.

Mija godzina, potem następna. Nigdy w życiu nie doświadczyłam takiej jasności umysłu.

Gonitwa myśli. Przypominam sobie wszystko, co wypadło mi z głowy przez ostatnie czterdzieści pięć dni. Nie zapłaciłam rachunków, nie odpowiedziałam na e-maile, zlekceważyłam mnóstwo zaproszeń. Nie sprzątałam, nie chodziłam do fryzjera i się nie wysypiałam. A teraz jestem rozbudzona. Wstaję i w samej piżamie przechadzam się po korytarzach, na których co minutę zapala się światło. W samych skarpetkach ślizgam się na schodach, kiedy schodzę na dół, na salę intensywnej terapii. Zakładam szeleszczący kitel i maseczkę.

W sali włączono nocne oświetlenie. Pośrodku, na podwyższeniu, siedzą strażnicy życia i śmierci. Ich twarze oświetla słaba niebieskawa poświata monitorów.

Lekarze i lekarki witają mnie skinieniem głowy.

– Zdezynfekowała się pani?

– Tak – odpowiadam.

Robię to co najmniej dziesięć, a czasem dwanaście razy dziennie, ale i tak pytają.

Chcę podejść do Maddie. Wokół jej łóżka zaciągnięto zasłony. Od czterech dni przy życiu podtrzymują ją maszyny. Jeśli jej wątroba przestanie funkcjonować, Maddie umrze.

Sam siedzi przy niej w zielonym kitlu instrumentariuszki, maseczce i rękawiczkach. Na głowie i stopach ma foliowe ochraniacze. Czyta Maddie. Odsunął na bok wszystkie obowiązki, cały jego świat to jej twarz i ta niewielka, odgradzona zasłonami przestrzeń, trzy na trzy metry.

– Popatrz – szepczę do Henriego. – To twój syn. Wspaniały, dobry człowiek. Bardzo go lubię, Henri. Bardzo go lubię.

Henri ma zamknięte oczy.

Oglądam jego architekturę snu. Niewiele rozumiem z tych wykresów. Długie proste linie przypominają ulice na mapie. Zwilżam mu usta, żeby ugasić jego pragnienie.

Co piętnaście minut lekarz sprawdza stan Maddie i patrząc na mnie, kiwa głową.

Wyobrażam sobie, że mogłabym we śnie poprosić Henriego, żeby wrócił. Zaczęlibyśmy wszystko od nowa i nasze życie się ułoży. Zostalibyśmy na zawsze razem. Może wtedy pokonałby wszystkie przeciwności losu, jego mózg by się zagoił, kości by się zrosły, opuściłby go lęk, obudziłby się ze śpiączki, przeszedł rehabilitację, nauczył się mówić, chodzić i kochać.

Przez krótką chwilę oddycham głęboko, strach gdzieś się ulatnia. Czuję się wspaniale.

Siadam przy Henrim, a potem bardzo ostrożnie kładę się obok niego,

z twarzą tuż przy jego ramieniu. Biorę go za rękę i patrzę na sufit. Ciekawe, czy on też go widzi. Nocą lampy przygasają, a pomieszczenie wypełnia się rozproszonym światłem. Migoczą czerwone, niebieskie i zielone punkciki na aparatach pomiarowych ustawionych jeden na drugim na kołowych wózkach wokół łóżek, jak szuflady w komodzie, szare jak twardy dysk komputera.

Czule całuję Henriego w ramię i szepczę mu do ucha:

– Widziałam zdjęcia kaplicy Świętego Samsona. Chcę tam pojechać. I na półwysep Saint-Laurent. I do Melon. Podobno zimowe sztormy szaleją w tamtejszej zatoce jak nigdzie indziej na świecie.

Czytałam, że w całej Francji jedna czwarta latarni morskich stoi na skałach i kamienistych wysepkach wśród dzikich wód Iroise. Żadne inne morze nie jest tak żarłoczne, żadne nie domaga się tylu ofiar z ludzi i statków.

– To twoje rodzinne strony.

Ojciec nigdy nie opowiadał mi o Bretanii, choć kiedyś tam bywał. Latarnicy niechętnie opowiadają o tym, co widzieli nocą na morzu. Milczą. Ich milczenie jest tak głębokie jak otaczające ich morze.

– Henri, spotkamy się tam? W kaplicy Świętego Samsona? Albo w twojej rodzinnej miejscowości, Ty Kerk. Kiedyś pokazałeś mi ją na globusie w Café Campania. Znajdę twój dom między niebem i morzem. Pokażę go Samowi.

W obecności Henriego się wyciszam. Miarowe dyszenie respiratora mnie uspokaja, nadaje miarowy rytm moim oddechom.

Ogarnia mnie zmęczenie. Ogromne zmęczenie.

Kładę nasze splecione dłonie na piersi Henriego.

Zasypiam tuż obok niego.

HENRI

Czuję, jak tęsknota i lęk Sama przyciągają mnie. Skierowana w moją stronę niewidzialna dłoń odbiera sygnały od wszystkich moich zmysłów i kontroluje mój stan. Ale Sam całą uwagę koncentruje przede wszystkim na Madelyn.

Wyczuwam obecność Eddie. Martwi się o mojego syna.

Jest silniejsza, niż jej się wydawało.

Strach mojego syna.

Czułość mojej kobiety.

Jedno rozrywa mi serce. Drugie skleja je w całość.

Eddie opowiadała mi przed chwilą o Melon, Saint-Laurent i barwie morskich fal w moich rodzinnych stronach. Ona śpi, ale ja czuwam.

Najchętniej zrobiłbym teraz coś zakazanego!

Najchętniej przywłaszczyłbym sobie ciało innego człowieka.

Pośrodku sali stoi lekarz mniej więcej mojego wzrostu. Ma rudawe bokobrody, na jego szyi widzę bliznę, stary ślad po bolesnej ranie. Ale jego ciało jest pełne życia, krwi, beztroskiej radości. Jest wolny od bólu! Wolny!

Ach, gdybym mógł na chwilę wypożyczyć jego ciało.

Nachyliłbym się nad śpiącą Eddie i złożył na jej ustach po-całunek. Rozkoszowałbym się miękkością jej warg. Najpierw byłaby trochę zakłopotana, potem odwzajemniłaby pieszczotę.

Czułbym jej oddech i dotyk jej dłoni na moim biodrze. Jej spokojne ręce pewnymi ruchami zdjęłyby ze mnie ubranie. Spodobałbym się jej. Pieściłaby mnie. Skóra, życie, skóra, ciepło.

Tak bardzo pragnę raz jeszcze poczuć ciepło i krople wody na skórze. Ciepłą skórę Eddie, jej ciało, które do mnie przywiera.

Pulsowanie w podbrzuszu, wilgotnienie, naprężenie. Delikatność. Ciepło łona. Miękkość jej piersi, moje usta na jednym sutku, potem na drugim. Moje dłonie suną po jej ramionach i łokciach, po krągłych pośladkach i jędrnych udach. Jej skóra jest inna w dotyku, kiedy zbliżam się do samego centrum.

Smakuję ją. Smakuję ją całą.

Słyszę. Jej westchnienia.

Widzę. Jej oczy, które na mnie patrzą z radością. Jej rozchylone usta, kiedy się mną delektuje.

Wyobrażam sobie, że pożyczam ciało od młodego lekarza, żeby na chwilę znaleźć się tam, z dala od monitorów, żeby dotknąć mojej ukochanej.

Zobaczyłaby mnie w innym ciele? Wiedziałyby, że modłę się za nią i składał jej podziękowania? Jej pieprzykowi na lewej piersi, jej smukłym mięśniom, włoskom na jej karku, uroczym dołeczkom w jej policzkach, jej oczom,

w których odbijają się morze, sny i wieczność.

– Mój letni dzień. Mój zimowy dzień. Mój dom – szepczę.

Eddie wysyła w moją stronę falę błogiego spokoju, którą odbieram wszystkimi zmysłami.

Teraz mogę zacząć myśleć. Muszę się dobrze zastanowić, w którym pójść kierunku.

Zacznę od dziewczyny.

Madelyn opowiadała mi o jednym z wariantów swojego życia, w którym żyła długo i szczęśliwie u boku męża o imieniu Samuel.

Może przecucia mnie nie mylą i wszystkie warianty życia człowieka stykają się w snach, w chwili śmierci, w pamięci jako wspomnienia tego, co nigdy się nie wydarzyło, jako *déjà vu* albo jak mgliste wrażenie, że jakaś wspaniała okazja przechodzi nam koło nosa. Jeśli tak, to w którymś życiu Madelyn wychodzi z cienia i opuszcza ją lęk. Pokonuje posocznicę. Budzi się i zdrowieje. Wyrывa się z objęć cienia, który wciąga ją w głębinę. Wychodzi za Sama i razem żyją szczęśliwie do późnej starości.

Jeśli taki wariant jej życia istnieje, to znaczy, że ona żyje.

A gdybym tak...

W dole znowu czuję pulsującą ciemność. Teraz jednak czerpię z niej wiedzę, której konsekwencje nie do końca jeszcze pojmuję.

Wreszcie doznaję oświecenia, jakbym zeskoczył do wody z wielkiego statku, który kołysząc się na falach, niestrudzenie zmierza do celu. Spadam w pustej przestrzeni, w oddali słychać ryk fal. Patrząc na oddalające się ode mnie życie. Ostatnie światła giną w mroku.

Jeszcze raz rozważam wszystkie możliwości i planuję kolejne kroki, jakbym rozwiązywał równanie, którego niewiadomą znają tylko umarli.

Nabieram pewności.

Spokój Eddie był mostem, po którym przeszedłem nad przepaścią. Dalej wyruszę sam.

Z powrotem.

Do ostatniego kręgu.

Wystarczy skoczyć w czekający na mnie w dole falujący mrok. Niech statek płynie dalej beze mnie. Ja zostaję.

Żegnaj, ukochana.

Żegnaj.

To życie było najlepsze z możliwych.

NOC 45

SAM

Minęło wpół do trzeciej. Eddie jeszcze śpi z ręką na piersi taty.

Siadam obok Maddie. Z lekką chrypką czytam jej *Pieśń lodu i ognia*. Przeczytanie tej obszernej, epickiej powieści George'a R.R. Martina zajmuje bardzo dużo czasu. Maddie pewnie chce wiedzieć, co wydarzy się dalej. Nie umrze, póki będę czytał. A kiedy już wyzdrowieje, sama dokończy lekturę.

Może to bez sensu, ale sam już nie wiem, co robić, żeby ją przy sobie zatrzymać. Nakłonić ją, by wróciła. Czasem we śnie słyszę ją w labiryncie korytarzy w kulisach teatru. Szaleńczo biegnie przez korytarze i po schodach. Woła mnie i swoich rodziców. A ja czekam na nią na scenie. Nie mogę jej odnaleźć w labiryncie.

Mogę tylko...

Chwileczkę.

Co to takiego?

Od jak dawna to trwa?

„Cholernie długo, *mon ami*. Na co czekasz!?”

Za bardzo skoncentrowałem się na cierpieniu ojca i na świadczącym o jego obecności napięciu, wyraźnie wyczuwalnym w powietrzu. Nawet nie zauważyłem, że coś się zmieniło. Jego ból zamienił się w coś innego, bije od niego niewyraźna poświata.

Ogarnia mnie strach.

Cisza, jakby wybrzmiała ostatnia nuta symfonii.

Albo jakby ucichł ostatni oddech.

Pusty pokój.

Odkładałam książkę, wstaję i odsuwam zasłonę oddzielającą łóżka C6 i C7.

Eddie wciąż śpi u boku taty.

Podchodzę bliżej, ale jego tam nie ma.

– Tato? – szepczę. – Tato!

Odszedł! Nie ma go!

Doskakuję do niego i chwytam go za rękę. Może zasnął. Błagam, niech się okaże, że śpi.

Panika ściska mi gardło.

Patrzę na ekrany, sprawdzam puls, bicie serca, stadium snu. Wykresy jak pasma górskie. Żyje, ale go tu nie ma.

Wiem to na pewno.

Zostawił tu swoje ciało.

Przeniósł się do rejonu, którego nie uwzględnił doktor Saul na swojej mapie. Zawędrował do nieznannej strefy między śpiączką i śmiercią. Między życiem

i śmiercią. Nikt nie zna tych obszarów, bo ciągle się zmieniają.

Spoglądam to na Maddie, to na tatę, to na ich elektrokardiogramy i nachodzi mnie absurdalna myśl, że ich serca biją dokładnie w tym samym rytmie, jakby szli obok siebie, krok w krok.

To trwa tylko chwilę, potem ich drogi się rozchodzą.

Serce Maddie przyspiesza, a serce taty bije wolno. Coraz wolniej.

Wiem, co się zaraz stanie, ale nie mogę się ruszyć ani zawołać pomocy. Czas zwalnia w miarę, jak słabnie puls taty. Cztery, trzy, dwa, jeden, teraz. Dzieje się dokładnie to, czego się spodziewałem.

HENRI

Za każdym razem, kiedy wiosło uderza o wodę, mącąc odbicie rozgwieżdżonego nieba, ukazuje mi się twarz budzącej się Eddie.

Widzę Sama, który zorientował się, co się dzieje.

Jestem gotowy.

Morze jest spokojne, w wodzie odbija się słoneczny, zimowy dzień. Właśnie tę barwę najbardziej lubiłem. Jasny, metaliczny błękit, przezroczysty jak szkło, podobny do koloru nieba.

Kiedy wstaję, łódka się kołysze. Wciągam do niej wiosła. Już nie będą mi potrzebne.

Skaczę i przebijam lustrzaną tafłę.

Muszę zanurkować bardzo głęboko, żeby odnaleźć Maddie.

Morze wciągnęło ją i więzi tam w dole, gdzie wśród skał i muszli czai się strach. Jej włosy unoszą się w wodzie niczym algi.

Leży w ramionach cienia pięknej kobiety, którą każdy chciałby spotkać na końcu swojej drogi. Ona potrafiłaby nas ukoić, zaniosiłaby każdego z nas na wyspę, gdzie nie ma już bólu ani lęku. Ale ona też musi być posłuszna swojemu przeznaczeniu, zjawia się tylko wtedy, gdy przychodzi na nas czas.

Nie dziwi się na mój widok.

Chwytam jasne włosy Madelyn i przyciągam ją do siebie. Chwytam jej szczupłe, śliskie przedramię. Ciągnę ją. Łykam słoń, lodowatą wodę, która stopniowo mnie wychładza, wypełnia moje wnętrzości i płuca. Na końcu przeniknie do serca.

Morze obejmuje mnie tak czule, jakby cieszył je mój powrót po tylu dziesięcioleciach. Teraz mnie już nie wypuści.

Nie zamierzam się wyrwać.

Widzę dziwnie znajomą twarz Maddie. Patrzy na mnie z ufnością i nadzieją, a w jej oczach dostrzegam tysiąc pytań.

Obejmuję ją mocniej.

Teraz trzymamy ją oboje – cień i ja.

Ciągnę ją w swoją stronę, jakbym wrywał wodorosty. Kiedy wreszcie mi się to udaje, czuję się tak, jakbym znalazł się na wilgotnej od rosy łące, wśród kwiatów i wysokich, dzikich traw i wtedy...

EDDIE

– Popatrz, Eddie. Nie skosiłem trawy, niech sobie rośnie. Podoba ci się?

– Tak, tatusiu – odpowiadam.

– Spodoba się jednorożcowi?

– I to bardzo.

Tata ze śmiechem idzie przez łąkę. Maki kołyszą się przez chwilę. Potem ojciec znika. Moje serce zamiera. Zawsze brakuje nam czasu.

Wiem, że to sen, ale się nie budzę. Na niebie świeci błękitnawy księżyc. Idę wśród wysokich traw przez łąkę za naszym domem. Żdźbła sięgają mi do podbródka i drapią mnie, kiedy się rozglądam.

Świta. Powoli rozprasza się błękitny półmrok i ze złotej płataniny zroszonych traw wychodzi mi naprzeciw jednorożec.

Nie mam odwagi, żeby się z nim przywitać.

To piękne, silne zwierzę tak łatwo zranić. Idzie do mnie chwiejnym krokiem. Krwawi. Jednorożce można zranić tylko wtedy, kiedy wbije się im ostrze.

Prosto w serce.

Wysłała do mnie swoje myśli. „Przy tobie nic mi nie grozi, wiem o tym”. A potem ginie w trawie. W jego świetlistych, pełnych życia oczach widzę ból, kiedy powoli osuwa się na ziemię.

Ostrożnie idę przez wilgotną od rosy łąkę, wśród maków, bławatków i słoneczników.

Klękam obok jednorożca, na którego od tak dawna czekałam. Tak bardzo pragnęłam go spotkać.

Otacza go wieczność.

Niczego się nie boi, nawet śmierci. Widzę, że umiera.

Opuszcza powoli głowę, a jego lśniący róg ginie wśród traw.

To tylko kwestia czasu.

Głaszczę jego róg i głowę. Tak dobrze go znam. Patrzy na mnie bez lęku, promiennymi oczami, które zapraszają mnie do jego wnętrza. Tak bardzo chciałabym zobaczyć kryjącą się w nim ciemną i nieskończoną głębię, gdzie strach i smutek nie mają wstępu.

Czy on coś wie? Chce mi coś przekazać?

Mam tysiąc pytań, ale tylko jedno jest istotne.

– Co powinnam wiedzieć?

Jednorożec patrzy na mnie, a jego jaśniejące oczy jakoś dziwnie się zmieniają.

Nagle świat znika.

Leżymy z Henrim wśród traw i pędów bambusa na dachu starego składu

tulipanów. Drzwi prowadzące na schody, po których można dostać się do mojego mieszkania, stoją otwarte na oścież.

– Kochaj mnie – błagam.

– Oczywiście – odpowiada Henri. – Zawsze będę cię kochał.

Obraca się na bok i ciepłym palcem kreśli kółka na moim brzuchu. Najpierw małe, wokół pępka, a potem coraz większe. Muska mój brzuch, piersi, wznórek łonowy i uda. Klęka obok mnie i głaska mnie obiema rękami. Odczuwam ulgę i do oczu napływają mi łzy. Tak bardzo tęskniłam za jego dotykiem.

– Pamiętasz kapliczkę Świętego Samsona? – pyta szeptem Henri. – Zawsze mnie tam znajdziesz. Zostanę z tobą. Nie opuszczę cię ani na krok i będę na ciebie czekał. I na Sama.

Jego dłonie się zatrzymują.

– Nie przestawaj.

– Czasem wydarza się to, co niemożliwe – dodaje Henri, a jego ręce znowu się poruszają. Taka rozkosz wydawała mi się niemożliwa. Tak mi dobrze. – To, co niewyjaśnione, jest częścią rzeczywistości.

– Chcesz się ze mną jeszcze raz kochać?

Śmieje się.

– Tak.

Okrywa mnie swoim ciałem, jego pocałunki przysyłają mi niebo i gwiazdy. Leżymy nieruchomo i nie ma między nami żadnych granic. Moje ciało traci kontury. Henri jest we mnie, a ja w nim.

Powoli siada i pomaga mi się podnieść. Siadam naprzeciwko niego i obejmuję go nogami, krzyżując kolana za jego plecami. On mnie obejmuje.

Patrzymy na siebie, otula nas wiatr, księżyc otacza nas niebieską poświatą, a w oczach mojego mężczyzny widzę odległe, falujące morze.

Kładzie dłoń na moim sercu.

– Tak mi przykro, najdroższa. Zawsze cię kochałem i chciałbym być twoim jedynym.

– Jesteś moim jedynym.

Henri się śmieje.

– Musisz żyć, Edwinno. Po prostu żyć.

Odsuwa się ode mnie, pozostawiając po sobie dojmującą pustkę, która powiększa się, im dłużej go nie ma. Wiem, że będzie mi go zawsze brakowało.

Henri wstaje i chwytamy się za ręce.

Potem on mnie puszcza.

Chcę krzyknąć: „Nie! Nie odchódź!”. Ale jego już nie ma. Oddala się coraz szybciej. Patrzy na mnie, ani na chwilę nie odwraca wzroku. Jego oczy przepelnia miłość.

– Wybacz mi – mówi na pożegnanie.

W chwili kiedy staje na krawędzi, tuż przed skokiem w pustkę, w jego oczach mroczny strach miesza się z bezwzględnym zdecydowaniem.

– Henri!

Budzę się z jego imieniem na ustach.

HENRI

„Właśnie tego chcesz?”, pyta ostatni cień.

Tak.

„To chodź”.

Cień rozluźnia uścisk i puszcza Madelyn.

Dziewczynka na moment zamiera. Patrzy na mnie, unosząc się w wodzie i nagle wzbija się w górę, ku światłu i życiu. Mam nadzieję, że tam w górze nie czeka na nią szklana tafla, zagrządzająca drogę powrotną do świata.

Wyciągam rękę do cienia.

Tak bardzo boję się umierać.

Ale to jedyne dobre rozwiązanie. Choć jeden raz mogę podjąć właściwą decyzję. Nie wycofam się w ostatniej chwili.

Eddie musi żyć, nie może spędzić reszty życia, opiekując się strzępem człowieka pozbawionym wolnej woli.

Sam i Maddie są sobie przeznaczeni. Tak będzie dobrze. Nareszcie wszystko się ułoży.

Cień ciągnie mnie za sobą. Przeszywa mnie ból, otwieram usta i pozwalam, by morze wdarło się do mojego wnętrza i całkowicie mnie przeniknęło. Ból paraliżuje mi ręce i nogi, jest tak dotkliwy, że czuję każdą komórkę mojego wyczerpanego, porzuconego i zapomnianego ciała.

Czuję już tylko świdrujący, pulsujący ból. Robi mi się niedobrze. Dzwoni mi w uszach.

Nagle zaczynam tonąć.

Zagłębam się coraz szybciej, aż wreszcie łączę się z morzem. Wypełnia mnie woda.

Dotykam piaszczystego, kamienistego dna, które pęka i wciąga mnie w głąb szczeliny.

Ale nagle wydarza się coś, czego nie przewidziałem. Kto by pomyślał?

DZIEŃ 46

SAM

Spada mu temperatura, słabnie ciśnienie krwi i puls. Jest jak stare, dumne drzewo, które zapada się do środka. Co chwilę skurcz mięśni powoduje, że tata zaciska palce wokół dłoni Eddie. Jego ramię drży. Jego łydki napinają się i rozluźniają. Powieki trzepoczą.

Czuję, że wraca. Nie, coś go pcha w naszą stronę, ale jakaś ogromna siła wciąga go z powrotem do ciała. Teraz uderza piętami o materac. Maszyny zaczynają reagować.

Elektroencefalograf podłączony do jego głowy wysyła alarmowy sygnał do lekarzy na stanowisku kontrolnym. Po dwóch minutach przybiega doktor Saul, na jego twarzy widać ślady nieprzespanej nocy. Spogląda na lekarza z rudawymi bokobrodami i blizną na szyi, który pełnił nocny dyżur.

– Ma atak – mówi doktor Saul. – Wraca, ale układ krążenia może w każdej chwili odmówić posłuszeństwa. Poziom tlenu we krwi gwałtownie spada.

– Panie Skinner, słyszy nas pan?

– Błagam, tylko nie to – szepcze Eddie.

Jest blada, ale się trzyma. Kładzie doktorowi Saulowi rękę na ramieniu. On patrzy na nią, a Eddie lekko kręci głową. Lekarz odchodzi od łóżka.

– Samuelu – przywołuje mnie Eddie spokojnym głosem. – Chodź.

Tata ma spoconą twarz. Respirator rzezi, jakby ojciec próbował samodzielnie oddychać.

Pielęgniarka wyjmuje tacie ustnik. Eddie trzyma Henriego za rękę, a ja stoję tam gdzie zawsze, żeby ojciec zobaczył mnie, jak tylko otworzy oczy.

Nagle tata podnosi powieki.

Wraca!

Patrzy na mnie z miłością, a mnie obezwładnia ból, który wyczuwam w jego wnętrzu.

Już nic nie osłania go przed cierpieniem, jakie zadają mu gorączka, stan zapalny i pęknięta czaszka. Nie pomogą mu lekarstwa ani kojący sen. Płonie żywcem. Ale żyje!

Z ogromnym wysiłkiem kieruje wzrok na Eddie i patrzy na nią.

Spoglądam na Maddie.

Ona też otworzyła oczy.

I patrzy na mnie.

Widzi mnie!

W jednej chwili dociera do mnie, co się stało, choć wolałbym tego nie wiedzieć.

EDDIE

– Środek przeciwbólowy, trzeba...

– Ciśnienie...

– Hipertonia, on...

Chciałabym, żeby przestali. Wszyscy. Niech na moment przestaną i posłuchają Henriego!

– Ciszej! – proszę ich. – Proszę o chwilę ciszy! – dodaję głośniejsze. – Zamknijcie się! – krzyczę.

Wszyscy zamierają.

Nareszcie.

Henri wpatruje się we mnie, a w jego uścisku czuję życie.

– Kocham cię – mówię.

Jego spojrzenie gaśnie. Wiem, jak wiele wysiłku kosztowało go otwarcie oczu.

Próbuje mówić, ale z jego ust wydobywa się tylko najcichsze westchnienie.

– Maddie? – pyta Henri, szukając wzrokiem Sama.

Nie wiem, skąd Henri zna jej imię.

– Wyzdrowieje, tato – uspokaja go natychmiast Sam.

Z twarzy Henriego znika całe napięcie. Teraz kieruje wzrok na mnie. Nachylam się do niego.

„Ty też wyzdrowiejesz”, powtarzam w myślach. „Ty też”.

– Nie odchodź – szepczę.

– Kocham... – otwieranie ust sprawia mu ogromny trud – ... cię. Wybacz mi – dodaję, wypuszczając powietrze z płuc.

Mówi tak głośno, że wszyscy go słyszą.

Łamie mi serce i zarazem je leczy.

– Wiem – zapewniam go. Ścisną moją dłoń coraz mocniej. – Zawsze będę cię kochać.

On wpatruje się we mnie, a jego oczy są pełne miłości i nieznośnego lęku.

Henri przestaje oddychać.

Wreszcie ginie w nieskończonej dali, z wyrazem bezradnego zdumienia na twarzy.

Zostawia mnie.

Puszcza moją dłoń.

Trzymam ją mocno.

Trzymam ją mocno, Sam podchodzi do Maddie i chwyta jej wyciągniętą rękę. Doktor Saul każe rozpocząć reanimację, ale kiedy Dmitri próbuje odsunąć mnie od łóżka, na ekranie aparatu, który przez czterdzieści sześć długich dni i nocy

rejestrował pracę serca Henriego, pojawia się płaska linia, a z głośnika wydobywa się jednostajny ton. Wiem, że Henri już nie wróci.

Siostra Marion otwiera okno na oścież.

Jeszcze przez minutę wyczuwam jego obecność. Potem Henri Skinner odwraca się i znika ze świata żywych.

EPILOG

HENRI

Czasem mewy srebrne i siodłate krążą nad zatoką. Tak jak teraz, kiedy woda przybrała metaliczny odcień, a zachodzące słońce chyli się ku morzu.

Czekam na nich. Nie dziwię się, kiedy Madelyn idzie za rękę z moim synem.

Idą po plaży wzdłuż wybrzeża, niedaleko Ty Kerk. Tam gdzie spotykają się światy i czasy.

Eddie, Sam, Madelyn.

Idę za nimi bezgłośnie, niezauważony.

Obejmuję ramionami Eddie i Sama.

Oglądamy zachód słońca. Najpiękniejsze są zachody słońca na końcu świata. Dla niektórych znaczą one nowy początek. Codziennie inaczej malują niebo. Dziś chmury ułożyły się w kępki, a zygzaki smug kondensacyjnych przecinają białozłote kłęby, które na brzegach przybierają morelowy odcień.

– Cześć, Henri – mówi Eddie i uśmiecha się do morza, na którego falach igrają promienie słońca. Jej oczy się rozświełają.

– Witaj, najdroższa.

To prawda, że na tamten świat nie można zabrać ze sobą doczesnych dóbr, pieniędzy, cennych przedmiotów, piękna, władzy.

Zgadza się.

Wielu, którzy przeszli na drugą stronę, dziwiło się, że musi wszystko porzucić.

Ale to tylko część prawdy.

Można zabrać ze sobą wszystko to, co za życia tak trudno było nam zatrzymać, to, co czujemy tylko przez chwilę, czasem w skrytości ducha.

Można zabrać ze sobą szczęście.

I miłość.

Wszystkie najpiękniejsze godziny życia, światło niosące spokój, piękny zapach, śmiech i przyjaźń. Wszystkie pocałunki, najczulsze pieszczoty i śpiew. Wiatr, który smaga twarz i tango. Muzykę, szelest trawy, która jesienią pokrywa się w nocy szronem. Migotanie gwiazd, radość, odwagę i wielkoduszność.

To wszystko można zabrać.

To wszystko istnieje pomiędzy.

– Niech wasze serca nigdy nie będą puste – szepczę.

Chwytają się za ręce i patrzą na zachodzące słońce, znikające w morzu, które czuwa nad nami, naszymi snami i życiem.

Trzymając się za ręce, wracają do Ty Kerk, a ja nie odstępuję ich ani na krok. Jestem niewidzialny, nie rzucam cienia. Wilder Glass rozpałił ogień w kominku w chacie mojego dziadka. Patrzy na Eddie z radością i leciutkim

zakłopotaniem. Ona go kocha, dlatego rzadko odwiedzam ją w snach.

Idę z nimi pod sam dom. Śpiewam, bo wtedy przypomina mi się moje dawne życie.

Widzę wszystkie drogi, które stają otworem przed Madelyn, Samuelem i Edwiną. Wiem, kiedy podejmują ważne decyzje. Te momenty mają inny kolor i ton. Najważniejsze, że cała trójka postanowiła wędrować razem.

Śpiewam pieśń o potężnym morzu Iroise i przypominam sobie, jak latem wzburzone fale uderzają o skały, jakby tańczyły przy wtórze wiatru.

Śpiewam o barwach wiosennego przypływu, o zimowym morzu i o niebie, które w czasie deszczu ciemnieje, a przebijające przez chmury promienie słoneczne tworzą wysepki światła na powierzchni szaroniebieskiej wody. Śpiewam o ciemnym błękicie, turkusie, granacie i szarości poranka, o mlecznobiałych falach i butelkowej zieleni. O niebie, które La Mer d'Iroise, kobieta z ognistym temperamentem, z czułością okrywa tysiącem barw. Niebo i morze przybierają te same kolory i w ten sposób łączą się ze sobą jak kochankowie, nie ma między nimi granic, nie ma końca, nie ma pytań.

Zanim Eddie zamknie drzwi, odwraca się jeszcze raz.

– Henri Malo Skinner – mówi półgłosem.

Przez chwilę czuję na twarzy powiew słonego powietrza. Odsuwam Eddie kosmyk włosów znad czoła. Uśmiecha się, jakby wyczuła mój dotyk.

Może tak właśnie jest.

Między życiem i śmiercią istnieje świat, którego stąd nie widać.

POSŁOWIE, PODZIĘKOWANIA I ZAKOŃCZENIE

Im lepiej rozumiałam mojego ojca, tym bardziej się bałam, że kiedyś umrze i zostanę zupełnie sama, bez naszych rozmów, poczucia bezpieczeństwa i wewnętrznego spokoju, który spływał na mnie w jego obecności. Przez wiele lat ten obezwładniający, dławiący strach nie pozwalał mi zasnąć. Co się stanie, kiedy umrze mój najlepszy przyjaciel, mój doradca w sprawach sercowych i podatkowych, połówka rodzinnej drużyny George? Co się stanie, kiedy pewnego dnia zgaśnie światło duszy człowieka, który tak mnie kochał, hołubił i rozumiał?

„Nie przeżyję tego”, wyszeptalam z rozpaczą jako dwudziestokilkulatka, siedząc samotnie w ciemnym pokoju. Potem próbowałam stłumić panikę whisky, która w ogóle mi nie smakowała. Pocieszałam się, że ten pełen sił, energii i entuzjazmu mężczyzna będzie żył bardzo długo. Ktoś, kto ma tyle energii, nie odchodzi szybko.

Umarł w ciągu jedenastu dni, 4 kwietnia 2011 roku. Miał siedemdziesiąt dwa lata. Wolfgang George odszedł o wiele za wcześnie. Miałam trzydzieści lat i jego śmierć zupełnie mnie odmieniła.

Strach przed utratą ojca i jego odejście, tak niespodziewane jak grom z jasnego nieba, naznaczyły moje życie i twórczość. Umieranie, śmierć. Żałoba tych, którzy zostają. Strach przed tym, że pewnego dnia i mnie nie będzie. I co wtedy? Odwieczna wątpliwość: czy w chwili śmierci będę czuła, że żyłam pełnią życia?

Te egzystencjalne pytania zainspirowały moje trzy ostatnie powieści: *Księżyc nad Bretanią*, *Lawendowy pokój* i *Księżę snów*.

Historii o istnieniu i nieistnieniu, bez szczęśliwych zakończeń, rynek książki nie wita z entuzjazmem. Mogłam je napisać tylko dzięki ludziom zajmującym się literaturą, którzy odważnie wyruszyli ze mną na wędrówkę.

Do takich pasjonatów należy mój mąż Jens. To on pierwszy roznieca ogień z iskier moich pomysłów. „No dalej, przekraczaj granice, przecież od tego jest literatura”. Nasze rozmowy otwierają przede mną tysiące drzwi.

Moją drugą towarzyszką podróży jest Andrea Müller, redaktorka prowadząca moje książki, osoba, która nigdy nie kłamie. Czasem jej opinie są dla mnie bolesne, ale jej niesłabnący entuzjazm to fundament, na którym buduję opowieści, bo wiem, że pani Müller potrafi zamienić dobre na lepsze, wnikliwie komentując moje potknięcia.

Pierwszymi czytelniczkami moich tekstów są genialna korektorka Gisela Klemt, niezrównana agentka Anja Keil i fantastycznie opiekująca się stroną internetową Angela Schwarze. Ich reakcje upewniają mnie, czy dostatecznie „otworzyłam się” w moich tekstach. Podziękowania kieruję także do Barbary

Henze i Marion Barciagi, które zawsze służą mi radą.

Wreszcie dziękuję wydawcom, przedstawicielom handlowym i Wam, Czytelnikom i Czytelniczkom. Książki to jedyne dzieła sztuki, które powstają dopiero w chwili, gdy są czytane, w głowach i w duszach odbiorców.

Za wszystkie uchybienia w mojej powieści jestem odpowiedzialna wyłącznie ja. Piszcie o nich do wydawnictwa. Postaramy się je skorygować w następnym wydaniu.

Księga snów zamyka cykl powieści, w których zajmowałam się problemem nieskończoności. W tej książce chciałam opowiedzieć o naszym strachu przed przemijaniem, budując „bajkowe” rzeczywistości równoległe, istniejące „między światami, niebem i ziemią”. Nigdy się nie dowiemy, czy kraina ta istnieje naprawdę, czy stanowi tylko wytwór naszych myśli, nadziei i lęków. Dopiero teraz zyskałam wewnętrzną wolność i po przeżyciu czterdziestu lat czuję się gotowa na rozpoczęcie kolejnego cyklu. Jego tematem będzie życie.

Do zobaczenia na kartach moich książek.

Trzymajcie się!

Wasza Nina George

Berlin / Trévignon, 27 grudnia 2015



Nina George przeszła drogę od kelnerki do autorki bestsellerów. Dziś jest niezależną dziennikarką i pisarką. Opublikowała kilkaset artykułów i ponad dwadzieścia książek. Za powieść *Księżyc nad Bretanią* otrzymała w 2011 roku Nagrodę Literacką DeLiA. Ostatnio wypowiada się w obronie praw autorskich. Udziela się także jako krytyczka kulinarna. Uwielbia białe wino, koty, tai-chi i spacerować.

Tytuł oryginału: *Das Traumbuch*

Copyright © 2016 by Nina George, originally published by Knauer Verlag

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Grafika na okładce na podstawie zdjęcia z Getty Images: © LT Photo / Moment / Getty Images

Fotografia autorki: © Maurice Kohl

ISBN 978-83-7515-696-6



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

